

MAJA VAN STRAATEN

Stylowy kryminał z humorem!

FRANIA TAŃSKA
i
TAJEMNICA
ZAGINIONEGO
OBRAZU



Przedwojenna Warszawa.
Jeden skradziony obraz...
i troje przyjaciół
na jego tropie

MAJA VAN STRAATEN

FRANIA TAŃSKA
i TAJEMNICA
ZAGINIONEGO
OBRAZU

L  R A
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2023

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023

© Copyright by Maja van Straaten, 2023

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Joanna Grodzka

Korekta: Ewa Popielarz

Skład: Klara Pereplyś-Pająk

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: ©varka, ©mrswilkins,

©sergusq / 123rf; ©wawritto / AdobeStock

Zdjęcie autorki: © archiwum własne

Retusz zdjęcia okładkowego: Katarzyna Stachacz

Redakcja techniczna: Kaja Mikoszewska

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-96-8 (EPUB); 978-83-67654-97-5 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

L I R A
WYDAWNICTWO

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

Rozdział I, w którym poznajemy Franię Tańską, a w Muzeum Narodowym dochodzi do zuchwałej kradzieży

Rozdział II, o latającym obrazie i o złamanym nosie pewnej aktorki, od którego zaczęła się przyjaźń Frani Tańskiej z Lolą Nowicką

Rozdział III, w którym inspektor Sztaba przystępuje do śledztwa, a Frania tańczy tango z Sándorem w szemranym lokalu

Rozdział IV, w którym obserwujemy, jak Frania nawiązuje nić porozumienia z hrabią Kozielińskim, a likwidator szkód Apolinary Wężyk wkracza do akcji

Rozdział V, o przykrych konsekwencjach olśnienia doznanego przez Franię

Rozdział VI, w którym wizja staropanieństwa doprowadza do płaczu pewną młodą kobietę, Frania i Lola uciekają przed tajemniczym mężczyzną w kapeluszu, a strzała Amora godzi w Balatona

Rozdział VII, w którym do muzeum przychodzi osobliwa postać, Frania dopuszcza się niesubordynacji, a z ciemności niespodziewanie wyłania się tajemniczy mężczyzna w kapeluszu

Rozdział VIII, o kłopotach Frani i rozpaczliwych próbach dotarcia do prawdy

Rozdział IX, w którym Frania demaskuje szantażystę i wpada na pomysł połączenia się ze swoją podświadomością

Rozdział X, o podróży Frani w czasie, sukcesie aspiranta Chybury i grze w tenisa z bolesnym finałem

Rozdział XI, o kłopotach Loli i ryzykownych pod wieloma względami poczynaniach Frani

Rozdział XII, w którym następuje dramatyczny zwrot akcji, a nawet dwa Epilog, czyli przyjęcie u Frani, w czasie którego wychodzi na jaw, jak kukułka wyfrunęła z obrazu

Podziękowania

ROZDZIAŁ I

W KTÓRYM POZNAJEMY FRANIĘ TAŃSKĄ, A W MUZEUM NARODOWYM DOCHODZI DO ZUCHWAŁEJ KRADZIEŻY

Frania Tańska zjawiała się w Warszawie w roku 1922, by uciec od przeszłości. Bolesnie oberwała od wielkiej historii, która nie tylko zabrała jej pierwszą młodzieńczą miłość, ale i zburzyła plan na całe życie, zakładający rodzinną sielankę na mazowieckiej prowincji. Frania chwilowo odmawiała stworzenia dla siebie nowego scenariusza, życie bowiem straciło dla niej sens, a nie targnęła się na nie tylko ze względu na matkę.

W mieście nie zaznała ukojenia, przynajmniej nie od razu, znalazła za to pracę w Muzeum Narodowym przy ulicy Podwale 15, tym samym, które niemal dziesięć lat później przeniesiono do nowej siedziby przy Alejach Jerozolimskich. Znalazła również dwoje serdecznych przyjaciół – Lolę Nowicką, reporterkę rubryki towarzyskiej w „Tygodniku Wytwornym”, i Sándora Bercsenyiego, Węgra, który nagminnie łamał kobiece serca i towarzyskie normy. Ta druga skłonność była zresztą fundamentem ich przyjaźni. Frania również miała na koncie liczne występki przeciwko obowiązującym zasadom, co zresztą szeroko komentowano. Za jej plecami, rzecz jasna.

Cała trójka mogła pozwolić sobie na nieskrępowane korzystanie z uroków życia w Warszawie, co wcale nie było w owych czasach przywilejem powszechnym. Większość mieszkańców stolicy ledwo wiązała koniec z końcem i tłoczyła się w przepełnionych klitkach

o wątpliwym standardzie. Miasto co prawda rośnie w oczach, w centrum pięły się ku niebu nowe, secesyjne kamienice, a na przedmieściach, pochłaniających kolejne wioseczki, wyrastały jak grzyby po deszczu kwatery robotnicze i czynszówki. Wszystko to jednak nie wystarczało wobec ciągle napływających nowych mieszkańców. Przybywali z całej Rzeczypospolitej, jej kresów, a nawet spoza granic – arystokraci, artyści, babiny w kwiecistych chustkach i robotnicy w znoszonych kapotach, Żydzi w chałatach, mundurowi oraz całe rzesze ludzi niewyróżniających się ani strojem, ani fizjonomią. Na ulicach język polski ze wszystkimi swoimi regionalizmami mieszał się z jidysz. Można było usłyszeć rosyjski, niemiecki czy francuskie *merci* i *s'il vous plaît*, rzucane przez subiektów i fryzjerów w co elegantszych lokalach usługowych.

W tym wielokulturowym, pełnym skrajności mieście kwitło bujne życie towarzyskie. Cała Warszawa – ta biedna i ta bogata, polska i żydowska, wykształcona i ledwie składająca litery – tańczyła, śmiała się, piła i chadzała do kabaretów i teatrów rozmaitej proveniencji. Frania, Lola i Sándor nie żałowali czasu, nakładów finansowych i zdrowia, by dotrzymać jej kroku. Przy czym Sándor bywał na warszawskich salonach dla czystej przyjemności, Lola dla utrzymania z trudem zdobytego statusu, a Frania – dla zapomnienia.

Trzeba przyznać, że wszystko, co robiła w owym czasie, było podporządkowane właśnie temu jednemu celowi – zapomnieniu. Praca w muzeum szczególnie dobrze się do tego nadawała. Dla Frani, która sama od czasu do czasu sięgała po pędzel, było to miejsce szczególne. Pełne ukrytych na płótnach znaczeń, zamrożonych na wieki ulotnych chwil i oczywiście kolorów, które lubiła nazywać po swojemu. To, co dla innych było po prostu żółte, ona na własny użytek musiała określić jako kolor kwiatu mleczka, mokrego piaskowca, piersi pliszki czy jeszcze inaczej. Przecież to były zupełnie inne barwy i dziwiło ją, że niemal wszyscy dookoła zadowalali się tak nieprecyzyjnym słowem jak „żółty” albo „niebieski” czy „zielony”. Te to miały dopiero zawrotną liczbę wariantów! Okazji do takich analiz kolorystycznych nie brakowało. Kolekcja muzeum rosła w szybkim tempie dzięki wysiłkom dyrektora i pracowników, którzy chwytali się najróżniejszych sposobów, by poczynić udane zakupy i przyciągnąć hojnych darczyńców. I właśnie podczas jednego z przyjęć dla uhonorowania trzech benefaktorów doszło do przedziwnego

incydentu, który zapoczątkował serię wypadków o dramatycznym obrocie.

Ale po kolei.

PIĄTEK, 29 SIERPNI 1924 ROKU

Frania Tańska śpieszyła w dół ulicy Podwale, wymachując torebką. Jej długie rude włosy wymknęły się z pośpiesznie wykonanego upięcia. Rozwiane były również poły płaszcza z cienkiej bawełny i sukienka w kolorze chabrowym.

Dotarła wreszcie pod numer 15 i pchnęła oburącz ciężkie dębowe drzwi. Minęła pustą stróżówkę, która – swoją drogą – pusta być nie powinna, i po szerokich kamiennych schodach, przeskakując co drugi stopień, wbiegła do głównej galerii malarstwa polskiego na pierwszym piętrze. Tu zwolniła wreszcie kroku i zwróciła spojrzenie ku ścianie gęsto obwieszanej obrazami. Zajmowały każdy centymetr wolnej przestrzeni. Stłoczone były od podłogi aż po wysoki sufit. Denerwowało to Franię, ponieważ zakłócało odbiór poszczególnych dzieł. Ledwo dostrzegła jakiś interesujący szczegół, powiedzmy – wyciągnięte w galopie końskie pęciny, a już o uwagę dopraszały się elementy uzbrojenia któregoś z królów uchwycone na płótnie powyżej. Ale nim zdążyła skupić się na słonecznym blasku odbijającym się w napierśniku, z obrazu obok wołały ją roztańczone kłosa zbóż.

Muzeum było wypełnione po brzegi. Czas najwyższy, by znaleźć dla niego nową siedzibę, mogącą pomieścić rosnącą kolekcję. Mówiono o tym już od dawna, zakupiono duży plac, rozpisano nawet otwarty konkurs na projekt gmachu. Na razie jednak budowa się nie rozpoczęła.

Frania tak zapatrzyła się na obrazy, że nie zauważyła stojącej na środku skrzyni wielkości krowy. Zderzenie było bolesne.

– Jasna cholera i nóżki baranie! – zaklęła pod nosem.

Z drugiej strony skrzyni, niczym klaun na sprężynie wyskakujący z pudełka, ukazał się Romuś Paprotek, muzealna złota rączka.

– Uszanowanie! – Uśmiechnął się szeroko.

Frania odpowiedziała na powitanie i zaczęła masować kolano, które ucierpiało w zderzeniu ze skrzynią.

W tej samej chwili do galerii przydreptał kustosz Skiełło. Był dumnym posiadaczem bujnych wąsów, płynnie przechodzących w bokobrody, co dodawało jego fizjonomii powagi i skutecznie odwracało uwagę od przerzedzonych na czubku głowy włosów. Odznaczał się niskim wzrostem i pokaźnym brzuchem, który był efektem miłości do cukierków i czekolady. W kieszonce surduta zawsze nosił pudełko karmelków i święcie wierzył, że zawarty w nich cukier nie tylko krzepi, ale i koi nerwy. A te kustosz miał od czasów wojny skołatane, w związku z czym porzucił służbę wojskową na rzecz służby sztuce. Patrząc na jego okrągłą postać i nerwowe ruchy, trudno było uwierzyć, że jeszcze kilka lat wcześniej był on sprawnym kawalerzystą, który poprowadził swój pułk do niejednego zwycięstwa.

– Jest! Wspaniale! – Zatarł pulchne ręce i obszedł skrzynię dookoła. Patrzył przy tym z taką czułością i zachwytem, jakby sama skrzynia zbita z prostych sosnowych desek była rzadkim dziełem sztuki.

Romuś wyciągnął z kieszeni młotek oraz zakrzywioną łapkę do gwoździ i spojrzał wyczekująco na kustosza.

– Otwieramy! – powiedział Skiełło.

Paprotek sprawnie podważył wieko opatrzone napisem: „Ostrożnie!” Kiedy opadło z hukiem na podłogę, nieliczni o tej porze zwiedzający podeszli z zaciekawieniem i wyciągając szyje, próbowali zajrzeć do środka. Kustosz Skiełło drżącymi dłońmi rozgarnął wióry zabezpieczające znajdujący się w skrzyni obraz. Było ich jednak tak dużo, że nie mógł się przez nie przekopać. Udało mu się jedynie odsłonić fragment ramy.

– Wyciągamy! – zarządził.

Romuś skinął na stojącego w grupce gapiów stróża, pana Miecicia. Złapali we dwóch znajdujący się w skrzyni obraz i unieśli. Ukazał się jego górny fragment – bezlistne korony drzew, skrawek sinego nieba.

– Ciężki jak diabli – stęknął pan Mieciciu.

– Ostrożnie, panowie, ostrożnie! – Kustosz Skiełło przestępował z nogi na nogę.

Obraz podniesiono wyżej, tuż ponad krawędź skrzyni. Zebrani wokół wydali zgodny okrzyk zachwytu. Na tle pokrytego śniegiem lasu ukazała się poderwana do lotu smukła ptasia sylwetka – rozpięte skrzydła

o ciemnym umaszczeniu, pierś w szaro-białe pasy, czarny nakrapiany ogon.

– Kukułka – wyszeptała Frania. Głos uwiązał jej w gardle z wrażenia. Ptak był wybornie oddany.

– Wieszamy, panowie! – Kustosz przetarł spocone czoło chusteczką.

Pan Miecio z wysiłku aż poczerwieniał na twarzy. Zrobił niepewny krok na ugiętych nogach i niemal stracił równowagę, gdyż Paprotek, silny i wyprostowany jak struna, ruszył w przeciwnym kierunku. Obraz zakotłosał się niebezpiecznie.

– Ostrożnie! – powtórzył kustosz, łapiąc się za serce. Frania zagryzła dolną wargę, niezbyt starannie ukarminowaną szminką.

Przez chwilę naradzali się nerwowo, obracali to w prawo, to w lewo, wreszcie chwiejnym, acz w miarę skoordynowanym krokiem ponieśli obraz w stronę przygotowanego miejsca na ścianie.

– W prawo! Trochę bardziej w prawo! – huknął kustosz. – Dobrze! Mam go!

Wreszcie udało się zaczepić przymocowaną z tyłu linkę o hak. Romuś powoli wypuścił z rąk ramę. Bujała się przez chwilę, cichutko szurając o ścianę. Zebrani w galerii patrzyli w milczeniu na rozkołysaną kukułkę, a ona wbijała w nich swe bursztynowe oko. To była jedyna plama koloru w czarno-białej kompozycji.

Kiedy obraz ostatecznie znieruchomiał, pierwszy odezwał się kustosz Skiełło:

– Wspaniały, wspaniały! Proszę tylko spojrzeć na te detale, te piórka! Co za dynamika!

– Znakomity – przyznała Frania.

Pomyślała przy tym o niedokończonych martwej naturze z bażancimi piórami, która czekała w jej własnej pracowni w domu, i poczuła ukłucie zazdrości.

Zwiedzający galerię, przyciągnięci na chwilę przez *Kukułkę*, zaczęli się rozchodzić.

– Coś w tym obrazie, uważa pan, nie gra. – Stróż podrapał się po głowie.

Kustosz poróżowił z oburzenia.

– Panie Mieczysławie, co też pan opowiada! To obraz Józefa Chełmońskiego! Coś tu nie gra, dobre sobie! – Kustosz Skiełło sięgnął

do kieszonki surduta po pudełko karmelków piersiowych Wedla. Otworzył je i podsunął Frani. Podziękowała, za to Romuś i pan Miecio chętnie się poczęstowali.

– Wiem! – Paprotek szturchnął stróża w bok. – Rama!

– Rama?

– Za bardzo zdobna, nie pasuje. Panie kustoszu, skoczę do składziku i zbiję jakąś prostszą.

– Nie, nie! – Kustosz Skiełto omal nie zakrztusił się karmelkiem. – Ten obraz to nie darowizna. To depozyt. Hrabia Kozieliński jedynie użyzcza go nam na kilka miesięcy. Prosił, by nie zmieniać ramy.

Zapadła chwila milczenia. Cała czwórka odsunęła się kilka kroków do tyłu, by mieć lepszy widok. Romuś Paprotek ssał cukierka, głośno cmokając.

– Wygląda, jakby miała wylecieć z obrazu – powiedziała.

– Kukułeczko, panienczko, z paproci i ziela, powiedz mi, ile lat do mego wesela – zarechotał pan Miecio, po czym mlasnął i głośno rozgryzł karmelka.

Frانيا zamarła. Też kiedyś wypowiedziała te słowa, wsparta na ramieniu Sewera w pachnącym sosną mazowieckim lesie. Była wtedy taka szczęśliwa.

Głos kustosza Skiełty przeciął nić wspomnień.

– Pani Franciszko, proszę wprowadzić *Kukułkę* do katalogu. A wy, panowie, zabierzcie stąd tę skrzynię i przymocujcie tabliczkę. Panie Mieczysławie, czy pan nie powinien pilnować wejścia?

Stróż zbladł i popędził na dół. Po chwili zniknął i Roman.

– Wspaniały! Wspaniały! – wymamrotał kustosz Skiełto, oddalając się nieśpiesznie z rękami złożonymi na brzuchu.

Frانيا została sama przed obrazem. *Kukułka* rozświetlona miękkim, rozproszonym światłem zajmowała jego centralną część. Czernie i szarości w upierzeniu zostały subtelnie zestrojone. Była doskonała. Ale... pan Miecio miał rację, rzeczywiście coś tu nie grało. I chyba nie była to barokowa rama.

– Podoba się pani? – usłyszała nagle za plecami.

Odwróciła się. Wysoki, chudy jegomość w dobrze skrojonym garniturze uśmiechnął się przyjaźnie.

– Bardzo!

– Pani pozwoli, Antoni Kozieliński. – Skłonił się.

– Ach, to pan! – Franię zaskoczył młody wiek hrabiego, który nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. – Jakże miło, że użycza nam pan takiego dzieła. Franciszka Tańska, pracuję w muzeum. – Wyciągnęła ku niemu dłoń. Pochylił się i złożył na niej pocałunek. Okrągłe okulary w srebrnych oprawkach zsunęły mu się przy tym na czubek prostego nosa.

– Wierzę, że tu jest bezpieczniejsze. U mnie właśnie trwa remont – odpowiedział, poprawiając kciukiem okulary. – A przy okazji szersza publiczność może poznać *Kukułkę*. To akurat mniej znany obraz Chełmońskiego, nigdy nie był wystawiany.

– Kustosz Skiełło wspominał, że znał pan osobiście artystę.

– Owszem.

Podszedł bliżej. Złożył ręce na plecach i pochylił się w stronę obrazu. Studiował go z wyraźnym upodobaniem.

– Lubię kukułki – powiedział. – Czy pani wie, że podrzucają potomstwo innym ptakom? To się może wydawać samolubne, nawet okrutne. – Odwrócił się w jej stronę. – Ale ja myślę, że jest to przejaw desperackiej miłości. Porzucają swoje pisklęta, dając im tym samym szansę na życie. Jest w tym bolesnym wyborze piękno, nie uważa pani?

– Ciekawe spostrzeżenie, choć sama nie ujęłabym tego w ten sposób. Tak czy inaczej, ptaki to bardzo wdzięczny temat. A ten obraz bez wątpienia silnie działa na odbiorcę.

Pokiwał głową.

– Proszę mówić dalej.

– Przyciąga, hipnotyzuje, zachwyca – powiedziała. – Bez wątpienia. Ale wzbudza też niepokój.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Niepokój? Nie rozumiem. – Poprawił okulary, które ponownie zsunęły mu się z nosa.

– Ja też nie. – Uśmiechnęła się. – Przynajmniej na razie.

Hrabia Kozieliński odwrócił się w stronę obrazu. Zaczął przyglądać mu się uważnie od góry do dołu, jakby czegoś w nim szukał.

– Na mnie już czas – powiedziała Frania. – Do zobaczenia jutro.

Nie odpowiedział. Był całkowicie pochłonięty studiowaniem *Kukułki*.

Skład Towarów Węgierskich Sándora Bercsényiego znajdował się na końcu ulicy Żurawiej, tej samej, przy której mieszkała Frania. Nazwa tego przybytku była myląca, gdyż oferował on zasadniczo tylko jeden produkt – tokaje, na dodatek wszystkie z tej samej winnicy. Wewnątrz było jasno, a to za sprawą regularnie bielonych ścian i dużych okien, które mimo że pokryte warstwą ulicznego kurzu, wpuszczały do pomieszczeń na parterze dużo światła.

W rogu, na podniszczonym, choć eleganckim fotelu, pamiętającym jeszcze czasy rozbiorów, przesiadywał młody chart o imieniu Balaton. Na ścianach wisiały rzędy szerokich bukowych półek wypełnionych butelkami z białego szkła, pięknie eksponującego ich bursztynową zawartość. W podłodze, za prostym kontuarem pomalowanym na zielono znajdowała się kłapa, a pod nią kręte metalowe schody prowadzące w głąb piwnicy. To tam, w niewielkich dębowych beczkach dojrzewały młodsze roczniki wina regularnie zwożone tu z Węgier. Po odleżeniu stosownego czasu Sándor rozlewał je do butelek, które wędrowały na górę, na bukowe półki. Puste beczki wysyłano zaś z powrotem na Węgry, robiąc miejsce kolejnym.

Frانيا lubiła zaglądać do Sándora po pracy. Ich zażyłość narodziła się dwa lata wcześniej, tuż po jej przeprowadzce do Warszawy, kiedy to wbrew dobrym obyczajom pchnęła drzwi składu opatrzone dzwonkiem i zakupiła pierwszą w życiu butelkę tokaju. Sándorowi spodobała się ta dziwna niezależność. W końcu nie każda panna z dobrego, ziemiańskiego domu – a nie miał wątpliwości, że właśnie takową miał przed sobą, kiedy pakował dla niej w biały szeleszczący papier butelkę szamordniego rocznik 1916 – miała odwagę na podobne zakupy w przybytku takim jak jego skład, i to w świetle dnia. Bogate warszawskie i podwarszawskie domy oczywiście zaopatrywały się u niego w całe skrzynki wina, ale wysyłano po nie raczej kucharzy czy służących, ewentualnie proszono o dowóz. Kobieta, i to kupująca butelkę – jak się domyślił – jedynie na własny użytek, była zjawiskiem tak rzadkim jak łoś na węgierskiej równinie. Choć, gwoli ścisłości, musiał przyznać, że jego zainteresowanie nową sąsiadką podsyciły również

spływające na gładki dekolt rude loki i oczy w kolorze migdałów. Z czasem Frania zaczęła wpadać do Sándora nie tyle po butelkę wina, co na pogawędkę, aż wreszcie wizyty w Składzie Towarów Węgierskich przerodziły się w stały element jej powrotów z muzeum do domu.

– Służę. – Sándor podał jej ogień, jak tylko wcisnęła się na fotel obok Balatona i wyciągnęła z torebki srebrną papierośnicę. – Jesteś bardziej zasępią niż zwykle. – Oparł się o kontuar i spojrzał na nią badawczo.

Zaciągnęła się papierosem.

– Widziałam dzisiaj obraz.

– I co?

– I nic. Przywołał wspomnienia.

– Złe?

– Dobrze. Bardzo dobre.

– Zatem o co chodzi?

Uciekła przed jego spojrzeniem i zwróciła oczy ku sufitowi, pod którym wiła się cienka smuga papierosowego dymu.

– Wiesz, jest w tym obrazie coś niepokojącego. Mam złe przeczucia. Zresztą sam jutro zobaczysz – powiedziała po chwili milczenia. – Będziesz?

Przytaknął i mrugnął do niej. Jego brwi żyły własnym życiem, niemal tańczyły na czole, a prawa wykonywała od czasu do czasu skłon w dół, gdy puszczał do kogoś oko. Ten niepozorny ruch miał w przypadku Sándora wiele znaczeń. Raz był niczym przyjacielskie klepięcie w plecy, innym razem oznaczał nić porozumienia lub współczucie, najczęściej jednak był przejawem flirtu. Frania, wciąż jeszcze mierząca się z bolesną przeszłością, nie zwracała na nie uwagi, ale większość kobiet obdarzonych przez Sándora owym mrugnięciem oblewała się rumieńcem zadowolenia. Podobał się kobietom. Nosił się elegancko, choć – jeżeli tylko sytuacja na to pozwalała – rezygnował z krawatów i muszek, pozostawiając kołnierzyki białych koszul nonszalancko rozpięte. Miał ciemne, gęste włosy, opadające na oczy. W Warszawie mówiono o nim, że jest podwójnym szpiegiem, bałkańskim księciem, obłąkanym alchemikiem. Niewykluczone, że wiele z tych plotek sam wypuszczał w świat.

Balaton wyprostował łapy, spychając Franię na krawędź fotela.

– No już dobrze, wygrałeś. – Pogładziła go po głowie i podeszła do kontuaru. – Sándor, czy ty wierzysz w ludowe przesady?

– Ależ, Franiu, wiesz przecież, że ja w nic nie wierzę. – Znowu do niej mrugnął. – Dlaczego pytasz?

– Bez powodu – skłamała.

Zgniotła resztkę papierosa w porcelanowej popielniczce podsunętej przez Sándora.

– A ty wierzysz? – zapytał.

– Odpowiem ci za jakieś piętnaście lat, jeżeli spełni się pewna kukułcza wróżba.

Roześmiał się.

– Wypijmy za ludową mądrość!

Zanurkował pod kontuar. Zabrzączały potrącone butelki. Po chwili wynurzył się z dwoma kieliszkami z grubo ciętego szkła. Mrugnął do Frani, podszedł do jednej z półek i ściągnął pierwszą z brzegu butelkę. Spojrzał na etykietkę i pokiwał z aprobatą głową. Z kieszonki kamizelki wyciągnął korkociąg. Kiedy korek ustąpił z przyjemnym pyknięciem, Sándor rozlał wino do kieliszków, rozchlapując część na kontuar przez nieuwagę.

– Na zdrowie. *Egészségetekre!*

Skinęła głową i uniosła kieliszek.

– Jak interesy? – zmieniła temat.

Nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się szeroko. Podszedł do drzwi i zawiesił na nich tabliczkę z napisem: „Zamknięte”. Po czym sięgnął po opartą o kontuar wiolonczelę i przystąpił do wykonywania *Koi Nidrei*.

Cały Sándor! Frania była pewna, że na polskim upodobaniu do dobrych węgryznów zbija fortunę. Jego sukces był po trosze dziełem przypadku, a po trosze skutkiem skomplikowanej rodzinnej historii. Babka Sándora, córka polskiego magnata, swego czasu popełniła mezalians z miłości. Wyszła za austro-węgierskiego pośta i wyjechała do Budapesztu. Żadne z trojga jej dzieci nie mówiło płynnie po polsku, za to świetnie po węgiersku i niemiecku, co uznała za swoją życiową porażkę i postanowiła nadrobić w kolejnym pokoleniu. Sándor, najstarszy wnuk, do którego konsekwentnie zwracała się: Aleksandrze, stał się głównym obiektem jej pedagogicznych wysiłków. Trzeba przyznać, że odniosła sukces. Sándor posługiwał się bez problemu trzema językami. Pierwsze słowo, jakie padło z jego ust, było polskie

i ku zaskoczeniu wszystkich brzmiało: „bursztyn” – tyleż trudne do wymówienia, co egzotyczne na Węgrzech. Polszczyzna Sándora była dokładnie taka jak jego babka eksmagnatka – elegancka, z odrobiną staroświeckiej patyny. Frania bardzo lubiła go słuchać, nieważne, o czym mówił.

Kiedy Sándor ukończył lat osiemnaście, rodzina uznała, że nadszedł czas, by odbył zwyczajową podróż po Europie. Zaopatrzony stosownie na drogę, zamiast do Wiednia, tak jak przykazał mu ojciec, Sándor udał się w przeciwnym kierunku i wylądował we Lwowie. Po czym, dalej ignorując rodzicielskie nakazy, ruszył na północ. W międzyczasie wybuchła wielka wojna, która przeszkodziła mu w dalszej podróży, czym Sándor szczególnie się nie przejął, bo w Królestwie Polskim czuł się jak u siebie. Po wojnie, wbrew wezwaniom do powrotu do rodzinnego majątku nad Bodrogiem, na nowy dom wybrał Warszawę, miasto literatów i artystów, które jako stolica niepodległego państwa właśnie otwierało nowy rozdział w swoim dotąd dość prowincjonalnym życiu. Zupełnie jak Sándor.

*

Po krótkiej wizycie u Sándora, potykając się o nierówności chodnika, Frania wróciła do domu z mocnym postanowieniem kontynuowania prac nad własnym, nieskończonym od dwóch lat obrazem. Tytuł roboczy dzieła, jak i sama koncepcja ulegały ciągłym zmianom. Chwilowo stanęło na martwej naturze z bażancami piórami. Miały symbolizować nowy początek i gotowość do lotu. Frania bezskutecznie poszukiwała jej w zakamarkach swojej duszy, toteż na razie mogła się pochwalić jedynie znikomymi postępami. Podejrzewała, że problem tkwi w bażantach, które najczęściej wędrują przez pola, kołyszając się na boki, a jeśli już lecą, to jakoś tak nisko nad ziemią i raczej powoli. Zamówiła więc u Rasmusa, młodego Cygana kręcącego się po śródmieściu, porządne pióro orlika grubodziobego, ptaka, który – jak powszechnie wiadomo – wzbija się wysoko. Rasmus pobrał opłatę pięćdziesięciu złotych z góry i kazał czekać. Realizacja takiego zamówienia musi potrwać, za piórami trzeba się nachodzić, i to najczęściej po jakichś trzęsawiskach, tłumaczył. Mijały

tygodnie, a pióra jak nie było, tak nie ma; Rasmus przepadł jak kamień w wodę. Na razie musiała więc zadowalać się bażancami.

Frania odsłoniła zasłony w pracowni tak zdecydowanym ruchem, że aż jęknęły karnisze. Miękkie popołudniowe światło rozświetliło stojący pod oknem stolik przykryty serwetą z koronki koniakowskiej. Obok kryształowej miseczki z pomarszczonymi już jagodami – ostatnimi w tym roku – leżały pióra. Przesunęła palcami po jednym z nich i mimo woli wróciła myślami do *Kukułki*. Lotki na obrazie były miękkie, aksamitne, widać było oko i rękę mistrza. A jednak coś było nie tak. Tylko co? Krążyła przez dłuższą chwilę niespokojnie po pracowni. Wreszcie podeszła do sztalug, na których stał niedokończony obraz. Wzięła pędzel i przyłożyła do płótna w miejscu, w którym miseczka stykała się z serwetą. Zamiast delikatnego półcienia pojawiła się plama. Frania prychnęła niezadowolona.

W jej rodzinnym domu w Leosinie było bardzo dużo obrazów. Miała kilkanaście lat, kiedy na jednym z pejzaży przedstawiających łąny pszenicy domalowała kilka chabrów. Innym razem do martwej natury wiszącej w gabinecie ojca dodała śliwkę, co było dość zabawne, bo na obrazie były już irysy, a przecież każdy wie, że kiedy kwitną irysy, to nie ma jeszcze śliwek. Wspaniale się jednak razem komponowały i Frania sama przed sobą przyznawała nieskromnie, że pięknie wyszedł jej siny nalot na matowej skórcie.

Afera wybuchła, kiedy na portrecie babki Katarzyny domalowała kieliszek wiśniówki. Był to zabieg tyleż artystycznie udany, co niefortunny. Babka nie piła z zasady i uważała, że kobiecie sięganie po alkohol nie przystoi. W ogóle stroniła od wszelkich życiowych uciech, przestrzegała skrupulatnie wszystkich postów i najchętniej przesiadywała w rodzinnej kaplicy. Niedopity kieliszek wiśniówki na stolyczku obok uchwyconej w zadumie babki całkowicie zmieniał wyraz dzieła i mógł skłonić potomnych do błędnych wniosków, co było oczywiście niewybaczalne. Rodzinne śledztwo dość szybko doprowadziło do Frani. Dostała zakaz dotykania obrazów i – własne płótna. Tak się zaczęło jej malowanie na poważnie. Tworzyła przede wszystkim pejzaże, sad za dworem, mgły podnoszące się rankiem znad łąk, pochyloną od starości gruszę między łąkami pszenicy... Próbowwała uchwycić na płótnie swój mały, bezpieczny świat i była w tym naprawdę dobra.

Kiedyś namalowanie głupiej miski z jagodami nie było dla niej żadnym artystycznym wyzwaniem. A dziś?

Odejście Sewera wszystko zmieniło. Odtąd ciemność i gorycz wylewały się z niej za każdym razem, gdy sięgała po pędzel. Liczyła, że wyjazd do Warszawy coś zmieni, wróci dawna radość tworzenia. Na próżno. Spod ręki Frani od lat nie wyszedł ani jeden ukończony obraz.

Złapała miskę z jagodami i poszła do kuchni. Marynia, służąca Frani, pochylona nad stołem obierała ziemniaki i ku ucieście siedzącego u jej stóp Józia głośno śpiewała:

*Ej, przeleciał ptaszek kalinowy lasek,
siwe piórka na nim zadrzały.
Nie płacz ty, dziewczyno, nie płacz ty, jedyna,
albo ci to świat mały?*

– Obraz skończony? – zapytała.

– Nie. Ale coś trzeba zrobić z jagodami. Może drożdżówki? – Frania postawiła miseczkę na stole.

Marynia odłożyła obranego ziemniaka do garnka z wodą i łytnęła groźnie okiem. Ciągła wymiana jadalnych rekwizytów w pracowni nastroczała dodatkowych zajęć w kuchni. Frania nie wytrzymała jej spojrzenia i zwróciła się ku Józiowi, który podpełzł ku niej i pociągnął za rąbek spódnicy.

– Kupić jutro na rynku maliny? Jeszcze są. – Marynia wróciła do obierania ziemniaków.

Frانيا wzięła Józia na ręce. Uśmiechnął się i pociągnął ją za kosmyk rudych włosów.

– Dobrze. Niech będą maliny.

Nie wierzyła, że maliny cokolwiek zmieniają.

SOBOTA, 30 SIERPNI 1924 ROKU

Główna galeria malarstwa polskiego na pierwszym piętrze Muzeum Narodowego pękła w szwach. Uroczyste odsłonięcie trzech nowych

dzieł w zbiorach muzeum przyciągnęło wiele znanych postaci z warszawskich wyższych sfer i artystycznego świata. Wśród nich nie mogło zabraknąć pięknej Loli Nowickiej. Gdziekolwiek się pojawiła, skupiała uwagę niczym latarnia morska w bezksiężycową noc. I teraz też nie było inaczej. Krążyła po sali z mazagranem w dłoni, oddając uśmiechy panom i komplementy paniom. Miała modnie obcięte blond włosy w naturalnym chłodnym odcieniu i duże niebieskie oczy. Jej cera była nieskazitelna, zawsze lekko zaróżowiona, a usta pełne. Do tego miała figurę klepsydry, którą bez skrupułów podkreślała. Jej śmiech unosił się ponad szmerem rozmów, ale to złota suknia z falbankami, kusa i oszczędna w materiale, odsłaniająca kolana, przyciągała spojrzenia i była powodem dyskretnie wymienianych komentarzy.

Loli nie obchodziło nic, co o niej mówiono. To ona mówiła o innych. Albo – co było jeszcze dotkliwsze – uparcie milczała. Tak, dla niektórych pań z towarzystwa przemilczenie ich obecności na jakiejś premierze czy ich sukni w rubryce high life Loli bywało przyczyną małych dramatów. Dlatego, czy się kolana Loli wystawione na widok publiczny podobały, czy nie, zabiegano o jej życzliwość.

Płynąc przez salę, Lola z czujnością lisa obserwowała zgromadzonych. Patrzyła, kto z kim rozmawia, kto kogo unika. Odnotowała przybycie starej hrabiny Paliszewskiej i co ciekawe – nieobecność jej małżonka. Dostrzegła kremowy goździk w butonierce znanego aktora i imponującą suknię w tym samym kolorze jego kochanki, która oficjalnie była żoną ambasadora jednego z mroźnych państw północy. Wreszcie skupiła wzrok na niewielkim podeście usytuowanym w głębi galerii i zmrużyła z dezaprobatą błękitne oczy. To tam właśnie tłoczył się kwintet dęty blaszany, przyjemny co prawda dla ucha, ale zupełnie niepasujący do charakteru przyjęcia. Lola wiedziała skądinąd, że dyrektor muzeum chciał zatrudnić kwartet smyczkowy o repertuarze klasycznym. Za namową Frani, bywalczynie zasnutych nie tylko papierosowym dymem jazzowych lokali, zaangażowano kwintet o wiele mówiącej nazwie Szał Jazz Band. Ze stanowczo za małego jak na potrzeby pięciu muzyków podestu płynęły teraz bystro nuty improwizowanych kawałków. Członkowie Szał Jazz Bandu kołysali się rytmicznie ze zgodnym przytupem i tylko puzonista zakłócał tę harmonię, z braku miejsca dźgając raz po raz suwakiem w plecy kolegę grającego

na waltorni. Powodowało to natychmiastowe podniesienie skali dźwięku i niemiły pisk, który ginął jednak w gwarze toczonych rozmów.

Lola poszukała wzrokiem Frani. Ta stała pod jednym z wielkich okien w towarzystwie kustosza Skiełły.

– Pięknie wyszło, prawda? – Kustosz Skiełło pochylił się ku Frani. – Tyle znakomitości!

– Wszystko idzie zgodnie z planem – powiedziała z dumą Frania. – Pozyskanie kolejnych obrazów to tylko kwestia czasu – dodała szeptem.

Kustosz zachichotał i zatarł ręce. Był zadowolony i wyjątkowo spokojny.

– O, hrabia Kozieliński! Przepraszam, pójde się przywitać. – Oddalił się ku wejściu. Frania patrzyła, jak wymieniają serdeczny uścisk dłoni.

– Kto to? – Lola podeszła do Frani i podążyła za jej spojrzeniem.

– Hrabia Kozieliński.

– Kozieliński? Nie znam.

– Nie? Myślałam, że ty znasz wszystkich.

– No popatrz, jeden hrabia się uchował. – Roześmiała się.

Tymczasem dyrektor podszedł do podium i zaczął chrząkać, próbując tym samym skłonić Szal Jazz Band do ustąpienia mu miejsca. Muzycy nie od razu odczytali jego intencje i zaczęli przygrywać jeszcze intensywniej. Nieporozumienie zapewne wynikało z fizjonomii dyrektora. Miał jasne włosy, precyzyjnie zaczesane na bok, z równiutkim przedziałkiem, i gęste blond wąsy wypomadowane tak, że wzbijały się pionowo ku górze. Właśnie te wąsy sprawiały, że dyrektor zawsze wyglądał na zadowolonego. Nawet wtedy, kiedy taki nie był. Jak w tamtej chwili. Poluzował muszkę ciasno przylegającą do pulchnej szyi i znacząco postukał palcem w zegarek. Podziałało. Członkowie Szal Jazz Bandu jak na zawołanie wydobyli ze swoich instrumentów ostatni przeciągły dźwięk i zeszli ze sceny.

Dyrektor zajął ich miejsce. Pstryknął palcem w mikrofon, by się upewnić, czy jest włączony. Był. I na dowód wydał z siebie niski, nieprzyjemny jęk. Zebrani w galerii ucichli, niektórzy teatralnie zasłonili uszy. Dyrektor chrząknął kilka razy, przywitał wszystkich i podjął:

– Dziś, dzięki hojności i uprzejmości benefaktorów naszej szacownej placówki, udostępniamy szerokiej publiczności trzy nowe obrazy. Każdy

z nich opowiada inną historię, ale wszystkie łączy wysoka kultura artystyczna oraz...

– Witam piękne panie, całuję rączki, padam do stóp! – Sándor wyrósł za plecami Frani i Loli i objął obie jednocześnie. – Spóźniłem się?

– Nie, dopiero się zaczyna. – Frania odsunęła jego rękę.

Istotnie, dopiero się zaczynało. Dyrektor mówił długo i zawile. Sándor wiercił się i rozglądał niecierpliwie dookoła, w końcu złowił wzrokiem kelnera sunącego między gośćmi. Z tacy pełnej rozedrganych kieliszków wina wziął trzy i obdzielił nimi Franię, Lolę i siebie.

– *Egészségetekre!* – powiedział nieco zbyt głośno.

Kilka osób zwróciło się w ich stronę. Stojąca przed nimi starsza pani ze sznurem pereł na plecach cyknęła z dezaprobatą. Sándor mrugnął do niej i uniósł kieliszek, a ona natychmiast się uśmiechnęła. Frania z nudów zaczęła liczyć te perełki, musiała jednak cały czas zaczynać od nowa, gdyż za sprawą trzech mazagranów perełki zdawały się zlewać jedna z drugą i ciągle gubiła rachunek.

Wreszcie dyrektor zszedł z podium, żegnany brawami i powszechnymi westchnieniami ulgi.

Przyszła kolej na kustosa Skiełto. Czerwony z przejęcia, podszedł do pierwszego zakrytego obrazu. Zaczął wymieniać zasługi i chwalić doskonały gust ofiarodawcy, który należał, by pozostać anonimowym. Lola parsknęła śmiechem i zakrzuszyła się winem. Doskonale wiedziała, że małżonka tegoż darczyńcy – pułkownikowa Korska – zadbała w kularach, by anonimowy nie pozostał.

Kustosz Skiełto zrobił efektowną pauzę, po czym zdarł zasłonę. Rozległy się brawa i wymieniane półgłosem uwagi. Anonimowy darczyńca pokraśniał z zadowolenia, a jego żona dumnie uniosła podbródek, świadoma zazdrosnych spojrzeń posyłanych w ich kierunku.

Z tyłu sali, ponad głowami publiczności niewiele było widać. Lola wspięła się na palce.

– Nudy, scena batalistyczna – stwierdziła.

– Mnie się podoba – powiedział Sándor. – Ten zakrwawiony huzar wygląda bardzo autentycznie.

Lola posłała mu kpiący uśmiech. Noga Sándora mimo wielu przykrych okazji stwarzanych przez trudne dzieje nie pozostała na żadnym

polu bitwy. Ba! Nie zbliżyła się do żadnej z linii frontu przecinających kraj w ostatnim dziesięcioleciu.

Ucichły brawa, kustosz Skiełło przeszedł do drugiego obrazu.

– Franiu, a te dwa pozostałe? – zapytała szeptem Lola.

– Bardzo udane. Reprezentują nurt realistyczny. Ten to scena rodzajowa z ciekawymi typami prowincjonalnymi, a następny będzie bardzo efektowny pejzaż. Zaraz zobaczysz.

Lola dyskretnie ziewnęła. Drugi obraz zrobił na niej jeszcze mniejsze wrażenie. Ciekawe typy prowincjonalne nie pomogły w jego odbiorze. Frania zaczęła cierpliwie tłumaczyć, na czym polega wyjątkowość dzieła, umilkła jednak w pół zdania, kiedy kustosz Skiełło stanął obok zastąpionej *Kukułki* i swoim zwyczajem zatarł ręce.

– To ten? – Sándor pochylił się ku Frani.

– Ten.

– Mistrz Chełmoński jak nikt potrafił zatrzymać piękno przyrody na płótnie – podjął kustosz. – Malował z rozmachem, choć subtelnie. Dzięki uprzejmości hrabiego Kozielińskiego po raz pierwszy na widok publiczny możemy wystawić jedno z jego ostatnich dzieł. Nieznane, ale zapewniam, że nie mniej zachwycające niż słynne Kuropatwy na śniegu czy Odlot żurawi. Mamy tu do czynienia z krajobrazem głęboko odczutym, przesyconym światłem, interesujące jest zwłaszcza niebo zimowe. O odsłonięcie płótna poproszę jego właściciela, który w swojej hojności dzieli się tymczasowo tą perłą własnej kolekcji z publicznością.

Hrabia Kozieliński stanął obok kustosa, uśmiechnął się nieśmiało i podniósł wzrok na zgromadzonych przed obrazem. Publiczność wpatrywała się w niego w napięciu. Był ubrany w elegancki smoking, a jego ciemne włosy, gładko zaczesane do tyłu dzięki dużej ilości pomady, błyszczały w blasku rzucanym przez elektryczne żyrandole zainstalowane w muzeum niespełna kilka miesięcy wcześniej. Hrabia poprawił okulary, mimo że wcale nie było to konieczne.

– Panie i panowie... – zawiesił głos, a w sali nastąpiła kompletna cisza. – Oto *Kukułka* Józefa Chełmońskiego!

Zastona opadła z szelestem. Przez tłum przeszedł okrzyk zdumienia, a później szmer, który rozlał się niczym fala i zaczął wzbierać na sile.

Wybuchła wrzawa.

– Co się dzieje? – Lola podniosła głos.

– Nie wiem! Sándor, widzisz coś? – Frania złapała go za ramię.

Zagadnięty wyciągnął szyję, ale ponad napierającym w stronę obrazu tłumem nie mógł nic zobaczyć.

Franię ogarnęło nagle złe przeczucie. Zaczęła przeciskać się w stronę obrazu. Im była bliżej, tym jej niepokój narastał, potęgowany jeszcze rozlegającymi się dookoła okrzykami wzburzenia. Torując sobie drogę łokciami wymierzonymi w co bardziej korpulentnych uczestników przyjęcia i odpychając na bok tych o skromniejszych posturach, przedarła się wreszcie do pierwszego rzędu.

Najpierw zobaczyła bladego z przerażenia kustosza Skiełłę. A potem hrabiego Kozielińskiego zwróconego twarzą w stronę ściany, na której wisiała pusta barokowa rama.

Kukułka zniknęła.

ROZDZIAŁ II

O LATAJĄCYM OBRAZIE I O ZŁAMANYM NOSIE PEWNEJ AKTORKI, OD KTÓREGO ZACZEŁA SIĘ PRZYJAŻŃ FRANI TAŃSKIEJ Z LOLĄ NOWICKĄ

NIEDZIELA, 31 SIERPNI 1924 ROKU

Frania mieszkała na pierwszym piętrze eleganckiej kamienicy z piaskowca przy ulicy Żurawiej 18. Drugie piętro zajmowała niezrównana interpretatorka żydowskich pieśni charakterystycznych Perel Rozenkier vel Gina Mirabel wraz z mężem Karolem i dwójką psotnych bliźniąt w wieku szkolnym. Nad nimi mieszkał emerytowany inżynier Więckowski. Na czwartym, ostatnim piętrze mieściły się pokoje dozorczy, bon i gospodyń.

Nad bramą kamienicy wyrzeźbiono dwa zaplątane w kłęcza winorośli cherubiny, spoglądające ze zdziwieniem na przechodniów tudzież dorożki leniwie przetaczające się po bruku. Jedna z nich zatrzymała się właśnie przed wejściem. Wsiadła z niej, zgrabnie przeskakując ponad kałużą burej wody stojącej w nierówności chodnika, Lola Nowicka. Wygładziła płaskie falbanki sukienki z chińskiej krepy w kolorze białym, który podkreślał delikatną opaleniznę jej ramion i – tym razem częściowo zasłoniętych – łydek. Do bramy zbliżał się akurat od strony ulicy Brackiej Sándor. Swoim zwyczajem puścił do Loli oko i pstryknął palcami

w rondo słomkowego kanotiera założonego nieco na bakier. Idący u jego boku Balaton machnął ogonem.

– Zniknąłeś wczoraj bez słowa – powiedziała Lola.

– Wybacz, takie zamieszanie się zrobiło. Nic tam po mnie. Zresztą, byłem umówiony. – Po raz kolejny mrugnął do niej i uśmiechnął się szeroko.

– Słuchaj, Sándor, a może... – Lola nie zdołała dokończyć zdania, gdyż zupełnie niespodziewanie na chodniku tuż obok nich wylądowało sporych rozmiarów płótno na drewnianym stelażu. Odskoczyli z krzykiem w głąb bramy. Balaton zaczął ujadać.

– Co to było, do diabła? – Sándor poprawił kapelusz.

Spojrzeni na siebie, po czym ostrożnie wyszli na ulicę. Balaton powąchał brzeg stelażu, na którym widniał – tak, Lola była tego pewna – niedokończony obraz Frani! Ten z bażancimi piórami! Zerknęła w górę. Przez otwarte okno na pierwszym piętrze powiewała firanka.

Lola pokręciła głową, a Sándor gwizdnął przeciągle, po czym podniósł obraz. W milczeniu weszli do kamienicy, pokonali szerokie marmurowe schody i stanęli przed drzwiami mieszkania opatrzonego mosiężną tabliczką z pięknie wygrawerowanym kursywą napisem:

Franciszka Eleonora Tańska
Artystka malarka

Sándor nacisnął dzwonek, a ponieważ po pierwszym i drugim brzęknięciu nikt nie otworzył, przystąpił, ku irytacji Loli, do wygrywania na nim węgierskiej ludowej melodyjki. Inżynier Więckowski, który akurat wracał z kościoła i posapując, mozolnie wspinał się po schodach, obrzucił ich niepochlebny spojrzeniem.

– Cudzoziemcy! – wymamrotał pod nosem. Uchylił jednak kapelusza w odpowiedzi na wesołe pozdrowienie Sándora.

Widać Marynia miała wychodne, bo drzwi otworzyła wreszcie sama Frania. Była ubrana w luźne spodnie z czarnego jedwabiu i krótkie białe kimono. Rudy kok na czubku głowy zabezpieczony został pędzlem. Była wściekła.

– Zgubiła pani obraz – powiedział Sándor.

– Aaargh! – Wyrwała mu z ręki płótno i rzuciła w kąt, po czym zniknęła w kuchni.

Lola i Sándor podążyli wąskim korytarzem ku pokojowi dziennemu. Lola uchyliła skrzydło drzwi prowadzących do przylegającej do salonu pracowni i zajrzała do środka. Pomieszczenie wypełniał zapach terpentyny, na podłodze leżała rozbita butelka z ciemnego szkła. Stolik z kompozycją poznaczony był rozgniecionymi malinami. Bładoróżowy sok wsiąkł w koronkową serwetę. Nie było sensu pytać, co zaszło. Frania miewała wybuchy gniewu podczas twórczych zmagają. Widocznie był to jeden z nich. Lola westchnęła, zamknęła drzwi do pracowni i usiadła w fotelu pod oknem. Sándor zajął drugi.

Frania przyniosła tacę z dzbankiem kompotu i drożdżowym ciastem z jagodami. Po czym wyciągnęła się na kanapie i ubiła wzrok w sufit. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Ciszę wypełniało miarowe tykanie olbrzymiego zegara oraz dochodzące z ulicy okrzyki ulicznego handlarza:

– Kalafiorzy sprzedają, ka-la-fiorzy!

– Przyjechała policja? – zapytał Sándor, nakładając sobie spory kawałek ciasta na talerzyk.

– Tak.

Frania wyjęła z kieszeni spodni papierośnicę i pudełko zapalek. Sándor już miał wstać, by podać jej ogień, ale powstrzymała go machnięciem ręki.

– Przeszukaliśmy wczoraj całe muzeum. I nic! Jak kamień w wodę! – Zaciągnęła się papierosem.

– Myślisz, że ktoś go ukradł? – zapytała Lola.

– To oczywiście, że ktoś go zabrał! Taki obraz to egzemplarz jeden na tyśiąc!

– Ile jest wart?

– Sándor! – Lola szturchnęła go czubkiem pantofla w łydkę.

– No co? – obruszył się, zbierając okruchy ciasta z kamizelki. – Pewnie sama jesteś ciekawa!

– Jest bezcenny – powiedziała Frania, strzepując popiół do stojącej na podłodze popielniczki. Był to przedmiot osobliwy, wykonany z oprawionego w srebro kopytka ukochanego konia dziadka Frani. Rodzinna pamiątka, którą zabrała z Leosina, nikomu o tym nie wspominając. – Dobrze, może nie bezcenny, ale na pewno sporo wart,

jak wszystkie obrazy Chełmońskiego. Zresztą nieważne, ile jest wart. To olbrzymia strata! Dla narodu. I dla sztuki.

Balaton, który do tej pory leżał w płamie słońca u stóp Sándora, wstał, przeciągnął się i podszedł do kanapy. Frania udawała, że nie słyszy jego pisków, ale w końcu dała za wygraną i opuściła bose stopy na podłogę, robiąc mu miejsce. Pies wskoczył na kanapę, zwinął się w kłębek, mlasnął kilka razy i natychmiast zasnął.

– To moja wina. Ja to wszystko wymyśliłam. I jeszcze namówiłam kustosza, by poparł ten idiotyczny pomysł.

– Co ty opowiadasz, Franiu! – Lola odstawiła szklankę z niewypitym kompotem.

Frانيا się zawahała. Przez chwilę gładziła Balatona po chudej głowie, wreszcie – nie patrząc na przyjaciół – powiedziała:

– Nie mieliśmy z kustoszem czystych intencji, organizując tę galę.

– Nie?

Frانيا pokręciła głową.

– Wcale nie chodziło o uroczyste odsłonięcie tych obrazów.

– A o co?

– O zagranie na narcystycznych skłonnościach tudzież fałszywej skromności kolejnych potencjalnych darczyńców.

– Ależ, droga Franiu, prosimy jaśniej. – Sándor sięgnął po kolejny kawałek ciasta.

– Kalafiory sprzedaję, ka-la-fiory! – odezwał się ponownie z ulicy handlarz.

Frانيا nie odpowiedziała od razu, tylko w zamyśleniu głąskała Balatona.

– Fetując szampanem i oklaskami tych, którzy przekazali nam te trzy obrazy, chcieliśmy skłonić kolejnych do podobnego gestu. – Podniosła oczy. – Któż nie chciałby zyskać takiej sławy? Przecież to takie proste! Wystarczy kupić dla muzeum lub wyłuskać z własnej kolekcji obraz, który swoim poziomem artystycznym, ewentualnie patriotyczną wymową przebiłby dary poprzedników. I gotowe! Miejsce na kartach historii gwarantowane. Nie mówiąc o powszechnym podziwieniu już teraz.

– Taki piękny, bezinteresowny gest dla dobra ogółu – powiedziała ironicznie Lola.

– I co w tym złego? Przedni pomysł na zwiększenie kolekcji – powiedział Sándor.

– Idiotka ze mnie! – Frania pokręciła głową. – Myślałam, że przyciągniemy nowych darczyńców, a przyciągnęliśmy złodzieja.

– Nie mogłaś tego przewidzieć – powiedziała Lola.

– Nóżki baranie! A jak zwolnią za to Skiełłę? On ma ojca inwalidę na utrzymaniu! Nie wybaczę sobie tego!

– Spokojnie. Co mówi policja?

– Na razie nic. Jutro będą przesłuchiwać wszystkich pracowników.

– A dlaczego twój własny obraz lata przez okno? – Sándor zmienił temat.

Policzki Frani poróżwiały. Podniosła popielniczkę z podłogi i z całej siły rozgniotła w niej niedopałek papierosa.

– Bo nie mam za grosz talentu! Sam widziałeś! To się do niczego nie nadaje.

– Wybacz, Franiu, nie zdążyłem się przyjrzeć, za szybko przeleciał mi przed oczami. – Sándor roześmiał się szczerze.

Odstawił pusty talerzyk i podszedł do gramofonu. Wkrótce pokój wypełniły przebijające się przez trzaski płyty pierwsze takty fokstrotta: „tic ti, tic ta”. Sándor, kołysząc się do taktu, zaczął śpiewać wraz Tadeuszem Faliszewskim:

*Dziś wszystkich smutnych ludzi
Pragniemy rozbudzić,
Muszą razem z nami toast wznieść!
Tic ti tic ta*

*Na przekór troskom, żalom
Niech serca się palą,
Płynię do was ta radosna wieść!
Tic ti tic ta*

Jego śpiew wyrwał z drzemki Balatona i już po chwili do ciepłego tenoru Sándora i skrzypiącej płyty dołączyło przeciągłe psie wycie. Lola zakryła uszy.

*Gdy smutki się rozpułną,
Daj usta, dziewczyno,
Śpiewaj z nami na miłości cześć!
Tic ti tic ta*

Sándor spojrział przeciągle na Franię i mrugnął do niej. Uśmiechnęła się. Zadowolony z efektu, jaki wywołał, podniósł ostrożnie igłę gramofonu. Muzyka ucichła.

– Poznałem kobietę – powiedział, chowając płytę do tekturowej okładki.

– Znowu? – Lola uśmiechnęła się złośliwie.

– I to jaką?

– No jaką? Jesteśmy bardzo ciekawe, prawda, Lolu?

Sándor, zajęty przeglądaniem płyt ustawionych na drucianym stojaku obok gramofonu, nie zauważył wymiany znaczących spojrzeń pomiędzy przyjaciółkami.

– Wielkiej urody oraz łagodnego charakteru. Ideał!

– Patrz, a mówią, że nie ma ideałów – powiedziała Lola.

– Jak nie ma, jak jest. Irma Firlej się nazywa.

Frania rzuciła Loli spłoszone spojrzenie.

– Ta aktorka? – powiedziała, siląc się na obojętny ton.

– Znać ją?

Przytaknęły. Frania sięgnęła po kolejnego papierosa, ale zamiast zapalić, obracała go tylko w palcach.

– Jest taka... sam nie wiem... nieskomplikowana! W pozytywnym sensie, nigdy się nie dąsa.

– Ha!

– O co ci chodzi, Lolu? – zapytał nieuważnie.

Położył kolejną płytę na gramofonowej plincie i przesunął na nią igłę.

Lola pokręciła głową, ale nie odpowiedziała.

Pokój wypełniły dźwięki charlestona. Balaton, który po poprzednim wspólnym koncercie ponownie zapadł w drzemkę, otworzył na chwilę oczy i odwrócił się do ściany. Sándor zaczął śpiewać refren.

Twoja żona

*Tańczy charlestona.
Płonie ona,
Pręży ramiona.*

– Zostawiam was. – Lola wstała i ruszyła do wyjścia.

– Dokąd to? – Sándor próbował ją wciągnąć do tańca, ale wyslizgnęła się z jego objęć.

– Mam coś pilnego do załatwienia.

Sándor machnął ręką na pożegnanie. Po czym przemknął w podskokach na drugą stronę pokoju i porwał do tańca opierającą się Franie.

DWA LATA WCZEŚNIEJ

Frania skutecznie unikała spotkania z Irmą Firlej na warszawskich salonach od ponad dwóch lat. Kiedy tylko szczupła, elegancka sylwetka aktorki zamajaczyła w wejściu, Frania natychmiast odwracała się lub kryła w cieniu jakieś monstery czy rozłożystej palmy zdobiącej modne lokale, w których bywała głównie za namową Loli. Zresztą unikanie Irmy wcale nie było trudne. Jej przybycia nie dało się przeoczyć. Natychmiast zbierał się wokół niej tłumek adoratorów domagających się choćby strzępka uwagi, co niezawodnie izolowało Irmę od reszty towarzystwa.

Frania miała oczywiście ku takiej ostrożności powód. I to dość wstydliwy. A wszystko przez niefortunne zdarzenie, które oprócz tej przykrej konsekwencji, jaką był wewnętrzny przymus unikania popularnej aktorki, miało też dobrą stronę. Legło bowiem u podstaw jej szczerzej przyjaźni z Lolą Nowicką.

U źródła całego zamieszania leżał niepozorny bilet teatralny. Bilet ten wzięła Frani Eleonora Hardt *de domo* Tańska – dla Frani ciotka, dla pozostałych pani ministrowa Julianowa Hardt.

Frania zjawiła się w teatrze kilka minut przed ósmą, o wiele za późno, już po drugim dzwonku. Mieszkając w Warszawie dopiero od kilku dni, zupełnie się pogubiła w stołecznej topografii.

Kiedy wreszcie dotarła we właściwe miejsce i wbiegała zdyszana na wyłożone czerwonym welurowym dywanem schody prowadzące do łoży, drogę zastąpił jej młodzianki bileter, z ledwie widocznym ciemnym wąsikiem. Ubrany był w bordową bluzę i także spodnie obszyte złotym galonem, co nadawało mu w oczach Frani niezwykle urzędowego charakteru.

– Szanowna pani raczy pokazać mi bilecik.

Frania prychnęła zniecierpliwiona i zanurzyła dłoń w torebce. Przerzuciła jej zawartość, ale biletu nie mogła znaleźć.

– Gdzieś tu musi być. – Uśmiechnęła się do biletera.

Ten w odpowiedzi poruszył groźnie wąsikiem. Franja zaczęła więc po kolei wyciągać z torebki kolejne drobiazgi, dla wygody poszukiwać wręczając bileterowi: portmonetkę, puzderko, chusteczkę z fantazyjnie wyhaftowanym monogramem „FT” i herbem Tańskich, bilety wizytowe i malusieńki, nienabity pistolet, który dostała od ojca przed wyjazdem do miasta – „na wszelki wypadek”

– Zapomniałam biletu – stwierdziła z uśmiechem, kiedy zupełnie opróżniła zawartość torebki. – Chyba został w moim sekretarzyku, ale to nie szkodzi. Jestem Franciszka Eleonora Tańska.

Jej słowa nie zrobiły na mężczyźnie najmniejszego wrażenia, dodała więc z godnością:

– Eleonora Hardt to moja cioteczna babka. Czeka na mnie w łoży.

Bileter spojrział na nią surowo. Oddał jej zawartość torebki i otrząpał dłonie.

– A to ciekawe! Już dzisiaj dwie cioteczne wnuczki i jedną córkę pani ministrowej bez biletu odprawiłem.

– To niemożliwe! – oburzyła się Franja. – Ciotka Eleonora nie ma córki, tylko syna, Hubercik mu na imię, ale akurat bawi w Monachium.

Bileter złożył ręce na piersi.

– Łaskawa pani wróci, jak będzie miała bilet.

– Nie zdążę! Przecież spektakl zaczyna się za kilka minut! Proszę mnie przepuścić!

Bileter poruszył nerwowo wąsikiem, zdawał się wahać jej prośbę, a w końcu widać uznał, że Franja nie wzbudza zaufania. Złapał ją za łokieć i wyprowadził przed wejście.

Kilku dorożkarzy uśmiechnęło się znacząco. Jakaś dama w średnim wieku cmoknęła z dezaprobatą. Policzki Frani zapłonęły ze złości i upokorzenia. Cóż robić? Wrócić do domu? Ciotka będzie niezadowolona i bez wątpienia doniesie rodzinie, że Frania zupełnie nie radzi sobie w Warszawie. Nawet zwykłe wyjście do teatru ją przerasta. A wtedy wszyscy będą próbowali ściągnąć ją z powrotem do Leosina. Nie, musi znaleźć sposób, by dostać się do łoży. Najprościej byłoby kupić drugi bilet, niestety kasa była zamknięta na cztery spusty, a na półokrągłym okienku powieszono kartkę z napisem: „Bilety wyprzedane, zapraszamy jutro”.

„Jutro będzie futro” – pomyślała Frania i kopnęła w krawężnik.

– A niech to cholera jasna i nóżki baranie! – syknęła z bólu i podskoczyła kilka razy w miejscu.

Nagle niepozorne boczne drzwiczki obok kasy otworzyły się ze skrzypnięciem dawno nieoliwionych zawiasów. Pięć roześmianych dziewcząt, jedna po drugiej, wyszło przed teatr. Musiały być tancerkami. Miały mocno wytuszone rzęsy i pełne elegancji ruchy. Frania, niewiele myśląc, przytrzymała drzwi, które już, już zamakały się z tym samym skrzypnięciem za ostatnią dziewczyną, i wślizgnęła się do środka.

Korytarz prowadzący w głąb teatru był pusty. Minęła drzwi z napisem „Szatnia” i kilka pomieszczeń gospodarczych, aż wreszcie znalazła się na tyłach bufetu. Weszła na palcach do środka, uważając, by nie stukać obcasami po wyłożonej lśniącem granitem posadzce. Prześlizgnęła się niezauważona obok kelnerów skracających sobie oczekiwanie na antrakt partią brydża. Przebiegła pomiędzy pustymi stolikami z drewna kasztanowego pomalowanymi perłową politurą i ostrożnie uchyliła przeszklone drzwi do głównego holu. Ostatni spóźnieni widzowie spieszyli ku wejściu na widownię.

Biletera nie było w pobliżu. Droga wolna.

Frانيا się zawahała. Czy to przystoi? Przystoi! W końcu bilet na przedstawienie ma, tylko nie przy sobie. Nikomu więc krzywdy nie robi ani miejsca nie zabiera. Rozejrzała się jeszcze raz po pustoszejącym *foyer* i wbiegła na wyłożone dywanem schody prowadzące ku balkonom i łożom. Była w połowie drogi, kiedy na szczycie zobaczyła biletera. Żłote guziki w bordowym mundurku błysnęły w świetle świec

porozstawianych w wiszących na ścianach świecznikach, wąsik groźnie się poruszył. Bileter wymierzył w nią oskarżycielsko palec.

– Stać! – krzyknął.

Frania odwróciła się na pięcie, podciągnęła płaczącą się wokół stóp suknię ze złotej żorżety i zbiegła w dół. Bileter ruszył za nią.

Wpadła do teatralnej kawiarni, przebiegła przez środek, po raz kolejny niezauważona przez grających w karty kelnerów, i schowała się za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Ledwo łapiąc oddech, stanęła zgięta wpół i odczekała dobre pół minuty, nim odważyła się wyjrzeć przez okrągłe okienko w drzwiach. Kelnerzy nieporuszeni kontynuowali partię brydża, a bileter krążył po bufecie, rozglądając się gorączkowo po kątach. Nim Frania zdążyła zanurkować pod okienko, ich oczy się spotkały i bileter ruszył ku wahadłowemu drzwiom niczym rozwścieczony byk w Pampelunie.

Frania pisnęła i rzuciła się w dół ciemnego korytarza. Minęła drzwi do garderób, z których dochodziły podekscytowane głosy i śmiechy aktorów, potrąciła śpieszącego ku orkiestronowi dyrygenta, który ukłonił się nisko i przeprosił, mimo że to nie on był winny kolizji. Wreszcie dotarła do magazynu z rekwizytami i szarpnęła za klamkę. Był zamknięty. Słyszała za plecami kroki ścigającego ją biletera, pobiegła więc dalej, rozganiając na boki techników niosących skrzynie i kable.

Na końcu korytarza znajdowały się wpółotwarte drzwi opatrzone tabliczką z napisem „Magazyn kostiumów”. Wpadła do środka, rozejrzała się po słabo oświetlonym pomieszczeniu, po czym wskoczyła do pierwszej z brzegu wielkiej dębowej szafy. Ledwo zamknęła za sobą drzwi, usłyszała, jak bileter wbiega do magazynu. Przez szparę w drzwiach widziała, jak krąży od szafy do szafy, groźnie posapując, co tylko potęgowało wcześniejsze skojarzenie z rozjuszonym bykiem.

Bileter zatrzymał się w pół kroku i spojrzał podejrzliwie na szafę, w której siedziała Frania. Zamarła. Zaczął iść wolno w jej kierunku. Przez szparę widziała tylko jego cień. Widziała, jak ów cień wyciąga dłoń ku drzwiom szafy, jeszcze trzy, dwa kroki i chwyci za uchwyt, a wtedy...

– A ten mi tu czego? – Nagle z drugiego końca pomieszczenia dobiegł niski kobiecy głos.

– Uciekinierki szukam. Taka dama w złotej sukni tu wbiegła.

– Damy, i to w złotych sukniach, nie biegają! A pan dyrektor tyle razy mówił: ani kropelki berbeluchy w robocie!

– Kiedy ja nic! Co też Michałowa mówi! – obruszył się bileter.

– No już, dyrdaaj stąd!

– Ale...

Frania usłyszała trzaśnięcie drzwi. Siedziała przez chwilę nieruchomo, bojąc się zdradzić swoją obecność, ale widać owa Michałowa wyszła razem z bileterem, bo w magazynie panowała kompletna cisza.

Odetchnęła z ulgą.

Nagle jednak ponownie zdjął ją lęk. Wyczuła, że nie jest w tej szafie sama! Czy to szósty zmysł, czy wyobraźnia, jakiś głos wewnątrz jej głowy szeptał nerwowo: „Ktoś tu jest! Ktoś tu jest!” Wtedy z czeluści błysnęły białka oczu osadzone w wielkim kudłatym łbie!

Frania krzyknęła.

– Cicho! – odezwała się kudłata postać.

Frania zasłoniła usta dłonią, by nie krzyżeć i nie drażnić niespodziewanego lokatora szafy. W myślach zaczęła gorączkowo układać plan kolejnej ucieczki. Kiedy jednak jej oczy wreszcie przyzwyczały się do panującej w środku ciemności, zobaczyła siedzącą na drugim końcu szafy drobną kobietę. Zwisający z wieszaka szal boa z farbowanych gęsich piór układał się miękko na jej głowie, niczym kudłata koafiura, która tak przeraziła Franię.

Dziewczyną z gęsim boa na głowie okazała się Leontyna Nowicka, która w szafie znalazła się ze zgoła innych niż Frania powodów. Otóż niespełna kilka minut wcześniej siedziała na balkonie i oczekiwała na rozpoczęcie spektaklu. Obserwowała przy tym z kronikarskiego obowiązku znajdującą się w dole widownię i wtedy dostrzegła Ludwika Schultza. Co gorsza, on także dostrzegł ją. Ukłonił się i zaczął przeciskać między rzędami krzesel, nie spuszczać z niej rozanielonego spojrzenia.

Ludwik Schultz był bowiem w Loli beznadziejnie zakochany i gdy tylko ją spotykał, rzucał się całować jej dłonie, a nawet, ku obrzydzeniu Loli, przedramiona. Jego afektu nie ostudziło nawet wyznanie Loli, że nie ma szans ani na małżeństwo, ani nawet na przelotny romans, a to z tej przyczyny, że mężczyźni jej nie pociągają. Ludwika to nie zraziło. Wręcz przeciwnie, zdało się jedynie podsycać jego pożądanie. Należał bowiem

do tego rodzaju mężczyzn, którzy łatwo się nie poddawali, a dodatkowo przeszkody traktował jedynie jak słodkie droczenie się.

Wiele kobiet na warszawskich salonach zazdrościło Loli uwielbienia Ludwika, który miał sporo zalet. Do największych należało to, że był zamożnym posiadaczem fabryki cementu i kabli, a przy tym wdowcem o przeciętnej co prawda aparycji, ale za to z pałąkiem wyjątkowej urody, o ścianach wyłożonych mahoniem. Na Loli może i mahoniowe ściany zrobiłyby należyte wrażenie, walor ten miał jednak ograniczone znaczenie, zważywszy na fakt, że Ludwik, jak by nie patrzeć, nie był kobietą. By uniknąć kolejnej niepożądanego manifestacji uczuć względem własnej osoby, rzuciła się więc do wyjścia i ścigana miłosnymi wyznaniem, wpadła do magazynu kostiumów, gdzie ukryła się w szafie z mocnym postanowieniem, że wyjdzie z niej dopiero wtedy, gdy na widowni zgasną światła.

Niespodziewane pojawienie się Frani zmieniło te plany. Pograżywszy się w rozmowie, ani się obejrzały, kiedy skończył się pierwszy akt. Gdy dobiegł do nich gwar rozmów, niezawodny znak antraktu, uznały, że to dobry moment, by wyjść z kryjówki i wmieszać się w tłum.

I wtedy, właśnie wtedy doszło do tego niefortunnego incydentu!

Lola ostrożnie uchyliła jedno skrzydło drzwi, rozprostowała zdrętwiałe nogi i wyszła z szafy. Frania, która umościła sobie siedzisko na pluszowym kostiumie niedźwiedzia, miała trudności z wypłatanie się ze zwojów futra i złotej sukni. By oświetlić sobie nieco ciemne wnętrze, z rozmachem godnym tenisisty otworzyła drugie skrzydło drzwi. Niestety znokautowała przy tym kobietę, która niespodziewanie zjawiła się w magazynie.

– Mój nos! – krzyknęła poszkodowana.

Lola zamarła, Frania jęknęła przerażona. Kobieta, która oberwała od Frani drzwiami, zatoczyła się i odchyliła głowę do tyłu. Lola w jednej chwili ją rozpoznała.

Wreszcie, nie bez trudności, Frania wykaraskała się z szafy. Widok kobiety nią wstrząsnął. Krew z nosa ściekała na dekol i wsiąkała w białą bluzkę.

– Ty! Nie daruję! – Półprzymknięte szafirowe oczy miały gromy. Kobieta ruszyła w jej stronę.

– Co się tam, u licha, dzieje? – Z korytarza dobiegł chropowaty głos Michałowej.

– Pomocy! Zostałam brutalnie napadnięta!

– Nóżki baranie! Uciekamy! – zdecydowała w mgnieniu oka Frania. Złapała struchlałą Lolę za rękę i pociągnęła ją w kierunku wyjścia.

I tak, na dnie teatralnej szafy, pośród pachnących naftaliną krynolin i dziwacznych kostiumów narodziła się przyjaźń Loli Nowickiej i Frani Tańskiej, scementowana wspólną ucieczką po nieumyślnej fandze w nos zaserwowanej najjaśniejszej gwiazdzie Teatru Narodowego Irmie Firlej.

ROZDZIAŁ III

W KTÓRYM INSPEKTOR SZTABA PRZYSTĘPUJE DO ŚLEDZTWA, A FRANIA TAŃCZY TANGO Z SÁNDOREM W SZEMRANYM LOKALU

PONIEDZIAŁEK, 1 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Stróż Mieczysław Anioł usiłował przypiąć pinezką do ciężkich muzealnych drzwi kartkę z następującym napisem:

*Z powodów przykrych i od dyrekcji niezależnych
muzeum pozostanie nieczynne do odwołania.*

Zarówno w kartkę, jak i w pinezkę zaopatrzył go dyrektor. Przy okazji zabronił rozmawiać o kradzieży *Kukułki* z osobami postronnymi, co wprawiło stróża w niemałe zakłopotanie, zdążył bowiem z tą informacją oblecieć już pół ulicy.

– Czekają na panią, uważa pani, w gabinecie dyrektora – powiedział zachrypniętym głosem.

Frania przystanęła zaniepokojona zdawkowym powitaniem. Jeszcze się tak nie zdarzyło, by pan Miecio, człowiek wesoło usposobiony i ciekawy ludzi, przepuścił ją ot tak w drzwiach. Czy ktoś sobie tego życzył, czy nie, musiał wdać się z nim w kilkuminutową pogawędkę, najlepiej na temat krajowych spraw bieżących. O tych stróż miał zawsze

wyrobione zdanie, najczęściej niepochlebne, i chętnie się nim dzielił. Spodziewała się więc, że dzień po dramatycznych wypadkach w muzeum zatrzyma ją w wejściu na dłużej. Przyjrzała mu się uważnie. Starał się trzymać fason, od wypastowanych na glanc butów po czubek głowy, zwieńczonej rzadkimi, ale starannie zaczesanymi na bok siwiejącymi włosami. Był jednak przygarbiony bardziej niż zwykle, a oczy miał zaczerwienione.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała.

– Pani Franciszko kochana, całą noc nie spałem. – Pociągnął nosem i po raz kolejny z całych sił naparł kciukiem na niechcąca się trzymać pinezkę. – Zwolnią mnie jak nic!

Frania spojrzała na niego ze współczuciem.

– Zwolnią, zobaczy pani. Ja tu stróżuję, uważa pani, od końca wojny. Moja sprawa, żeby obrazy nie ginęły. – Odsunął się od drzwi. Pinezka błysnęła w słońcu, kartka wisiała na drzwiach nieco przekrzywiona. – Nie upilnowałem!

– Tyłu ludzi tu wczoraj było, nie sposób upilnować wszystkich. Dyrektor na pewno wykaże się zrozumieniem.

– Ech! – Machnął ręką.

Pinezka odpadła od drzwi razem z kartką.

– Psiakrew!

Frania pochyliła się i zdjęła zapięty dookoła kostki pantofelek w kolorze gorzkiej czekolady. Wyjęła z rąk stróża kartkę i pinezkę, po czym zamachnęła się porządnie i jednym uderzeniem buta wbiła pinezkę w drzwi.

– No! – Otrzepała rękę.

Pan Miecio nieco się rozchmurzył. Przynajmniej sprawa kartki i pinezki została pomyślnie rozwiązana.

– Pani lepiej idzie na górę. Inspektor, uważa pani, nie wygląda na takiego, co lubi czekać.

Frania, podskakując na jednej nodze, zapięła pantofelek. Poprawiła kapelusz, niewielki cylinderek ze słomy picot przybrany ciemnobrązową wstążką *double face*, i pobiegła na drugie piętro.

W gabinecie dyrektora nie było ani obrazów, ani rzeźb. Był jedynie wyluskany z zasobów muzeum niewielki zegar, zresztą niezbyt cenny, który ustawiono na kominku tylko dla względów praktycznych. Wszak dobrze wiedzieć, która jest godzina. A było dokładnie dwie minuty po dziewiątej.

Centralne miejsce w gabinecie zajmowało mahoniowe biurko zawalone stosami papierów. Dyrektor z oszczędności nie zatrudniał sekretarki, która pomogłaby zapanować nad tym chaosem. Sam odbierał pisma i odpisywał na nie. Jeżeli akurat kogoś przyjmował w sprawach urzędowych, to osobiście serwował herbatę ze srebrnego samowara ustawionego na konsoli pod jednym z okien. Z zasady odwiedzających, niezależnie od ich liczby, podejmował przy małym, okrągłym stoliku z marmurowym blatem, wciśniętym w kąt gabinetu, tuż obok kominka. Frania słyszała, jak powiedział pewnego razu kustoszowi, że to dla skrócenia dystansu i przyjaznej atmosfery. Czasem więc przy stoliczku tłoczyło się naraz i z sześć osób, mimo że przy potężnym biurku, naprzeciw zajmującego skórzany, obrotowy fotel dyrektora byłoby im wygodniej.

Kiedy Frania zjawiła się w gabinecie, inspektor Sztaba, brunet o wnikliwym spojrzeniu, siedział właśnie przy tym okrągłym stoliczku z dyrektorem. Rumianą twarz zdobiły wąsy i dobrze utrzymana krótka broda w kolorze, który przypominał Frani dojrzałe kasztany. Był zaskakująco młody jak na piastowane przez siebie stanowisko, nie mógł mieć więcej niż trzydzieści kilka lat, co Frania policzyła mu na niekorzyść i uznała za przejaw braków kadrowych stołecznej policji. Kiedy weszła, podniósł się i zaczekał, aż zajmie miejsce przy stoliku.

W gabinecie był też drugi policjant, chudy blondynek w za dużym mundurze. Stał na baczność niczym posąg i tylko jego oczy wykazywały przesadną ruchliwość. Wodził bowiem wzrokiem za kustoszem Skiełłą, który wyraźnie nie mógł sobie znaleźć miejsca. Krążył między oknem a stołem, raz po raz sięgając do kieszeni surduta po metalowe pudełko karmelków, niezawodny w jego mniemaniu specyfik na utratę tchu wywołaną stresem.

– Pan kustosz powiedział, że obraz powieszono w piątek – zaczął inspektor Sztaba.

– Tak. Późnym popołudniem.

– Kiedy widziała pani obraz po raz ostatni?

– W sobotę, przed galą. – Frania spojrzała na Skiełłę. – Razem z panem kustoszem weszliśmy do galerii na pierwszym piętrze, żeby założyć zasłony na trzy obrazy.

– Pani zasłoniła *Kukułkę*?

– Tak.

– Sama?

– Tak.

– Czyli była pani ostatnią osobą, która widziała obraz – powiedział powoli.

Frانيا poczuła, że robi jej się gorąco. Do czego zmierzał? Chyba jej nie podejrzewał?

Kiwnęła głową i spojrzała mu prosto w oczy. Miały kolor młodego bluszczu, pasowały do kasztanowej brody.

– Co było potem? – zapytał inspektor.

– Przyjechali muzycy, a później pan Radoch z kelnerami. Pokierowałam ich do mniejszej sali, tej przy schodach, gdzie mogli przygotować serwis.

Dyrektor potwierdził jej słowa cichym mruknięciem, a kustosz Skiełło energicznie pokiwał głową.

– Muzycy zostali w galerii?

– Tak. W środkowej części.

– Czy na sali był ktoś jeszcze?

– Może jeden lub dwóch zwiedzających, zaraz mieliśmy zamykać. W soboty jest spokojnie, można zwiedzać tylko grupami. Ostatnia grupa wpuszczana jest o dwunastej trzydzieści.

– Kto ją oprowadzał?

– Ja.

– Czy zauważyła pani w tej grupie kogoś podejrzanego?

– Nie. Co prawda kilka osób po skończeniu zwiedzania ociągało się z wyjściem, ale to się zdarza. Zawsze znajdzie się jakiś miłośnik sztuki, który chce sobie dłużej popatrzeć na obrazy.

Kiedy mówiła, inspektor Sztaba notował, głośno skrobiąc ołówkiem po kartkach notesu.

– Był jeszcze Romuś – przypomniała sobie.

Inspektor zajrzał do notatek.

- Roman Paprotek?
- Tak. Kończył budować podest w środkowej części galerii.
- Chybura, skocz po Paprotka.

Młody policjant natychmiast zaprzestał obserwacji kustosza, strzelił obcasami i wyszedł bez słowa.

- I co było potem? – Inspektor Sztaba zwrócił się do Frani.
- Nie wiem, wyszłam.
- Dokąd?

Zawahała się.

- Byłam w sali ze sztuką zdobniczą. A konkretnie przy zegarach – skłamała.

- Sama?
- Tak.
- Dlaczego?

Frانيا wzruszyła ramionami. Sztaba odłożył notatnik, a nie doczekawszy się odpowiedzi, powtórzył:

- Dlaczego nie została pani w galerii malarstwa polskiego? Przecież to tam miała się odbyć gala.

Drgnęła.

- Chciałam być sama. – Podniosła wreszcie wzrok na inspektora. – Nie lubię zamętu, w galerii było głośno. Romuś jeszcze pracował. A w sali zegarowej nie było nikogo, więc sobie tam usiadłam i zostałam aż do rozpoczęcia gali.

Inspektor Sztaba postukał ołówkiem w blat stołu. Spojrzał jej prosto w oczy. Frانيا wytrzeszczyła je i powstrzymała się od mrugnięcia na dowód, że mówi prawdę. Uwierzył jej? Chyba nie. Inspektor zmarszczył brwi. Przez chwilę zdawał się coś rozważać, w końcu zwrócił się do dyrektora:

- Czy ma pan jakieś podejrzenia? Kto mógłby ukraść akurat ten obraz?

Frانيا odetchnęła, zadowolona, że inspektor skierował uwagę w inną stronę. Może jednak jej uwierzył.

- No jak to kto? – Dyrektor wyprostował się i oparł splecione dłonie o blat stołu. – Przecież to oczywiste. Na pewno jakiś kolekcjoner albo wielbiciel sztuki.

- Dlaczego pan tak uważa?

Dyrektor posłał porozumiewawczy uśmiech kustoszowi. Ten pokręcił głową. Doprawdy, że też takie proste rzeczy trzeba było tłumaczyć temu inspektorowi.

– Któryż miłośnik sztuki nie chciałby mieć dzieła Chełmońskiego na ścianie? Niech pan inspektor, z łaski swojej, pomyśli! No któryż?

Kustosz Skiełło gorliwie przytaknął i zatarł ręce.

– O, tak! Szkoda, że pan inspektor nie widział tego obrazu! Prawdziwe arcydzieło! – powiedział.

– Czyli według panów obraz zabrał ktoś, kto potrafi docenić jego artystyczne walory? – podsumował Sztaba.

– Tak! – odpowiedzieli jednocześnie.

– Ktoś taki jak pan? – Inspektor Sztaba spojrział na Skiełłę, a ten zbladł i otworzył usta w niemym proteście.

– Albo pan? – Inspektor przeniósł wzrok na dyrektora.

– Ale! Co też pan mówi! Wypraszam sobie!

Inspektor Sztaba rozparł się wygodniej na krześle, a jego surowe dotąd oblicze rozjaśnił cień uśmiechu. Zapadła chwila przykrew ciszy. Frania spojrzała ze współczuciem na swoich przełożonych. Twarz dyrektora pociemniała z oburzenia, a kustosz Skiełło trzęsącymi się rękoma wygrzebywał z pudełeczka kolejnego karmelka.

– Czy możliwe jest, że ktoś ukradł ten obraz, kierując się niższymi pobudkami? – podjął wreszcie Sztaba.

– Na przykład dla korzyści finansowej? – zapytał dyrektor.

Kustosz Skiełło jęknął. Inspektor spojrział na niego podejrzliwie.

– Tak. Czy na sprzedaży takiego obrazu można się wzbogacić? – zapytał.

– Można, i to znacznie – odpowiedział dyrektor skwapliwie i z wyraźną ulgą. – Pod warunkiem, że znajdzie się kupca, który rozumie jego wartość.

Inspektor Sztaba pogładził w zamyśleniu brodę. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale przeszkodziło mu wejście Chybury z Romanem Paprotkiem.

– Uszanowanko! – wymamrotał na powitanie. Zdjął czapkę i przysiadł na krawędzi wolnego krzesła. Przy okrągłym stoliku zrobiło się jeszcze ciasniej.

Chybura bez słowa wrócił na swoje miejsce za plecami inspektora.

– Był pan w muzeum w sobotę po południu? – Sztaba zwrócił się do Romana i przekartkował z szelestem kilka stron w notatniku.

Romuś przytaknął.

– Robiłem podest dla pana dyrektora.

– Gdzie?

– No, jak gdzie? – Romuś spojrzął spod jasnej grzywki na Sztabę i uśmiechnął się szeroko. Odpowiedziało mu chmurne spojrzenie.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. Gdzie budował pan ten podest?

– W moim składziku, w piwnicy.

– Kiedy ostatni raz widział pan skradziony obraz?

– A bo ja wiem? – Romuś podrapał się po głowie.

– Ponawiam pytanie: kiedy ostatni raz widział pan skradziony obraz?

– Chyba około czwartej. Poszedłem do galerii zamontować podest.

– Widział pan kogoś w galerii?

– Ale kogo?

– To ja się pytam. Kto był w galerii, kiedy montował pan podest?!

Inspektor Sztaba widać tracił cierpliwość, co rozbawiło Franię. Szybko jednak przypomniała sobie, że osoba dobrze wychowana nie cieszy się ze słabości charakteru innych. Zagryzła wargi i wbiła wzrok w podłogę.

– Roman, mów, jak było – powiedział tymczasem dyrektor.

– Jaśnie pana hrabiego widziałem. Tego od obrazu. Stał dość długo przy Kukułce. Potem przyszedł pan kustosz z panią Franciszką zastłonić obrazy.

– Widział pan coś podejrzanego?

– Ale co?

Sztaba nabrał powietrza i hamując irytację, powiedział:

– Czyjeś nietypowe zachowanie, sztuczne zamieszanie? Może słyszał pan dziwny hałas?

– A to nie.

– Jest pan pewien?

– Panie, ja tam się po galerii nie rozglądałem! Czas mnie gonił, praca szła mi ciężko, bo to deski bukowe były, panie tego, twarde jak cholera! Dużo gwoździ poszło.

– Został pan w galerii sam?

– A bo ja wiem? – Znowu podrapał się po głowie, ale dostrzegłszy surowe spojrzenie Sztaby, szybko dodał: – Nie zwracałem uwagi, co się

dzieje dookoła. Ja, proszę pana, pracuję solidnie. Niczego nie robię na patatajkę!

Inspektor skrobał ołówkiem w notatniku, raz po raz zerkając na Romana. Nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Zapadła cisza, którą znaczyło jedynie ciche skrzywienie podłogi pod nogami wciąż drepczącego w kółko kustosza Skiełty i trzask rozgryzanych przez niego karmelków.

– Panie, co pan sugeruje? – zapytał nagle wyzywająco Romuś.

– Spokojnie, spokojnie. – Dyrektor poklepał go po ramieniu.

– Nic. Zastanawiam się tylko, czy miał pan okazję, żeby zabrać obraz, jeżeli akurat nikogo nie było w pobliżu.

– Panie, powtarzam jeszcze raz, bo chyba się nie rozumiemy. Miałem dużo pracy, tak? Tak. Śpieszyłem się, tak? Tak. To kiedy miałem buchnąć ten obraz? Ledwo skończyłem, na podest wtrądzili się muzycy i zaczęli stroić instrumenty. Pan ich lepiej przepytaj!

Inspektor nieporuszony podniesionym głosem Romana przerzucił kilka stron w notesie.

– Stróż Mieczysław Anioł zeznał, że dzień przed kradzieżą sugerował pan, że obraz zniknie – powiedział.

– Co?! Ale jak to tak?! – Romuś zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że opadło z łoskotem na podłogę.

– Powiedział pan – Sztaba odczytał notatki – że obraz zaraz wyfrunie.

– Wypraszam sobie! Nie powiedziałem, że obraz wyfrunie. Powiedziałem, że kukułka wyfrunie! Z obrazu!

Inspektor Sztaba popatrzył na niego przeciągle.

– Bo wyglądała jak żywa! – dodał głośniejszym głosem Romuś i zacisnął palce na zwiniętej czapce, po czym spojrział niespokojnie na Franię i kustosza. – Tak pięknie była namalowana!

Frania i Skiełto gorliwie potwierdzili jego słowa. Roman odetchnął, a inspektor Sztaba pokręcił głową i ponownie coś zanotował.

– Nie został pan na gali? – zapytał.

– Ja, proszę pana, na takie gale nie chodzę. – Romuś wyprostował się z godnością i założył czapkę. – To wszystko?

Inspektor Sztaba mruknął coś niewyraźnie pod nosem i zamknął notes. Romuś postawił krzesło, uklonił się i wypadł z gabinetu.

Zegar na kominku wybił dziesiątą.

– Jeżeli to wszystko... – Dyrektor wstał z krzesła.

Zebrani wokół stoliczka również się podnieśli.

– Ja tu jeszcze wrócę – powiedział inspektor Sztaba.

Kiedy to mówił, patrzył chmurnie na Franię. Ogarnął ją niepokój. No ładnie, chyba ten inspektor jej nie podejrzewa? Nóżki baranie, co za wstyd.

Sztaba pożegnał się i wyszedł. Chybura w milczeniu podążył za nim niczym cień.

WTOREK, 2 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Pracownia była uprzątnięta i wywietrzona. Marynia wyszorowała upstrzoną farbami podłogę i poskładała przybory malarskie. Na sztalugach spoczęło nowe, czyste płótno, a na stoliczek z kompozycją wróciły bażancie pióra.

– Malin nie było? – zapytała Frania, kiedy Marynia stanęła w drzwiach z kolejną kryształową miseczką. Poprzednia nie przetrwała niedzielnego zderzenia ze złością Frani.

Marynia wzięła się pod boki.

– Nie ma i nie będzie. Dereń kupiłam, bo nie plami!

Frانيا zerknęła ukradkiem na serwetę. Choć Marynia moczyła ją przez kilka godzin w gorącej wodzie, nadal widoczne były na niej bladoróżowe plamy po rozgniecionych malinach.

– Coś jeszcze? – Marynia zmarszczyła brwi.

Frانيا pokręciła głową.

– No i hej. – Służąca odwróciła się na pięcie i wyszła. Trzasnęła przy tym drzwiami tak mocno, że zadrżała osadzona w nich szyba ze zmrożonego szkła.

Frانيا podeszła do sztalug i spojrzała niechętnie na kompozycję. Dereń zupełnie jej się nie podobał. Bażancie pióra też były do niczego. Ataki przypuszczane na stół z martwą naturą mocno je nadwyrężyły. Trzeba było naprawdę uruchomić wyobraźnię, by w ich smętnych resztkach dostrzec białe fale nierówno układające się na błyszczących

brązowych lotkach. Przydałyby się te pióra orlika. Gdzież, u licha, podziewał się Rasmus!

Postała jeszcze przez chwilę, w końcu sięgnęła po pędzel. Skoro nie podobało jej się to, co widziała, to równie dobrze mogła sobie pozwolić na zerwanie z wiernym odwzorowywaniem rzeczywistości. Tylko czy potrafiłaby malować inaczej? Sięgnęła po pędzel i ostrożnie nabrała farby. Zamiast podłużnych, błyszczących owoców derenia namalowała geometryczne kształty w odcieniu zgaszonej czerwieni, spoczywające na płasko przedstawionej misce. Cofnęła się o krok. „Nieźle, naprawdę nieźle” – pomyślała. Wzięła głęboki oddech i zabrała się do pracy.

Kilka godzin później zjawiła się Lola. Ubrana była w morelową sukienkę z grubego jedwabiu przybraną ozdobnym stebnem. Usiadła na parapacie i zaczęła nucić pod nosem *Chryzantemy złociste*. Machała przy tym nogami, uderzając pantoflami o kaloryfer, co miało w jej mniemaniu stanowić akompaniament do melodii.

*Chryzantemy złociste
W kryształowym wazonie
Stoją na fortepianie,
Kojąc smutek i żal.*

*Przez łązy srebrnomgliste
Do nich wyciągam dłonie,
Szepcząc wciąż jedno zdanie:
Czemuś ty odeszła w dal?*

Patrzyła na biegnącą w dole ulicę, zwrócona do Frani profilem. Jasne włosy, ułożone w płaskie, modne fale, były podświetlone promieniami zachodzącego słońca. Pięknie wyglądała i Frani przeszło przez myśl, że ona sama mogłaby dać sobie spokój z martwą naturą i namalować portret Loli. Szybko jednak porzuciła ten pomysł. Praca z modelką, nawet tak wdzięczną jak jej serdeczna przyjaciółka, zdawała się obecnie wysiłkiem ponad jej twórcze siły.

– Czy ja cię rozpraszam? – zapytała Lola, nie odrywając wzroku od ulicy.

– Nie, Lolu.

– Pytam, bo nic nie namalowałaś, odkąd się zjawiłam. Stoisz i stoisz przy tych sztalugach, i nic.

– Nie przeszkadzasz mi.

Lola wyczuła w głosie Frani zniecierpliwienie, zmieniła więc temat.

– Opowiedz mi o tym inspektorze – poprosiła.

– Niesympatyczny. Podejrzewa nas wszystkich.

– Jak to? – Lola odwróciła się od okna.

– Uważa, że Skiełto z dyrektorem mieli motyw, Romuś Paprotek miał sposobność, stróż nie dopełnił obowiązków, no a ja byłam ostatnią osobą, która widziała obraz. I nie mam alibi na te kilka godzin między zasłonięciem a początkiem gali.

– Jak to nie masz?

– Powiedziałam, że siedziałam w sali zegarowej. Sama.

– Okłamałaś policjanta? Nie boisz się? – Lola uniosła cienką brew.

– A powinnam? Przecież nie zabrałam tego obrazu. – Frania schowała się za sztalugami przed znaczącym spojrzeniem przyjaciółki. – Będzie jeszcze przesłuchiwał muzyków i kelnerów. I chyba ma w planach odwiedzinę u kilku znanych mu złodziejasków. Przynajmniej tak zrozumiałam. Znajdzie ten obraz prędzej czy później, tak myślę. A w związku z tym moja kilkugodzinna nieobecność w muzeum naprawdę nie powinna go interesować.

Lola ponownie zaczęła stukać obcasami w kaloryfer. Odwróciła się ku ulicy. Zobaczyła dwóch handlarzy starzyzną pchających ramię w ramię liche wózki. Kiedy mijali bramę po drugiej stronie ulicy, zaczepił ich jakiś nieogolony typ. Lola drgnęła. Szarpali się z nim przez chwilę, aż z sąsiednich domów wyleciało dwóch dozorców. Zrobiło się zamieszanie. Jeden z handlarzy upadł, wózek drugiego przewrócił się na ziemię. W końcu nieogolony typ zniknął, unosząc ze sobą futrzany płaszcz. Dwaj handlarze, wymachując pięściami, zabrali się do podnoszenia swoich manatków i rozmasowywania siniaków.

– Tyle jest niesprawiedliwości i przemocy w tym mieście – powiedziała Lola.

– Słucham? – Frania wyjrzała zza płótna.

– Nieważne. – Lola machnęła ręką. – A ty kogo podejrzewasz?

– Ja? – Frania odłożyła pędzel do stoika z terpentyną. Podeszła do okna i usiadła na parapecie obok Loli. – Jakiegoś czarodzieja. Obraz

był w muzeum, kiedy go zaślaniałam, to pewne. Nie wiem, jak ktokolwiek mógł go zabrać w ciągu tych dwóch godzin. Za dużo ludzi kręciło się po sali. Był Romuś, muzycy, kilku zwiedzających. Ktoś by coś zauważył.

– Szalenie mnie to ciekawi.

– A mnie szalenie smuci.

– Ciebie wszystko smuci.

Frania wzruszyła ramionami. Może ktoś inny poczułby się urażony uwagą Loli, ale Frania wiedziała, że przyjaciółka nie mówiła tego złośliwie, ot, stwierdziła fakt i tyle. Lola już taka była, nazywała rzeczy po imieniu, nie dla niej były salonowe subtelności.

– Zobacz, handlarzowi wyrócił się wózek.

Lola podążyła za spojrzeniem Frani wbitym w chodnik. Część rozsypanego towaru wróciła już na swoje miejsce. Mężczyźni zbierali teraz cynowe wiadra, które potoczyły się na ulicę, i obwieszali nimi boki wózka. Rozważała, czy powiedzieć o nieogolonym typie. Zanim jednak się na to zdecydowała, Frania oderwała wzrok od handlarzy i zapytała:

– A jaką ty masz teorię?

– Szczerze? Nie będziesz się śmiać?

Frania pokręciła głową.

– Sándor!

– Podejrzewasz Sándora? Chyba oszalałaś!

– Pomyśl tylko. Czy Sándor nie mógłby być królem złodziei? Albo samotnie działającym arcyprzebiegłym kasiarzem, który nagle postanowił się przebrnąć i porzucić włamania do sejfów na rzecz kradzieży sztuki?

– Nóżki baranie, ależ ty masz wyobraźnię!

– Pojawił się na gali jako ostatni i wyszedł niemal jako pierwszy. To podejrzane.

– Zapewne chodziło o kobietę. Albo dwie! – uśmiechnęła się Frania.

– Oczywiście, jeżeli Sándor jest bandytą, to na pewno szlachetnym. No wiesz, jak Robin Hood.

– Aha, kradnie obrazy bogatym i rozdaje biednym.

Lola uśmiechnęła się, zeskoczyła z parapetu i podeszła do sztalugi.

– A dlaczego nie? Myślisz, że biedni nie mają potrzeby obcowania ze sztuką? Tak, to byłby dobry uczynek bardzo w stylu Sándora.

Wpatrywała się w obraz Frani z pochyloną w bok głową.

– Może ja się nie znam, ale ten obraz jest okropny – powiedziała.

– Okropny czy nie, ważne, że na śtalugach stoi, a nie lata po pracowni!

– Za plecami Loli zjawiła się Marynia.

Lola bez słowa wróciła na parapet i spojrzała spode łba na służącą, która miała oczywiście rację. To dobrze, że Frania coś namalowała i dla odmiany płótno nie poszybowało lotem koszącym na ulicę. Ale doprawdy Marynia Myszak mogła sobie darować tę uwagę. W całej Warszawie chyba tylko ona była w stanie spłoszyć Lolę. Szanowały swoją wzajemną lojalność wobec Frani. Trzymały jednak chłodny dystans, jak dwie kocice, które spotykają się przypadkiem na granicy swoich terytoriów. Instynktownie się od siebie odsuwały, mierząc się niechętnymi spojrzeniami.

– Co tam, Maryniu? – zapytała Frania.

– Pan bez czerni – zapowiedziała z powagą Sándora.

Mimo wielu prób nie zdołała nigdy ani zapamiętać, ani tym bardziej poprawnie wymówić jego nazwiska. Radziła więc sobie, jak mogła. Niepodobna przecież było oznajmić przybycia gościa, używając tylko jego imienia, a Sándor był tak zadomowiony u Frani, że nie podawał biletu wizytowego.

– Proś.

Po chwili w pracowni zjawił się Sándor we własnej osobie. Ubrany był bardzo zwyczajnie – w jasny garnitur i koszulę rozpiętą pod szyją, nie miał nawet krawata. Rzucił przelotne spojrzenie na nieskończony obraz, skrzywił się, ale nic nie powiedział.

– O wilku mowa – powiedziała Lola.

Sándor mrugnął do niej.

– Franiu, na ulicy pod twoim domem pobiło się dwóch handlarzy – powiedział. – Cały kram na trotuarze. Nie można przejść. Trzeba naprawdę coś zrobić z domokrażcami. Wystają od rana pod oknami i spać nie dają. Jak nie butelki, to mandarynki katańskie po złotówce. A jak ten od fajansu i porcelany przejdzie, to ryczy ten od grzebieni. Albo bez przerwy się kłóć. To nie do zniesienia!

– To zupełnie nie tak – powiedziała Lola. – Sama widziałam przed chwilą przez okno, jak napadł ich jakiś typ i...

– No już, już, Lolu, nie roztrząsajmy problemów handlu ulicznego. Jest ważniejsza sprawa do omówienia. – Wyciągnął się na szezlongu i rozłożył „Kuriera”. – Postuchajcie. „Jak kamień w wodę! W sobotę dokonano zuchwałej kradzieży w Muzeum Narodowym. Zginął znakomity obraz *Kukułka* pędzla Józefa Chełmońskiego. Sprawa jest tajemnicza, gdyż kradzieży dokonano w chwili, gdy w muzeum znajdowało się około stu osób, a jednak nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. W kręgu podejrzanych są pracownicy muzeum i jego kierownictwo. Redakcja «Kuriera» domaga się szybkiego wyjaśnienia sprawy i należytego ukarania sprawców tego zuchwałego zamachu na polskie dobro narodowe”.

Sándor złożył gazetę i nie ruszając się z miejsca, wrzucił ją do kominka. Upadła z pacnięciem na wyszorowane do czysta, jeszcze nieużywane o tej porze roku palenisko.

– Ale wstyd! – jęknęła Frania.

– Nie rób słońia z komara! – Sándor puścił do niej oko.

– Właśnie! Wstyd to kraść – podzieliła się swoim ulubionym powiedzonkiem Lola, ale to tylko pogorszyło sprawę.

– Posądzenie o kradzież chwały nie przynosi – powiedziała ponuro Frania.

– Nikt cię przecież nie posądza.

– „Kurier” już mnie posądził!

Sándor wstał i skierował się do stojącego w kącie pracowni barku. Sięgnął po butelkę likieru antycznego J.A. Baczewskiego. Napełnił po brzegi trzy niewielkie kieliszki, postawił na metalowej tacy z praktycznym pionowym uchwytem z bakelitu i tanecznym krokiem podszedł do okna, nie roniąc ani kropli.

– Służę.

Lola odwzajemniła jego uśmiech, Frania pokręciła głową, ale przyjęła kieliszek.

– *Egészségetekre!* – Sándor wychylił zawartość swojego kieliszka, po czym odstawił go na stół z martwą naturą z taką siłą, że zadzwoniła kryształowa miska z dereniem. – Przebieraj się, Franiu. Idziemy!

– Dokąd?

– Nieważne dokąd! Byle grali dobrą muzykę!

Sándor wybiegł na ulicę i potracił inżyniera Więckowskiego, który wracał akurat z wieczornej mszy u karmelitów.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny! Błagam o wybaczenie szanownego pana! – powiedział wesoło.

Inżynier ruszył gniewnie siwymi, krzaczastymi brwiami i chrząknął coś niewyraźnie. Na pewno nie były to wielkoduszne słowa sugerujące puszczenie w niepamięć nieostrożności. Odwrócił się i poszedł w głąb ciemnej bramy, gdzie wpadła na niego roześmiana Lola.

– O *pardon!* – Nie czekała na odpowiedź, tylko pobiegła dalej, przytrzymując jedną ręką kapelusz.

– Cudzoziemcy! – Podążająca za przyjaciółmi Frania usłyszała gniewny głos inżyniera. – Dobry wieczór, panno Franciszko – dodał szybko na jej widok, ale już innym, cieplejszym tonem.

„Ha! – pomyślała. – Gdyby nie ciotka ministrowa, pewnie nawet by mnie spojrzeniem nie zaszczycił”. Odpowiedziała jednak równie grzecznie i wyszła na oświetloną gazowymi latarniami ulicę.

Sándor obwieścił, że w pobliżu nie ma ani jednej dorożki. Poszli więc pieszo w stronę ulicy Marszałkowskiej. Wieczór był dość chłodny, toteż szli dynamicznym, acz nieco chwiejnym krokiem. Nieliczni o tej porze przechodnie otulali się ciaśniej jesionkami i płaszczami, tocząc nierówną walkę z nagłymi powiewami wiatru, który niósł pierwsze opadłe z drzew liście i zapowiedź nadchodzącej jesieni. Kiedy mijali sklep kolonialny braci Hirszfeldów, zatrzymali się mimo woli. Niepodobna było tu nie przystanąć. Choć sklep był o tej porze zamknięty, w pobliżu unosił się delikatny zapach goździków i kardamonu. Lola zaczęła studiować zawartość sklepowej wystawy z takim skupieniem, jakby patrzyła na muzealną instalację – tyleż piękną, co niezrozumiałą i onieśmiałającą. Witryna kusiła kolorowymi puszkami herbat i ciemnego jak noc holenderskiego kakao. W niewielkich koszykach zalegały kopczyki rodzynek, suszonych moreli i kandyzowanych ananasów. Zaś na kartoniku, wspartym o kamionkowy garnek, zapewne z figowymi powidłami, równym pismem wykaligrafowano informację, że w sklepie dostępne są bażanty i zające, a w każdy piątek także ostrugi. Frania nie

zważała na wystawę ani na informację o ostrygach, skupiła się na swoim odbiciu w szybie sklepu. Jak zwykle w wietrzne wieczory było ono niezadowolające. Po ułożonej przed wyjściem fryzurze nie było śladu. Płaski filcowy kapelusik tylko pogarszał sprawę – wyglądał groteskowo na rozwianych włosach. Może należało wreszcie posłuchać Loli i je ściąć. Nagle dostrzegła odbicie Sándora. Patrzył na nią z uśmiechem. Odwróciła się szybko i ruszyła przed siebie.

Na dachu kamienicy u zbiegu ulicy Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich błyskała butelka w kolorze soczystej zieleni. Pod spodem mrugał złoto-niebieski napis „porter”.

– Co to jest? – zapytała Lola.

– Neon! Pierwszy w Warszawie! Same powiedzcie: czyż nie jest świetny?

– Ależ to jest pstrokate i dość ordynarne. W bardzo złym guście!

– Oj, Franciszko, życie to nie tylko obrazy mistrzów i ciastka z kremem – uśmiechnęła się Lola. – Mnie tam się podoba.

– Nowoczesność – powiedział filozoficznie Sándor i pociągnął je w dół ulicy.

Dotarli wreszcie do nieformalnego lokalu gastronomiczno-tanecznego „U Heńka” znajdującego się przy słabo oświetlonej, wąskiej uliczce. Zza zamkniętych metalowych drzwi dochodziły skoczne dźwięki, bez wątpienia wygrywane przez rezydujący w tym przybytku Szał Jazz Band. Gdy znaleźli się w środku, pochłonął ich roztańczony i podchmielony tłum. Lola i Frania natychmiast straciły Sándora z oczu. Przepisnęły się w głąb baru i usiadły przy ostatnim wolnym stoliku. Lola, przekrzykując wrzawę, zamówiła kilka partii polonezek.

– Robi się, szefowo. – Kelner przetaił krzywy blat stolika burą ścierką i zniknął w tłumie.

Frانيا zapaliła papierosa i zaczęła przyglądać się tańczącym. Szał Jazz Band, zespół wszechstronny, grał tego wieczoru zupełnie inny repertuar niż w muzeum. Oprócz trąbek i saksofonu były też kontrabas i fortepian. Na samym środku parkietu dostrzegła Sándora złączonego w szalonym tańcu, ni to bostonie, ni fokstrocie, z jakąś dziewczyną. Znała ją z widzenia, ale nie miała pojęcia, jak się nazywa ani kim jest. Nieformalny lokal „U Heńka” przyciągał inne towarzystwo niż teatralne premiery czy nawet kabarety. Zjawiali się tu ludzie trudniący się pracą

własnych rąk, artyści o skromniejszych dochodach, a nawet typy spod ciemnej gwiazdy. Bywali też ludzie tacy jak oni, uciekający przed męczącą perfekcją stylu i zachowania, jakiej wymagały eleganckie miejsca. Alkohol był tu tańszy, a obyczaje luźniejsze.

W roztańczonym tłumie Frania zauważyła wysokiego bruneta o przyjemnej aparycji. Miał na sobie tani co prawda, ale niezłe skrojony garnitur, brylantynę we włosach i uśmiech, który był tak szeroki, że chyba nie mógł być szczerzy. Lola podążyła za jej spojrzeniem.

– Strzeż się go, to łowca posagów. Kanalia spod ciemnej gwiazdy – powiedziała, pochylając się ku Frani.

– Skąd wiesz?

– Chodził za Apolonią Myśliwiecką. Znasz ją pewnie, to córka tego Myśliwieckiego.

Frانيا pokręciła głową.

– Tego ziemianina, posła na Sejm, Franiu! Doprawdy, z twoimi koneksjami rodzinnymi powinnaś lepiej się orientować w towarzyskich układach. Nieważne. – Lola machnęła ręką. – Wyobraź sobie, że recytował pod jej oknem wiersze, znosił naręcza kwiatów. Nie w smak to było staremu Myśliwieckiemu, który chyba poznał się na adoratorze, bo zakazał im spotkań. Zrozpaczona Myśliwiecka uciekła z domu. Naiwna! Jak tylko ten tu zorientował się, że z posagu nici, zerwał z nią kontakt.

– A to drań. – Frania zaciągnęła się papierosem.

– To nie wszystko! Myśliwiecka próbowała go zastrzelić w łazienkach!

– Nie!

– Tak! Niestety chybiła. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie! Drasnęła tylko łajdaka w prawe żebro. Może gdyby zamiast starego pistoletu ojca do pojedynków wzięła jakiś poręczniejszy, to tenże pan nie wywijałby teraz tak żwawo na parkiecie.

– I co było dalej?

– Jak to co? Sąd ją oczywiście uniewinnił. Stwierdzono, że atak kobiecej hysterii i miłosne zaćmienie umysłowe zwalniają ją z odpowiedzialności za popełniony czyn. Myśliwiecka wróciła do domu i teraz czeka pod kluczem na kandydata do jej ręki. Chyba trochę jeszcze poczeka, mimo pokaźnego posagu. Wszyscy się jej boją.

Frانيا pokręciła głową i strzepnęła popiół z papierosa na podłogę.

– Gdzież, u licha, podziwia się ten kelner?! – Lola wyciągnęła szyję w stronę baru.

Wybrzmiały ostatnie takt i Szał Jazz Band płynnie przeszedł do łagodniejszych brzmień. Brunet z brylantyną skłonił się swojej partnerce, pulchnej dziewczynie, oblanej z wrażenia rumieńcem, i potoczył wzrokiem po sali niczym drapieżnik szukający, zdaje się, lepszej zdobyczy. Jego wzrok spoczął na Frani.

– Idzie tu. – Lola się skrzywiła.

– Leontyno, wspaniale panią widzieć! – powiedział z fałszywym entuzjazmem.

Posłała mu lodowate spojrzenie.

Zignorował je.

– Nie mieliśmy jeszcze przyjemności – przedstawił się i pochylił ku Frani. Wyciągnęła dłoń z grzeczności.

Lola zauważyła, że kiedy składała pocałunek, jego wzrok przesunął się z pierścionka z granatem na grubą złotą bransoletę. Chciwy łajdak!

– Panie pozwolą? – Przysiadł się do ich stolika, nie czekając na zaproszenie. Zapadła chwila kłopotliwego milczenia, które przerwała Frania:

– Czym się pan zajmuje? – zagadnęła.

– Interesami.

– To ciekawe. A jakimi, jeżeli można wiedzieć?

– Różnymi, różnymi. – Posłał Frani czarujący uśmiech.

Lola przewróciła oczami i odwróciła się znudzona ku parkietowi. Zobaczyła, że Sándor gubi kroki i tak obraca uczipioną jego ramion dziewczyną, by nie tracić z oczu bruneta z brylantyną. Dziewczyna coś szczebiotała mu do ucha, śmiejąc się przy tym szczerze, on zdawał się jednak jej nie słuchać. Jego twarz nabrała zaciętego wyrazu, w oczach czaiła się niechęć.

– A pani? – Brunet przysunął krzesło bliżej Frani. – Na salonach mówię się, że jest pani spowinowacona z panem ministrem Hardtem.

– Dla pana ma to znaczenie?

– Nie, oczywiście, że nie.

– A co ma?

– Porozumienie dusz, szanowna pani! – Dotknął jej dłoni i przysunął się jeszcze bliżej.

Widząc to, Sándor wystrzelił w ich stronę z parkietu. Złapał wolne krzesło i usiadł obok Frani.

– A to się nie porozumiemy. Widzi pan, ja jestem zupełnie bezduszna – powiedziała obojętnie Frania, odsuwając przy tym ramię Sándora, które oparł na poręczu jej krzesła. Przy okazji dźgnęła bruneta łokciem w okolice prawego żebra.

Brunet z brylantyną sapnął i złapał się za bok.

– Czy panu coś dolega? – zapytała Lola z fałszywą troską.

– Stara wojenna rana się odezwała. – Zacerwienił się.

– Może po strzale Amora? – zachichotała Frania.

– Oj, chyba nie. Amory nie strzelają pistoletami pojedynkowymi po żebrach – powiedziała zimno Lola.

Brunet rzucił jej niechętnie spojrzenie. Odwrócił się ku Frani, ale widząc jej wrogą minę, wybełkotał coś o naglących interesach.

– Dobranoc szanownemu panu! – powiedział Sándor z nieszczerym uśmiechem.

Brunet zniknął w tłumie.

Lola parsknęła śmiechem i machnęła na kelnera, przypominając mu o zamówionych polonezkach. Klepnął się w czoło jak ktoś, kto wyrzuca sobie popełnione głupstwo.

– Robi się, szefowo! – krzyknął.

Po chwili pojawił się z tacą wyładowaną dziewięcioma kieliszczkami. Ustawił je niedbale na środku stolika, roniąc z niektórych nieco lepkiej cieczy. Rubinowy syrop z granatów opadł już na dno, ale jego słodki zapach mieszał się z pszenicznym aromatem wódki.

– Porozumienie dusz, dobre sobie – powiedziała Frania i sięgnęła po pierwszy z brzegu kieliszek. – A tobie, Sándorze, bardzo dziękuję, ale wiedz, że nie potrzebuję pomocy w odrzucaniu niemiłych mi awansów.

– Ależ, Franiu, o czym ty mówisz? Zatęskniłem za wami na parkiecie. I tyle.

– Jasne. – Lola wypić jednym haustem polonezkę.

Sándor wzruszył ramionami i też sięgnął po kieliszek.

– Idziemy tańczyć – zarządził.

Poderwał się od stolika. Frania ruszyła za nim.

– Idziesz? – odwróciła się do Loli.

– Nie, idźcie sami.

Frania spojrzała na nią niepewnie, ale Sándor pociągnął ją na parkiet. Lola tymczasem, przeciskając się przez zatłoczony bar, podeszła do stolika w przeciwnym kącie sali. Siedziała tam grupka roześmianych kobiet. Frania rozpoznała tę, którą Lola objęła mocno na powitanie.

– Skąd Lola zna Alinę Teiss? – zapytała Sándora.

Przyciągnął ją ku sobie i okręcił tak, że mimo woli wykonała piruet.

– Lola przecież zna wszystkich.

– Mogła mi powiedzieć, że zna Alinę. Ona jest genialna!

Sándor obrócił ją w tańcu tak, że Lola i jej znajome znalazły się za plecami Frani. Odwracała ku nim głowę, ale wirujące dookoła pary zasłoniły widok.

– Muszę ją poznać! Poproszę Lolę, by mnie przedstawiła!

– Ale najpierw... – Sándor zawiesił głos i w ciszy, która akurat nastąpiła między utworami, krzyknął ponad jej głową w kierunku Szaf Jazz Bandu: – ...tango!

Saksofonista kiwnął głową. Wymienił instrument na bandoneon i już po chwili nieformalny lokal „U Heńka” wypełniły przeciągłe nuty milongi.

Sándor spojrział Frani prosto w oczy. Znieruchomiła. Zapomniała nagle o Alinie i falującym dookoła nich tłumie. Trwali w bezruchu dobrą chwilę. Wreszcie Sándor mrugnął i przyciągnął ją powoli ku sobie. Dotknął jej twarzy, odgarnął pasemko włosów, po czym delikatnie grzbietem dłoni przesunął po jej ramieniu. Przez chwilę jego palce błędziły po nadgarstku Frani, wreszcie połączyły się z jej palcami. Drgnęła i pozwoliła się ponieść muzyce i Sándorowi. Gdyby nawet zechciała się wyrwać z uścisku, nie dałaby rady. Trzymały ją nie tyle mocne ramiona, co oczy, ciemne niczym burzowe chmury zbierające się nad pusztą w letni dzień. Kiedy muzyka tężała, ona odchodziła od niego na kilka kroków, by zaraz znowu opaść w jego ramiona, za każdym razem zachłanniej i gwałtowniej. A kiedy się w nich obracała, czuła elektryzujący dotyk palców na ciele. Poczucie winy mieszało się z tęsknotą za bliskością, żal z euforią.

Wraz z ostatnim taktem milongi Sándor pochylił się w bok. Frania osunęła się w jego ramionach, niemal półleżąc. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, dostrzegła odwróconego do góry nogami inspektora Sztabę. Tuż za nim, również do góry nogami,

z rozdziawionymi ustami i wzrokiem utkwionym w jej falującym dekolcie stał aspirant Chybura.

*

W wyniku pojawienia się inspektora Sztaby liczba osób przebywających w nieformalnym lokalu taneczno-gastronomicznym „U Heńka” gwałtownie się zmniejszyła – mniej więcej o połowę. Przy wyjściu się zakotłowało, blaszane drzwi otworzyły się z hukiem. Kolorowy, podchmielony tłumek wylał się na zewnątrz i rozpieczętnął w noc, śmiejąc się albo złorzecząc na zimny wiatr tańczący po ulicy i policjantów nękających uczciwych obywateli.

W środku tymczasem umilkł gwar rozmów. Ci, co pozostali w lokalu, patrzyli z zaciekawieniem na Sztabę. Grantowy mundur, z którego nie zrezygnował nawet o tak późnej porze, opinał jego wyrzeźbioną sylwetkę. Spojrzenie oczu w kolorze bluszczu ślizgało się powoli po zebranych, zza kasztanowej brody i wąsów nie błysnął nawet cień uśmiechu.

Sándor podciągnął Franię do pionu. Wyglądziła fałdy sukienki i przywitała się ze Sztabą skinieniem głowy.

– Cóż za niespodzianka – powiedział. – Panna Franciszka Tańska „U Heńka”? No proszę.

– A cóż w tym dziwnego, inspektorze?

Sztaba rozejrzał się znacząco po lokalu. Pod ścianą kołysało się trzech nieogolonych jegomości, jeden z nich ścisnął butelkę wódki, drugi patrzył nieprzytomnie spod kaszkietu, który zsunął mu się na pół twarzy, pod trzecim jak na komendę załamały się nogi. Kiedy upadał, potrącił koślawy stół. Kilka kieliszków roztrzaskało się na kawałki, a butelka z ciemnego zielonego szkła potoczyła się po przetartej miejscami mozaice pod nogi kobiety leniwie palącej papierosa. Szminka, rozarta ponad kontur ust, wyraźnie sugerowała, że chwilę wcześniej kobieta ta musiała oddawać się porywom namiętności, być może płatnej, w jakimś ciemnym kącie. Zresztą o tym świadczyła również krzywo zapięta bluzka i wygnieciona spódnica. Nieznajoma, wyginając się zalotnie, podniosła butelkę i patrząc zachęcająco na Sztabę, postawiła ją na wysłużonym

blacie baru. Stojący za nim Heniek, człowiek nieokreślonego wieku, o wąskiej, zmęczonej twarzy, przełożył trzymaną w zębach zapałkę z jednego kącika ust do drugiego i zamaszystym gestem popchnął butelkę na koniec baru. Sunęła za plecami wpartych łokciami o blat ponurych mężczyzn. Szmer szkła trącego o drewno najpierw wypełnił pełną napięcia ciszę, jaka panowała teraz w lokalu, po czym gwałtownie się urwał, kiedy butelka dotarła do krawędzi i spadła. Kelner, ten sam, który wcześniej zapomniał o polonezkach Loli, złapał szkło w locie, przetarł ręką poplamionego fartucha i wstawił do drewnianej skrzynki za barem.

Sztaba zwrócił się do Frani.

– Dobrze, że się widzimy, i to akurat tutaj. Zapomniałem zapytać, dlaczego poleciła pani dyrektorowi Szok Jazz Band na tę galę. – Sztaba skinął głową w kierunku muzyków, którzy stali z instrumentami gotowymi do gry. Frania dostrzegła, że dwóch z nich brakowało. Niedobrze. Niewinni ludzie raczej nie znikają na widok policji. A jeśli to oni? A co, jeśli Sztaba uzna, że z nimi współpracowała? Przecież to ona ściągnęła ich do muzeum. Nóżki baranie i cholera jasna.

– Szał – wymamrotała.

– Nie rozumiem.

– Szał Jazz Band, nie szok, panie inspektorze. Tak się nazywa ten zespół. W muzeum występował jako kwintet dęty blaszany.

Sztaba chrząknął, wyciągnął z kieszeni notes.

– Mniejsza o nazwę. Czy na takiej gali nie byłby odpowiedniejszy jakiś kwartet smyczkowy o niedrażniącym ucha repertuarze?

– To kwestia gustu.

– Chyba nie gustu, ale obyczaju?

Frانيا przestąpiła z nogi na nogę.

– No dobrze! Powiem panu. – Ściszyła głos do szeptu. – To była kwestia budżetu. Kwartet smyczkowy o, jak pan to ujął, niedrażniącym ucha repertuarze był za drogi jak na możliwości muzeum. Mamy niewielkie fundusze, większość przeznaczamy na zakup nowych dzieł, a nie na przyjęcia. Dlatego namówiłam dyrektora na kwintet dęty blaszany z drugorzędnego lokalu, a nie filharmonii. Stawki są przystępniejsze.

– Aha... – Sztaba pogładził brodę w zamyśleniu.

– Ale zaręczam panu, że oprawa muzyczna naszej gali była doskonała. Panowie – Frania wskazała na muzyków i powiedziała już głośniej – grali bardzo przyjemne jazzowe standardy godne takiej okazji.

Sztaba zapisał coś w notesie.

– Pani Franciszko, ich talent mnie nie interesuje. Co pani o nich wie?

Frانيا wzruszyła ramionami. Cóż wiedziała? Właściwie to nic. Tyle że potrafią zagrać bardzo udanie bostony, fokstroty i łagodne, nastrojowe kawałki. Wiedziała też, że ten niski, który gra na trąbce, wspaniale improwizuje, a ten młody, łudzaco podobny do Heńka, umie grać na sześciu różnych instrumentach. Ot i tyle.

Sztaba postukał ołówkiem w notes. Zrobiło jej się gorąco.

– Jeżeli pan inspektor nie ma więcej pytań, to nie będziemy przeszkadzać w pracy. – Sándor podał ramię Franiu. Sztaba uklonił się i ruszył ku muzykom.

W lokalu powoli podnosił się szum rozmów, z początku cichy, by już po chwili osiągnąć zwykłe natężenie. Heniek wrócił do wycierania szklanek, kelner krążył z pełną tacą między stolikami. Brzęk kieliszków towarzyszył głośno wznoszonym toastom. Profesjonalnej muzyki chwilowo brakowało, gdyż Sztaba usadził obecnych członków Szał Jazz Bandu przy jednym ze stołów i zaczął ich przepytować. Ponieważ wszechświat nie znosi pustki, w głębi sali ktoś zaintonował mało wyrefinowaną piosenkę.

Frانيا z Sándorem rozglądali się za Lolą, ale nigdzie jej nie było. Ruszyli więc do drzwi, przeciskając się między stolikami. W drzwiach Frانيا jeszcze się odwróciła. Muzycy coś tłumaczyli Sztacie, żywo gestykuluując. Inspektor, pochylony nad notesem, zapisywał ich słowa. Za jego plecami niczym cień stał Chybura, a jego małe, okrągłe oczy tym razem wodziły za Franią.

ROZDZIAŁ IV

W KTÓRYM OBSERWUJEMY, JAK FRANIA NAWIĄZUJE NIĆ POROZUMIENIA Z HRABIĄ KOZIELIŃSKIM, A LIKWIDATOR SZKÓD APOLINARY WĘŻYK WKRACZA DO AKCJI

ŚRODA, 3 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Kustosz Skiełło wypadł z żalonym jękiem z gabinetu dyrektora na drugim piętrze i potrącił Franię. Kolizji dałoby się zapewne uniknąć, gdyby nie fakt, że Frania nic nie widziała, trzymała bowiem przewyższający ją stos kartonowych teczek. Z braku widoczności nie uskoczyła na czas z drogi rozpędzonemu kustoszowi. Teczki z płaskiem spadły na posadzkę.

– Nóżki baranie! – krzyknęła.

– Najmocniej przepraszam! – Kustosz rzucił się na ziemię. W oczach miał przerażenie, a podbródek mu drżał.

– Co się stało? – zapytała zaniepokojona.

– Pan hrabia Kozieliński żąda odszkodowania! Rozmawia właśnie w tej sprawie z dyrektorem!

– A czy muzeum jest ubezpieczone?

– Na szczęście tak. – Kustosz zgarnął ku sobie kolejną teczkę. – Ale jak ubezpieczyciel nie wypłaci pieniędzy, to bez wątpienia hrabia zażąda tej kwoty bezpośrednio od nas. I co my wtedy zrobimy? No co? Przecież

muzeum nie ma pieniędzy! Trzeba będzie coś zlicytować, Boże jedyny! Albo przyjdzie na stare lata zastawić dorobek życia.

– Nie ma się co martwić na zapas. Po to są ubezpieczenia, panie kustosz.

Powiedziała to lekkim tonem, prawda była jednak taka, że i ją ogarnął niepokój. Muzeum było dla niej jak drugi dom, a wiszące tu obrazy jak starzy, dobrzy znajomi. Myśl, że musieliby rozstać się z choćby jednym z nich, była jej niemiła. Rozumiała zatem doskonale przerażanie kustosa. Skiełto specjalizował się w polskim malarstwie dziewiętnastowiecznym i odkąd po wojnie trafił do muzeum, nie ustawał w wysiłkach, by powiększać jego zbiory. Kosztowało go to sporo nerwów. Każda utracona szansa pozyskania ciekawego dzieła na licytacji przyprawiała go o ból głowy, sukces o łzy wzruszenia, renowacje, o ile uczestniczył w nich osobiście, o drżenie rąk, a transport zakupionych dzieł o palpacje serca. Bez przerwy też obawiał się pożaru, a nawet – choć to doprawdy było nieprawdopodobne, zważywszy na sporą odległość od Wisły – niszczycielskiej powodzi. Cóż, kustosz Skiełto, odznaczony Krzyżem Walecznych za męstwo i odwagę w boju, był w muzeum kłębkiem nerwów. A wszystko z miłości do sztuki.

– Zobaczmy. Po południu ma się zjawić ktoś z ubezpieczalni. – Wstał z trudem i rozmasował kolano.

Frania podniosła stos teczek.

– Pomogę pani.

– Dziękuję, nie trzeba! – Zrobiła dwa kroki naprzód.

– Skład grafik jest w przeciwną stronę!

Frania obróciła się i ruszyła powoli korytarzem.

– Ech, współczesne kobiety! Sama i sama, wszystko sama zrobi – wymamrotał pod nosem kustosz Skiełto i sięgnął do kieszeni surduta po pudełko karmelków. Było puste, co do końca popsuło mu humor. – Jak się wali, to wszystko naraz! – powiedział dramatycznie do wiszącego tuż obok portretu *Chłopa w kapeluszu* Piotra Michałowskiego i pogładził czule ramę obrazu. Upewnił się, że wisi prosto, po czym splótł dłonie na wydatnym brzuchu i poszedł na pierwsze piętro. Dziś przypadała jego kolej oprowadzania grup po galerii malarstwa polskiego.

Frania tymczasem posuwała się powoli korytarzem, aż według własnych szacunków dotarła do miejsca, w którym powinny być drzwi

do składu grafik. I tu pojawił się problem, gdyż klucze miała w kieszeni zakietu, były więc chwilowo poza jej zasięgiem. Oparła uniesione kolano o drzwi i na nim złożyła stos teczek. Sięgnęła wolną dłonią do kieszeni.

– Pani pozwoli. – Hrabia Kozieliński zjawił się niespodziewanie tuż obok niej i uwolnił ją od ciężaru. Frania uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i otworzyła drzwi. Wszedł za nią do środka i złożył teczki na niewielkim stoliku.

Podziękowała i sięgnęła po białe rękawiczki ochronne.

– Mogę zostać? – zapytał, rozglądając się ciekawie dookoła. Archiwum było kiepsko oświetlone i ciasno zastawione rzędami metalowych regałów oraz szafkami z podłużnymi szufladami. Znajdowała się tu też spora drewniana gablota katalogowa.

Frania przytaknęła i przystąpiła do zabezpieczania grafik, dla których brakło miejsca na wystawowych ścianach. Pozyskano je niespełna kilka dni wcześniej i dziś właśnie zostały przekazane muzeum. Frania cieszyła się na możliwość spokojnego przyjrzenia się im, zanim spoczną w metalowych szafach.

– To miejsce to archiwum i magazyn – powiedziała. – Bardzo lubię tu pracować. Tyle piękna, tyle emocji jest tu zamkniętych, a mało kto ma szansę nacieszyć nimi oczy. Proszę spojrzeć. – Podniosła grafikę przedstawiającą idącego w deszczu człowieka i uniosła ją ku okienku wychodzącemu na podwórze, które stanowiło jedyne źródło światła. Pochylona sylwetka nakreślona kilkoma kreskami niknęła w gąszczu atramentowych kropli. Bardzo jej się podobała.

Hrabia splótł dłonie na plecach i przyjrzał się z uwagą grafice. Frania obserwowała go kątem oka. Miał ciekawy profil, nieco zapadnięte policzki, a gładko zaczesane do tyłu włosy odsłaniały szerokie czoło. Raz po raz poprawiał okulary, które uparcie zjeżdżały na czubek nosa. Ten gest wzbudzał w niej tęsknotę. Sewer też tak robił.

– Rzeczywiście, bardzo dobra. Szkoda ją tu zamykać.

– Może kiedyś podczas jakiejś wystawy czasowej będzie okazja, by ją zaprezentować.

Pochylił się nad kolejną pracę, którą Frania ostrożnie wyjęła z kartonowej teczki, w której ta trafiła do muzeum.

– Czym się pani właściwie zajmuje?

– Wszystkim po trochu, panie hrabio.

– Jak to?

– Jak pan widzi, zabezpieczam zbiory w składzie, kataloguję, oprowadzam zwiedzających, tłumaczę symbolikę obrazów, a jeżeli trzeba, pomagam w restauracji czy przy czyszczeniu dzieł. I... – urwała.

– I? – podniósł na nią wzrok.

– Organizuję przyjęcia honorujące darczyńców.

Speszona przystąpiła z nogi na nogę i zaczęła ścisnąć w palcach tasiemkę teczki. Hrabia dotknął jej ramienia.

– Nie winię pani za to, co się stało z *Kukułką*.

– Jest pan bardzo wielkoduszny, ale przyznam, że martwię się o muzeum. Nie wiem, czy sobie damy radę, jeżeli ubezpieczenie nie pokryje pańskich roszczeń.

– Rozumiem. Zapewniam jednak panią, że te pieniądze zostaną wydane z pożytkiem dla sztuki. Zamierzam przeznaczyć je na wsparcie młodego artysty i jego wyjazd do Paryża. W ten sposób z tej straty wyniknie coś dobrego.

– To bardzo szlachetne z pana strony.

– Nie mówmy o tym. To przykry temat dla nas obojga. Proszę mi powiedzieć więcej o autorze tych grafik.

– Autorce – poprawiła go Frania i uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Są dziełem Aliny Teiss. Słyszał pan może o niej?

Zaprzeczył, więc pokazała mu kolejną pracę.

Czas w jego towarzystwie płynął szybko. Hrabia chętnie dzielił się uwagami. Miał olbrzymią wiedzę i podobną do Frani wrażliwość. Zdawał się ją rozumieć, podzielał jej zachwyty dla zgaszonych kolorów ziemi i fascynację Picassem. Frania pomyślała, że miło było znaleźć się w towarzystwie kogoś takiego jak on.

– Lubi pan sztukę – powiedziała, kiedy po godzinie opuszczali archiwum.

– Lubię to mało powiedziane – zaśmiał się. – Ja sztuką żyję!

– Pokażę w takim razie panu coś jeszcze.

Poprowadziła go na pierwsze piętro, do najmniejszego gabinetu, oddzielonego od głównej galerii wąskim korytarzem. Wejście do niego osłonięte było przed wzrokiem zwiedzających wysokim czarnym parawanem. Stała pod nim dama w średnim wieku. Balansując na jednej nodze i parasolce, dokonywała akrobatycznych wysiłków, by zajrzeć

do niedostępnej salki. Ignorowała zupełnie przy tym zawieszony nieopodal Bodiaki pod słońce Jana Stanisławskiego co niemożliwie zirytowało Franię. Muzeum pozyskało obraz ledwie kilka tygodni wcześniej, nie oszczędzając wysiłków i funduszy, a tu proszę, zamiast się nimi zachwycać, wygina się taka i wyciąga niczym cyrkówka, żeby zobaczyć obraz, na którego wystawienie muzeum nie było jeszcze gotowe. I po co? Przecież i tak nic nie zobaczy. Frania splótła ręce na piersi i poślubiła kobiecie niechętnie spojrzenie. Kiedy spłoszona udała się w stronę grupy, od której najwyraźniej się odłączyła, Frania odsunęła parawan.

– Śmiało – zwróciła się do hrabiego.

Zawahał się.

Frانيا skinęła zachęcająco głową.

Uśmiechnął się nieśmiało i wszedł do środka.

Spłoszona przed chwilą kobieta obserwowała ich z zaciekawieniem z bezpiecznej odległości. Frania rzuciła jej groźne spojrzenie, po czym podążyła za hrabią i starannie zasłoniła wejście. Kiedy się odwróciła, Kozieliński stał na środku z otwartymi z wrażenia ustami.

– Ależ to dzieło monumentalnych rozmiarów!

– Ponad dwadzieścia metrów kwadratowych – uśmiechnęła się Frania.

– *Powrót jeńców polskich z litewskiej niewoli* pędzla Wojciecha Gersona.

– Wspaniały!

– Prawda?! Muzeum nabyło obraz od rodziny artysty kilka miesięcy temu. A mnie przypadło w udziale jego wyczyszczenie, zanim zostanie udostępniony za kilka tygodni. Żmudna to praca, ale pozwala przestudiować dzieło w najdrobniejszych szczegółach. To przydatne doświadczenie dla artysty.

Hrabia patrzył na obraz dłuższą chwilę. To podchodził bliżej, to się odsuwał, przyglądał się poszczególnym fragmentom pod różnymi kątami.

– Pani maluje? – zapytał, nie odrywając wzroku od obrazu.

– Próbuję. Ale daleko mi do takich mistrzów, proszę mi wierzyć.

– Daleko, nie daleko, to kwestia umowna.

– Co ma pan na myśli?

– Proszę spojrzeć na ten obraz. Czy jest on obiektywnie dobry?

– Tak.

– Ale czy zachwycałaby się pani nim równie mocno, gdyby to nie był obraz Gersona?

– Oczywiście. Ma bezsprzeczne walory i mocno działa na odbiorcę.

– A czy myśli pani, że te bezsprzeczne walory są widoczne dla osoby, która ze sztuką nie obcuje na co dzień?

– Chciałabym wierzyć, że tak jest.

Uśmiechną się i pokręcił głową.

– Ale w głębi ducha wie pani, że większość zwiedzających będzie się nim zachwycać, bo to obraz Gersona.

Nie odpowiedziała od razu. Hrabia oderwał się od *Powrotu jeńców*.

– Wie pan – powiedziała powoli – myślę, że talent jednak ma znaczenie decydujące. To prawda, wielu malarzy jest niedocenianych za życia. Czasami łamią konwenanse w sztuce, nie są więc rozumiani przez współczesnych, wyprzedzają swoją epokę i skazują się tym samym na samotność. Ale wcześniej czy później świat poznaje się na ich talencie.

– Może i tak – odparł zamyślony. – Tylko który artysta chciałby zostać doceniony dopiero po śmierci?

Franię zaskoczyło to, co powiedział. Czy artysta maluje dla uznania i poklasku? Pewnie niektórzy tak. A ona? Po co malowała? Raczej nie z artystycznego przymusu. Kiedyś tworzyła po prostu dla przyjemności. Lubiła przenosić na płótno swój piękny, bezpieczny świat. Chciała zachować różowawe płatki kwiatów jabłoni i pnie wierzby z ich porowatą, omszoną korą w najpiękniejszym odcieniu koloru szarzielonego, jaki znała. Albo uchwycić światło grudniowego poranka czy wiatr targający koronami brzoź. Teraz było inaczej. Malowanie miało być drogą do tamtego spokoju, który ogarniał ją za każdym razem, gdy stawała ze sztalugami na łąkach i w sadach Leosina. Na razie okazało się ślepym zaułkiem. Ale wierzyła, że kiedyś z niego wybrnie. Jednak ani wtedy, ani teraz nie szukała uznania, nawet nie miała potrzeby pokazywania swoich prac komukolwiek. A inni? Widowała dzieła genialne, które zasługiwały na szerszą prezentację, jak choćby grafiki Aliny Teiss, które przed chwilą sama zamknęła na czas nieokreślony w magazynie. Czy to było sprawiedliwe? Chyba nie. A czy Alina miała o to żal? Może.

– Ilu artystów, tyle potrzeb i motywacji do malowania – odpowiedziała po chwili namysłu.

Hrabia Kozieliński uśmiechnął się, jakby palnęła głupstwo.

– Artyści są próżni. Wszyscy.

Uklonił się i ruszył w stronę wyjścia.

– Na mnie już czas. Proszę się nie poddawać, pani Franciszko. Kto wie, może któryś z pani obrazów kiedyś też zawiśnie w tej galerii.

Odwróciła się gwałtownie, by powiedzieć, że wcale jej na tym nie zależy, ale hrabia zdążył już zniknąć za parawanem.

*

Apolinary Węzyk, likwidator szkód z Polskiej Dyrekcji Ubezpieczeń Wzajemnych, zjawił się punktualnie o godzinie czternastej. Miał na sobie szary prochowiec i kapelusz z niewielkim rondem w tym samym kolorze. Frania pomyślała, że był to kolor lipcowego nieba tuż po burzy, już nie ciemnostalowy, ale jeszcze nie błękitny.

Likwidator przywitał się z zebranymi w gabinecie dyrektora, po czym przystąpił do wykładania formularzy. W skupieniu ułożył je na okrągłym stoliku w równiutkie stosiki według kolejności, w jakiej miały być wypełniane. Następnie sięgnął po pieczęć, poduszkę z atramentem oraz pióro i dbając o zachowanie równych odstępów, je również położył na stoliku, przy którym go usadzono.

– Jestem gotowy – oznajmił.

Zebrani stłoczyli się wokół niego, a likwidator szkód przystąpił do wywiadu i wypełniania druczków. Zadawał pytania spokojnym, rzeczowym tonem, a odpowiedzi zapisywał powoli i w skupieniu. Kustosz Skiełło trząsał się z nerwów tak, że nie mógł znaleźć fiszki z *Kukułką*. Frania wyjęła z jego rąk teczkę i stwierdziła, że przyniósł ją z literą K zamiast C. Poszła zatem po właściwe dokumenty. Kiedy wracała, wpadła pod gabinetem na inspektora Sztabę i aspiranta Chyburę. Skinęli jej głowami na powitanie i bez słowa przepuścili ją w drzwiach.

Likwidator szkód Węzyk, pochylony nad papierami, wypełniał kolejne druczki i rubryki. Hrabia Kozieliński na zmianę z dyrektorem odpowiadali na jego pytania dotyczące *Kukułki*. Frania podała teczkę z dokumentami dyrektorowi, po czym podeszła do siedzącego przy

otwartym oknie kustosza Skiełły. Był blady, wachlował się dłonią. Poklepała go po ramieniu, by dodać mu otuchy.

Pół godziny później likwidator Wężyk wyprostował się i zadał ostatnie pytanie:

– Szacowana wartość dzieła?

Dyrektor spojrział na hrabiego, a ten bez wahania odpowiedział:

– Pięćdziesiąt tysięcy.

Kustosz Skiełło złapał się za serce. Wężyk spojrział pytająco na dyrektora, ten kiwnął głową, potwierdzając słowa hrabiego. Likwidator cicho gwizdnął i wpisał kwotę do formularza. Po czym zamasyżuje się podpisał i ostrożnie, dbając o zachowanie symetrii, przystawił wielką pieczęć.

Zebrani w gabinecie spojrzeli na niego wyczekująco. On tymczasem układał nieśpiesznie druczki i formularze w tekturowej teczce wiązanej na tasiemki. Powoli zawiązał kokardkę, sprawdził, czy jest wystarczająco solidna, i schował dokumenty do nesesera. Następnie zamknął ostrożnie pudełko z poduszką nasączoną atramentem i odłożył je razem z pieczętką do osobnej przegródki. Na koniec zapiął sprzączkę walizeczki tak ciasno, jak tylko mógł, i uśmiechnął się. Tak, nic nie dawało Apolinaremu Wężykowi większej zawodowej satysfakcji niż porządek w papierach.

Podniósł wreszcie wzrok na zebranych. Na ich twarzach malowały się niepokój i napięcie.

– Muzeum jest ubezpieczone, zatem najprawdopodobniej pokryjemy stratę – powiedział.

– Co to znaczy: najprawdopodobniej? – zapytał dyrektor.

– Ostrożności nigdy za wiele. Czy wiedzą państwo, że codziennie ktoś próbuje nieuczciwie wyłudzić od nas odszkodowanie? Na przykład wczoraj byłem na wsi pod Otwockiem. Spłonęły i dom, i obora. Niby prosta sprawa. Ot, wypełnić trzy formularze, ocenić szkody, pokwitować. Po mojemu to kilka tysięcy się należało. Standardowa procedura. A co się okazało? – Likwidator Wężyk potoczył wzrokiem po zebranych. Nikt nie odpowiedział, więc ponowił pytanie: – No co się okazało?

Dyrektor spojrział pytająco na Franię, ta rozłożyła bezradnie ręce. Hrabia Kozieliński chrząknął wyraźnie poirytowany.

– Podpalenie! Z premedytacją! Przez samego gospodarza! – ogłosił triumfalnie Wężyk. – I z odszkodowania nici!

– Ale przecież to zupełnie co innego! Nikt tutaj nie próbuje niczego wyłudzać. Kradzież była? Była! – powiedział kustosz Skiełło.

– Owszem. Ale musimy poczekać do zakończenia śledztwa. Niewykluczone, że obraz zostanie odzyskany przez policję. – Węzyk spojrzął na Sztabę. – Wtedy, o ile nie okaże się uszkodzony, o odszkodowaniu nie będzie mowy. Chyba państwo to rozumieją?

– Śledztwo jest w toku, możliwe, że potrwa miesiącami – powiedział Sztaba.

– Mnie się nie śpieszy.

To powiedziawszy, Apolinary Węzyk podszedł do wiszącego na ścianie lustra i założył kapelusz. Upewnił się, że symetrycznie spoczywa na jego głowie, uśmiechnął się zadowolony do swojego odbicia, po czym się pożegnał.

Pełną napięcia ciszę, która zapadła po jego wyjściu, przerwał hrabia Kozieliński. Podszedł do inspektora Sztaby i wbił chudy palec w jego muskularną pierś.

– Słyszal pan! Proszę odzyskać mój obraz albo doprowadzić śledztwo jak najszybciej do końca, inspektorze!

– Robimy, co możemy.

– Proszę robić więcej! I proszę mnie nie zmuszać do rozmowy z pańskim przełożonym! – Stojący za plecami inspektora Chybura wybałuszył oczy i zbladł. Sztaba zdawał się jednak nieporuszony groźbą, spojrzął wyzywająco na hrabiego. Był od niego wyższy o głowę i potężniej zbudowany. Kozieliński pierwszy odwrócił wzrok. Wygładził kłapy marynarki i wyprostował się z godnością.

– Proszę wybaczyć mój wybuch – zwrócił się do Frani. – To niegodne dżentelmena.

Pożegnał się i wyszedł, trzaskając drzwiami tak głośno, że kustosz Skiełło podskoczył na krzeselku i ponownie złapał się za serce.

Zapadła cisza, którą przerwał inspektor Sztaba.

– Chciałbym jeszcze raz porozmawiać z Romanem Paprotkiem.

– Nie ma go dzisiaj – odpowiedział dyrektor.

– Jak to?

– Nie zjawił się w pracy dziś rano.

– Pan nie uważa, że to podejrzane?

– Nie, dlaczego? – Dyrektor wzruszył ramionami, a jego wypomadowane na sztorc wąsy zabawnie podskoczyły.

Inspektor spojrział na niego wyczekująco.

– Romuś to dobry chłopak. Czasami znika na kilka dni, ale zawsze wraca.

– I pan to toleruje?

– A co mam robić? Myśli pan, że za pensję z muzeum to on może łatwo się utrzymać? Pewnie trafiła mu się jakaś dodatkowa fucha.

– Pewnie tak. – Kustosz Skiełto skwapliwie pokiwał głową i zamknął okno. Kolory mu wracały. Po rozmowie z Wężykiem można było mieć nadzieję, że ucierpi jedynie wizerunek muzeum, a nie jego finanse czy kolekcja, a z tym jakoś mógł się pogodzić.

– Miejmy nadzieję, że ta fucha to nie opchnięcie skradzionego obrazu na jakimś bazarze – powiedział Sztaba.

– No wie pan! – Frania spojrzała na niego oburzona. Inspektor Sztaba podrapał się nerwowo po brodzie, a sponżony Chybura wbił wzrok w podłogę.

– Mam nadzieję, że pani nie uraziłem.

– Owszem, uraził pan. Rozumiem chęć wykazania się sprawnym działaniem przed hrabią Kozielińskim, ale nie powinno się rzucać bezpodstawnych oskarżeń, nie mając dowodów.

– Dowody, no właśnie! – ożywił się Sztaba. – Chciałbym zobaczyć miejsce, w którym pracuje Roman Paprotek.

– Kustosz panów zaprowadzi – powiedział dyrektor.

Skiełto wzniósł oczy do nieba, jakby po raz kolejny złożono na jego barkach olbrzymi ciężar. Wstał niechętnie i skierował się do wyjścia. Szedł powoli, postępując, na wypadek, gdyby dla inspektora nie było jasne, na jakie trudności naraża, bądź co bądź, sześćdziesięcioletniego człowieka. Policjanci i Frania podążyli za nim. Kiedy mijali *Chłopa w kapeluszu*, Skiełto przystanął i zwrócił się do obrazu:

– Jak nie urok, to przemarsz wojsk.

Chłop swoim zwyczajem nie odpowiedział. Odezwał się za to Sztaba.

– Panie kustoszu, nie mamy całego dnia.

W odpowiedzi Skiełto zwołnił jeszcze bardziej kroku. Wreszcie dotarli do bocznej klatki schodowej i zeszli do muzealnej piwnicy. Pachniało tu kurzem, powietrze było nieco zatęchłe. Kustosz pomacał nieotynkowaną

ścianę i znalazł bakelitowy pstryczek. Goła żarówka na końcu korytarza rozjarzyła się bladym, zimnym światłem. Frania poczuła się nieswojo, nigdy się nie zapuszczała do tej części muzeum.

– Tędy, panowie. – Skiełto poprowadził ich wąskimi korytarzami ku zbitym z krzywych desek drzwiom. Każda z nich pomalowana była na inny kolor, co przydawało mrocznemu korytarzowi nieco weselszego charakteru. Inspektor pchnął drzwi. Otworzyły się z nieprzyjemnym skrzypnięciem, ukazując niewielkie, zagracone pomieszczenie.

– Chybura, chodź no tu na chwilę – krzyknął.

Stało tu kilka lamp, każda miała abażur innego kształtu i koloru, Chybura pozapalał wszystkie. Wnętrze od razu zrobiło się przytulniejsze. Sztaba rozejrzał się podejrzliwie. Ściany zdobiło kilka niedbale przypiętych pocztówek z wizerunkami roześmianych kobiet, ich rozwiane sukienki ukazywały podwiązki. Pod wąskim oknem leżało kilka ram, w tym ta barokowa po Kukułce. Dyrektor kazał ją zdjąć, by nie prowokowała niepotrzebnych uwag wśród zwiedzających. W kącie leżało trochę drewna i materiałów budowlanych, a najdłuższą ścianę zajmował metalowy blat. Sztaba wskazał na porozrzucone na nim narzędzia.

– Jak myślisz? – zapytał.

Chybura podrapał się po głowie.

– Tym wihajstrem można by wyciąć obraz z ramy – powiedział, biorąc do ręki pierwszy z brzegu nóż.

– Ależ, panie inspektorze! – oburzył się Skiełto, który wcisnął się wraz z Franią do kanciapy i zza pleców Sztaby przyglądał się poczynaniom młodszego policjanta. – To byłoby barbarzyństwo! Któż by się ośmielił takie arcydzieło wycinać z ramy! Tu potrzeba precyzji, ostrożnie, gwoździak po gwoźdźniku wyciągać ze stelażu.

– Właśnie! To już prędzej ten łom by się nadał. – Frania prześlizgnęła się pod ramieniem inspektora i podniosła metalowe narzędzie o końcówce rozdwójonej niczym język jaszczurki.

– To nie łom, to łapka do gwoździ – stwierdził kustosz.

– A widzi pan! – Frania się uśmiechnęła i z triumfem spojrzała na inspektora Sztabę.

– Dziękuję państwu! – powiedział lodowato.

Uśmiech na twarzy Frani zbladł. Niechętnie podała Chyburze łapkę, otrzepała dłonie i wycofała się na korytarz.

– Chybura, myśl! Oględziny ramy nie wykazały, że obraz został wycięty! – Z kanciapy dobiegł poirytowany głos Sztaby. – Pakuj tę łapkę, zabieramy ją jako dowód w sprawie.

– Nic tu po nas. – Frania machnęła ręką.

Kustosz zagrzechotał blaszanym pudełkiem.

– Może karmelka?

*

Frania spojrzała niechętnie na owoce derenia. Gładka skórka odbijała światło. Wyglądało na to, że jeszcze długo postoją.

Zawołała Marynię.

– Czy Marynia nie kupiła dzisiaj innych owoców?

– A bo co?

– A bo dereń nie nadaje się do malowania!

– A jaki to problem wziąć czerwonej farby?

– Zbyt jaskrawy jest, nie pasuje. Soku by Marynia lepiej z tych owoców zrobiła, będzie na zimę jak znalazł.

Służąca ani drgnęła, więc Frania dodała:

– Dla Józia, gdyby się zaziębił, to się przyda.

Marynia fuknęła coś niewyraźnie. Matczyzna troska widać jednak przeważała, bo w końcu bez słowa zabrała miseczkę. Wróciła po chwili. W fartuchu przyniosła pięć gruszek.

– Wybrałam te najbardziej kostropate – oznajmiła z satysfakcją – żeby do obrazu pasowały.

– Niech będą.

Frania poszła do jadalni po srebrną paterę i ułożyła na niej gruszki. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo przed sztalugami i spoglądała to na kompozycję, to na płótno. Minuty mijały, a ona nie wiedziała, jak zacząć. Drgnęła, gdy zegar w sąsiednim pokoju wybił osiemnaście.

Wyrwana z otępienia wzięła się do zamalowywania zbędnej kryształowej miski z abstrakcyjnym przedstawieniem derenia. Zaczęła od delikatnych muśnięć pędzlem. Po chwili rzucała na płótno zamaszystymi pociągnięciami grubsze warstwy farby. Z każdym kolejnym rosła w niej złość. Nie mogła patrzeć na ten obraz, tak

niedoskonały, ciemny, przeżarty na wskroś jej melancholią. Nabierała coraz więcej farby na pędzel, mocnymi pacnięciami zakrywała już nie tylko zbędną kryształową miskę, ale i resztę niedokończonej kompozycji. Na koniec chlapnęła białą farbą na dopiero co delikatnie zaznaczone na płótnie okno, gasząc całkowicie światło, które wydało jej się niegodne zachowania, tak było nijakie, płaskie, pospolite! Upuściła paletę i z okrzykiem furii przewróciła stolik z przyborami do malowania. Runął z hukiem, otwarta puszka farby potoczyła się po dębowej podłodze, znacząc ją gęstym granatem. Frania chciała zedrzeć mokre jeszcze płótno ze stelażu, ale nie dała rady, więc z całej siły rzuciła nim o ziemię. Opadła na podłogę obok zniszczonego obrazu. W głębi mieszkania zabrzączał dzwonek do drzwi, potem jeszcze raz i jeszcze. Widać Marynia poszła do siebie, bo pozostawał bez odpowiedzi.

– A niech dzwoni, do wszystkich diabłów! – krzyknęła.

Nagle do pracowni wpadł z impetem Balaton. Zaczął szczekać i lizać ją po twarzy.

– Franiu, jesteś? Było otwarte, więc... – Sándor stanął w drzwiach. Na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. Frania siedziała na podłodze pośród rozsypanych pędzli i tubek z farbą. Opędzała się od Balatona. Kimono i czarne spodnie poznaczone były kolorowymi cętkami, włosy były w nieładzie.

– Daj Frani spokój! – krzyknął na psa.

Balaton odskoczył, przebiegł przez kałużę rozlanej farby i puścił się dzikim biegiem po pracowni, zostawiając za sobą grantowe odciski łap.

– Balaton! Do nogi! – Sándor zagroził mu drogę, ale pies wyminął go zręcznie i uciekł bocznymi drzwiami do salonu. – Franiu, co się stało? – Uklęknął przy niej.

Nie odpowiedziała, uniosła tylko bezradnie umazane w farbie ręce. Tymczasem Balaton, zatoczywszy w salonie koło, wrócił do pracowni i jednym skokiem znalazł się przy Sándorze, odciskając na jego białej koszuli ślady dwóch granatowych łap. Sándor krzyknął po węgiersku, pies położył się u jego stóp, ziejąc, bardzo z siebie zadowolony.

– Wyglądasz jak siedem farbowanych nieszczęść.

Frانيا się zaśmiała, ale po chwili śmiech przeszedł w szloch. Sándor objął ją mocno. Złapała poły marynarki, zostawiając na niej ślady farby,

i łkała na jego piersi. Gładził ją po włosach i delikatnie kołysał, szepcząc słowa pocieszenia.

– Sándor, nie mogę więcej malować. Rzucam to.

– Widzę, że dosłownie to rzuciłaś – powiedział lekko.

Zaniosła się płaczem.

– Za każdym razem, gdy sięgam po pędzel, wylewa się ze mnie ciemność. I złość.

– Franiu, co ty mówisz? Ot, kilka obrazów ci się nie udało, namalujesz następne.

– Sándor, jak ty nic nie rozumiesz! Po co ja się w ogóle budzę? Po co to wszystko? Ja nie mam siły żyć!

Objął ją mocniej. Siedzieli tak w milczeniu na podłodze aż do zmierzchu.

ROZDZIAŁ V

O PRZYKRYCH KONSEKWENCJACH OLŚNIENIA DOZNANEGO PRZEZ FRANIE

DWA LATA WCZEŚNIEJ

Marynia Myszak twardo stąpała po ziemi. Wierzyła w pracę własnych rąk i na nikogo się nie oglądała. W obejściu była szorstka, nie przebierała w słowach. Gdyby to zależało od ciotki Eleonory Hardt, nigdy nie znalazłaby zatrudnienia pod dachem Frani. Zresztą Maryni nie było nawet wśród kandydatek przesłanych przez panią Lotek z ekskluzywnego warszawskiego biura stręczenia służby domowej. O tym, że nabór będzie prowadzony tamtego zimowego poranka w mieszkaniu przy ulicy Żurawiej, Marynia dowiedziała się przypadkiem. Podśłuchiwała na rynku rozmowę dwóch dziewczyn.

Rekrutację prowadziła ciotka Eleonora. Usadowiwszy się za stołem w jadalni, wypytywała kolejne kandydatki o umiejętności i referencje, sprawdzała czystość fartuchów i paznokci. Jej czujne oko wychwytywało wszelkie oznaki lenistwa, gapiostwa, wścibstwa oraz tępoty umysłowej, czyli cech, których nie tolerowała u nikogo, a najmniej u służby. Poczynione obserwacje skwapliwie notowała w niewielkim notesie oprawionym w chiński jedwab, stawiając wykrzyknik przy imionach kandydatek, które zrobiły na niej szczególnie niedobre wrażenie.

Frania nie wykazywała całą tą procedurą najmniejszego zainteresowania. Stała przy oknie, paliła papierosa i patrzyła na panoramę miasta, które od niespełna dwóch tygodni było jej nowym domem. Myślami była jednak w tym starym, w Leosinie. W jej głowie wciąż wybrzmiewała rozmowa z ojcem, która otworzyła jej drogę do Warszawy.

– Wiem, że ci ciężko – powiedział któregoś zimowego wieczoru, siadając obok niej przy kominku.

Nie odpowiedziała. Patrzyła na ogień skaczący na polanach. Miał kolor zachodu słońca.

– Posłuchaj... możesz robić, co chcesz, być, kim chcesz, byleś tylko poczuła się lepiej, byleś znowu chciała żyć.

Spojrzała na niego niechętnie. Dobrze sobie! Możesz być, kim chcesz! Chciała być żoną Sewera, chciała urodzić mu dzieci i patrzeć razem z nim, jak dorastają. Chciała być panią na Dąbrówce. I co?

– Nie, nie mogę – powiedziała niemal wrogo, zamykając w tych trzech słowach całą żal i ból, jakie były jej udziałem od ponad roku.

– Możesz – powtórzył. Posiedział z nią w milczeniu jeszcze chwilę, po czym poklepał jej dłoń i wyszedł.

Długo jeszcze patrzyła w ogień. Możesz robić, co chcesz? Jak to? Tak po prostu? Przecież jej życiowa droga była wytyczona. Była prosta i jasna niczym aleja lipowa, która ciągnęła się od bramy do dworu. Domowa edukacja, ślub i przeprowadzka, potem dzieci, zarządzanie służbą i gospodarstwem, lektura i malowanie dla przyjemności, cotygodniowy obiad z księdzem proboszczem, regularne wyjazdy do wód, może mecenat i wspieranie dobrym słowem oraz solidnym datkiem jakiejs ochronki.

I co? To już nieaktualne?

To już nieaktualne... Zrozumiała nagle, co ojciec miał na myśli.

Dawał jej wolną rękę. Pozwalał wyjść poza lipową aleję i ruszyć krętą, zakurzoną drogą między polami, dokąd tylko chciała. Otwierał na oścież drzwi na świat, te same drzwi, które dotąd otwarte były tylko pozornie. Mówił: idź i znajdź nowy powód do życia, rób, co chcesz, cokolwiek cię uszczęśliwi.

Zerwała się i pobiegła szukać ojca. Znalazła go w gabinecie. Pochylony nad księgami rachunkowymi, akurat kończył rozmowę ze Szlamkiem,

żydowskim arendarzem. Patrzyła, jak pejsy tego drugiego kołyszają się miarowo, kiedy nakłada kapelusz i z uśmiechem, smutnym i nasyconym współczuciem, jakim ostatnio wszyscy ją w Leosinie obdarzali – wychodzi. Zaraz po wyjściu Szlamka do gabinetu wślizgnęła się matka. Przycupnęła obok ojca na niewielkim taborecie. Oboje spojrzeli wyczekująco na Franię.

– Chcę znowu malować – powiedziała Frania.

– Dobrze. Jutro zamówię dwa tuziny nowych płócien i farby. Będiesz je miała za tydzień, góra dwa. A może chciałabyś, żebyśmy w sadzie wybudowali ci pracownię? Przecież tak lubiłaś kiedyś malować jabłonie.

– Nie tutaj, tato – powiedziała Frania. – Nie chcę tu malować. Wszystko mi tu o nim przypomina.

Ojciec poruszył się niespokojnie.

– Jak nie tutaj, to gdzie? – zapytał.

– Nie wiem. Jak najdalej stąd. W Krakowie. Może we Lwowie?

Matka zaczęła łkać w chusteczkę. Ojciec uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu.

– Dobrze – powiedział krótko.

Matka zanosła się płaczem.

Ojciec rzeczywiście zadbał, by mogła robić, co chciała, i by miała ku temu warunki finansowe. Stanowczo też doradził wybór Warszawy. Przecież ci wszyscy utalentowani artyści, którzy teraz ciągnęli tam z całej Rzeczypospolitej i porzucali na jej rzecz nawet Kraków, nie mogli się mylić. Jak być malarzem, to tylko w Warszawie, bezwzględnie! Oczywiście miał rację. Ale to nie było najważniejsze. Warszawa miała jedną znaczącą przewagę nad każdym innym miastem w Rzeczypospolitej i w Europie – czujne oko i ucho Eleonory Hardt, czyli siostry jego matki Katarzyny.

Od wspomnień rodzinnego domu oderwała ją wrzawa, która nagle podniosła się za drzwiami. Ponieważ nie cichła przez dłuższą chwilę, ciotka, wyraźnie poirytowana, wstała zza stołu, ruszyła nieśpiesznie przez jadalnię, po czym zamaszystym gestem otworzyła drzwi na korytarz.

Na jego środku, na szeroko rozstawionych nogach stała kobieta, niska co prawda, ale mocnej budowy. W ręce trzymała szary węzełek, a pod pachą starego, wyliniałego kocura. Jego łapy majtały bezwładnie, a zielone oczy były gniewnie zmrużone.

– Wara ode mnie! Wara! – krzyczała do pozostałych, które nagle, dojrzawszy za jej plecami pochmurną twarz ministrowej, zgodnie ucichły i spuściły oczy.

– Będzie mnie jedna z drugą oceniała! – grzmiąca tymczasem kobieta z kotem. A gdy dotarło do niej, że nagle zapanowała cisza, dodała zadowolona: – No i hej!

Ministrowa chrząknęła znacząco. Kobieta się odwróciła. Na głowie miała kapelutek, niby odświętny, ale mocno już znoszony i wytarty, który nie dodawał uroku jej płaskiej, pospolitej twarzy z głęboko osadzonymi małymi oczami.

Ciotka Eleonora już unosiła pióro, by wycelować je w drzwi wejściowe i dać tym samym kobiecie znać, by sobie poszła, gdy nagle za jej plecami odezwała się Frania.

– Ta – powiedziała.

– Ta? – Ciotka Eleonora spojrzała na nią zdziwiona.

– Ta.

– Ale ta jest strasznie pyskata. Nie wytrzymasz z nią! – powiedziała Eleonora, nic nie robiąc sobie z tego, że słyszą ją wszystkie zebrane na korytarzu kobiety.

– To nie ja z nią, ale ona ze mną będzie musiała wytrzymać. Ciocia ją przepytła.

Eleonora spojrzała groźnie na kobietę, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

– Proszę – dodała Frania ciszej.

Ciotka Eleonora uległa tylko dlatego, iż w rodzinie kolektywnie postanowiono czynić, przynajmniej chwilowo, zadość wszelkim życzeniom Frani, choćby tym najbardziej niedorzecznym – ze względu na jej kiepski stan emocjonalny rzecz jasna.

Kiedy znalazły się we trzy w jadalni, kobieta położyła ostrożnie swój tobołek na podłodze i ułożyła na nim kota. Miauknął przeciągle i zapadł w letarg. Ciotka Eleonora przyglądała się temu z nieskrywaną odrazą.

– Jak się nazywa? – zapytała wreszcie.

– Felek.

– Nie kot, wy!

– Marynia Myszak.

Ministrowa Hardt zapisała nazwisko w notesie i od razu postawiła przy nim trzy wykrzykniki.

– Referencje ma?

– Pani nie dała. Wyrzuciła, jak się zorientowała, że jestem w ciąży.

Ciotka Eleonora spojrzała znacząco na wydatny brzuch kobiety, a potem na Franię, jakby bez słów chciała jej przekazać, że tak właśnie należy postępować ze służącymi, które nierozsądnie się prowadzą. Frania udała, że nie rozumie, o co chodzi. Wróciła na miejsce pod oknem i zapaliła kolejnego papierosa.

– A ojciec dziecka?

– Nie powiem!

– Niechże ciocia da jej spokój. – Frania dmuchnęła papierosowym dymem za okno.

– Franciszko, co ci po służącej, która nad sobą nie panuje? Ani nad chucią, ani tym bardziej nad językiem!

– Cóż z tego. Ja też nad sobą nie panuję. – Frania zerknęła z ukosa na uchylone drzwi do pracowni. Przez szparę było widać kawałki potłuczonego kryształu, spoczywające w kałuży wody pomiędzy pomarańczowymi gerberami.

Marynia również spojrzała w tamtą stronę.

– Nie ma takiego bałaganu, którego nie da się pozamiatać – powiedziała.

– Sprzątać! Bałagan się sprząta, nie zamiata! – pouczyła ją ciotka i dopisała kolejny wykrzyknik.

Frانيا uśmiechnęła się i ponownie zaciągnęła papierosem.

– Gotuje? – zapytała ciotka.

– Gotuje.

– A co?

– A co pani każe.

– Pierze i prasuje? Sprząta? Bo drugiej do pomocy nie bierzemy, więc będzie musiała wszystko sama robić. Jak sama wszystko to ogarnie, jak będzie dziecko miała? I to jeszcze nieślubne.

– Ślubne czy nieślubne, ważne, że kochane. Nie mam się czego wstydzić – powiedziała z mocą Marynia. – A sił mi starczy, pani się nie boi. – Spojrzała Frani w oczy. – Człowiek musi pracować, żeby śmierć nie zastała go siedzącym.

– O! I to mi się podoba! – powiedziała Frania i przy głośnych protestach ciotki wymachującej notesem przyjęła Marynię do pracy.

Ciotka Eleonora wytykała jej to jako błąd przy każdej okazji, ale nawet ona musiała przyznać, że Marynia Myszak przy całym wachlarzu wad miała jednak dwie zalety: była pracowita i bezwzględnie lojalna wobec Frani. Niech no tylko dozorca krzywo spojrzął na resztki niszczonej w przypiływie złości obrazów, które Marynia cierpliwie znosiła do śmietnika. Niech no tylko któraś z gospodyń z ulicy spróbowała rzucić pod adresem wieczne rozkojarzonej Frani złośliwą uwagę. Albo niech jakaś baba na rynku ośmieliła się nazwać ją dziwaczką tylko dlatego, że nie jadła mięsa, mimo że przecież na zakupy w jatce mogła sobie pozwolić każdego dnia. Marynia natychmiast ruszała niczym rozwścieczony dzik do ataku, swoim ostrym językiem broniła chlebobawczyni od zniewag, o których ta nie miała nawet pojęcia. A choćby miała, to pewnie i tak by się nimi nie przejęła.

PIĄTEK, 5 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Lola zjawiła się na telefoniczne wezwanie Maryni. Kiedy stanęła w progu, nie padło między nimi ani jedno słowo. Służąca przyjęła od niej płaszcz oraz kapelusz i skinęła głową w stronę sypialni. Lola wzięła głęboki oddech i zapukała. Nie doczekała się odpowiedzi, weszła więc do środka.

W sypialni panował półmrok. Podeszła do okna i odsunęła ciężkie welurowe zasłony w kolorze kwiatów kwitnącej wiśni. Frania wybrała właśnie takie, ponieważ pięknie kontrastowały z ciemnozieloną tapicerką mebli, które na początek nowego życia w Warszawie podarowała jej ciotka Eleonora. Popołudniowe słońce wpadło do środka. Ruda głowa natychmiast zanurkowała pod poduszkę.

– Wstawaj – powiedziała Lola.

Odpowiedziało jej milczenie. Lola rzuciła torebkę na fotel.

– No już! – Zerwała kołdrę i pociągnęła przyjaciółkę za bosą stopę.

Frانيا krzyknęła. Opierała się, ale Lola była silniejsza i ściągnęła ją z łóżka. Frania leżała więc teraz bez ruchu na tureckim dywaniku,

zaciskając powieki. Po chwili jednak otworzyła jedno oko. Przez uchylone do buduaru drzwi zobaczyła toaletkę, a w odbiciu jej lustra Lolę, która stała przed szafą i przerzucała jej zawartość. Wreszcie wyciągnęła długą grantową suknię i wróciła do sypialni. Frania podniosła się na łokciu. Sama Lola wyglądała niezwykle wytwornie w sukni w kolorze kawy z mlekiem, z miękkim dekoltem w łódkę i białymi kwiatowymi aplikacjami zdobiącymi dół. No proszę. Bez wątpienia od Hersego. Dla Frani co prawda nie miało to większego znaczenia. Jeżeli o nią chodziło, Lola mogłaby równie dobrze założyć worek pokutny, a i tak skradłaby całą uwagę na salonach. Rozumiała jednak, że Lola taką suknię wybierała tylko na wyjątkowe okazje. Coś było zatem na rzeczy.

– No już! – Lola wskazała na okrągły taboret z frędzlami stojący przy toaletce.

Frانيا podniosła się z ociąganiem i usiadła przed lustrem. Była blada, miała podkrążone oczy. Lola sięgnęła po szczotkę do włosów.

– Rozumiem, że zupełnie się poddajesz. Będziesz przez następne kilkadziesiąt lat leżeć w pościeli i patrzeć w sufit. – Rozplotła warkocz i zaczęła rozczesywać włosy Frani.

– Daj mi spokój.

– Nie dam. Pomyśl, proszę. Sewer chciałby, żebyś była szczęśliwa. Żebyś malowała, cieszyła się swoją pracą. Może nawet... – Spojrzała niepewnie na odbicie Frani w lustrze. – Może nawet pokochała kogoś innego.

– Lolu, ja nigdy nie pokocham nikogo innego.

– Pokochasz. Inaczej, ale, wierz mi, pokochasz.

Frانيا sięgnęła po stojącą na blacie pozytywkę i nakręciła ją. Porcelanowa figurka baletnicy zaczęła się obracać. Przez buduar popłynęły dźwięki *Jeziora łabędziego*. Lola przesuwiała szczotką po włosach Frani. Przelewały się jej przez palce, falowały niczym poruszane wiatrem wody jeziora.

– Puder?

Frانيا wyjęła z szufladki puderniczkę Velours de Paris.

– Franiu, każdego dnia musisz podejmować decyzję. Czy melancholia pokona ciebie, czy ty melancholię. – Lola zaczęła dotykać twarzy Frani puszkami. – Nie musisz być wesoła jak szczygieł, ale wstań. To już jeden

zero dla ciebie. Ubierz się: to już dwa zero. Idź do pracy: kolejny punkt dla ciebie. I tak dalej.

– Wystarczy! – Frania odepchnęła jej rękę.

– Nie ruszaj się, proszę. – Lola sięgnęła po czerwoną szminkę. Nałożyła ją i odsunęła się o krok, by ocenić efekt. – Dobrze ci w tym kolorze.

Frania wzruszyła ramionami.

Lola przejrzała niewielką kolekcję perfum ustawioną pod lustrem. Kilka flakonów pochodziło z fabryki J. & S. Stempniewicza w Poznaniu, kupowanych przez Franię z tych samych powodów, dla których Lola ich unikała – ze względu na rodzimą produkcję i fakt, iż dojrzewały w piwnicach starego browaru. Bez namysłu sięgnęła po prostą, przyciężką butelkę ze szklanym korkiem ozdobionym granatowym kółkiem ze złotą literą „G” – Petite Fleur Bleue de la Maison Godet. Sypialnię wypełnił różano-jaśminowy obłok.

– I gotowe! – powiedziała. – No, ubieraj się, bo się spóźnimy!

Pozytywka umilkła, a porcelanowa baletnica znieruchomiała w arabesce.

*

Co się tyczy zobowiązań zawodowych Loli Nowickiej, to wybierała tylko najelegantsze bale i premiery. W przeciwieństwie do kolegów po piórze pisujących recenzje nie mogła pochwalić się legitymacją uprawniającą do wejścia na wszystkie stołeczne przedstawienia. Nie była też witana w drzwiach przez dyrektorów teatrzyków i kabaretów niskimi ukłonami. A i tak jej pojawienie się elektryzowało zgromadzonych. Zbiorowy szmerek zadowolenia przetaczał się wokół, gdy tylko przekraczała próg. Odwracano się w jej stronę i kłaniano, gdy szła, zawsze bardzo wolno, ku szatni. Bo tak jak recenzent mógł wylansować sztukę, tak Lola mogła każdemu – czy to zasiadającemu na widowni, czy pływającemu po scenie – dać miejsce na towarzyskim nieboskłonie. No chyba że ktoś ją zdenerwował. Wtedy miejsce, owszem, otrzymywał, ale raczej w charakterze ofiary persyflażu.

Później, gdy zdawszy etolę lub futro, ukazywała się ponownie w całej swojej eleganckiej doskonałości, nad *foyer* unosiło cię cichutkie „Aaach”. Panie zachwycały się kreacją Loli, a ponowie samą Lolą.

Nie przystępowała do pracy od razu. Najpierw odkrywała to, co chciano ukryć. Krążyła między zgromadzonymi, niby wymieniając powitania i serdeczności. W rzeczywistości śledziła znaczące spojrzenia rzucane między kochankami. Łapała niby przypadkowe, trwające krócej niż ułamek sekundy muśnięcia dłoni. Jej wzrok prześlizgiwał się niby obojętnie po tłumach nowobogackich płci obojga, łaknących jej uwagi. Obserwowała wrogie iskrzenie między kobietami rywalizującymi o względy tego samego mężczyzny. Bawiło ją to. Lubiła szczególnie, kiedy pojawiał się Sándor. Był przystojniejszy od Kiepury, a jeżeli się postarał, to i elegantszy od Bodo. Kiedy się zjawiał, w ruch szły wachlarze, trzepotały rzęsy, rozchyłały się usta, a głowy odchyłały się na bok, odsłaniając białe szyje. Ruszała też lawina złośliwostek, ta delikatna, ale jakże skuteczna kobieca broń, która służy osłabianiu pewności konkurentek.

Choć ostatnio piorunujący efekt Sándora na salonach był jakby słabszy za sprawą wiszącej bezustannie na jego ramieniu Irmy. Lodowate fiołkowe spojrzenie zakreślało wokół niego niewidzialną linię, której inne kobiety nie przekraczały.

Kiedy już Lola zorientowała się w zmianach, które zachodziły bezustannie w towarzyskich konstelacjach, przystępowała do właściwej pracy. Przyglądała się sukniom pań, pytała, kto je czesał, wymieniała uprzejmości z nowymi bywalcami salonów. Z niektórymi umawiała się na przesłanie zdjęcia kreacji, które później, opatrzone stosownym komentarzem napisanym przez Lolę, zdobiło łamy „Tygodnika Wytwornego”.

Przyjęcie, na które tego dnia wyciągnęła Franię, zorganizowano z okazji premiery Uczty szyderców. Odbывało się w „Słonecznej”. Za dnia była to elegancka kawiarnia z dużymi lustrami na ścianach. Wieczorami przeobrażała się w modny lokal spowity papierosowym dymem, gdzie pito szampana i tańczono całą noc. Bywało, że ostatni tancerze, opuszczając „Słoneczną”, mijali w drzwiach wytworne damy w słusznym wieku, które przychodziły tu na poranną czekoladę.

Tego wieczoru w „Słonecznej” grał zespół muzyków w identycznych białych garniturach. Pianista, skrzypek, dwóch saksofonistów i człowiek o niepozornej może budowie, za to dzierzący imponujących rozmiarów suzafon, kołysali się rytmicznie w takt niespiesznie wygrywanych popularnych standardów. Zebrani mimowolnie kołysali się z nimi, bębnilo palcami o bukowe blaty stolików lub wystukiwali rytm eleganckimi lakierkami o posadzkę z cementowej mozaiki. Trudno było bowiem nie dać się ponieść tej muzyce i atmosferze ogólnej wesołości, jaka panowała po tak udanej premierze. I tylko jedna Frania, wsparłszy głowę na rękę, siedziała osowiała i nieruchoma niczym posąg nad kolejnym już kieliszkiem likieru Bernardine.

Sándor pojawił się w towarzystwie Irmy Firlej. Prezentował się wspaniale w czarnym smokingu z kremowym goździkiem w butonierce. Kobiety odwracały ku niemu spojrzenia, kiedy idąc przez wypełnioną po brzegi salę, szeptał coś wspartej na jego ramieniu Irmie. Śmiała się, odchylając głowę do tyłu. Modnie przycięte à la garçonne czarne włosy pozostawały przy tym nieruchome, za to spojrzenie jej mocno umalowanych oczu ślizgało się czujnie po całym towarzystwie. Miała na sobie długą suknię z blad różowego muślinu, efektownie zebraną w tali grantową szarfą, i takie same pantofle wykończone jedwabiem.

Na jej widok Frania ocknęła się niczym wyrwany ze snu człowiek i spłoszona zanurkowała pod stolik.

„Nóżki baranie! Kiedy wreszcie skończy się ten romans!” – pomyślała. Odkąd Irma pojawiła się na życiowej orbicie Sándora, coraz częściej brały udział w tych samych wydarzeniach towarzyskich. Frania czuła, że konfrontacja jest nieunikniona i zbliża się dzień, kiedy nie umknie na czas przed Irmą. Prędzej czy później będzie musiała stanąć z nią twarzą w twarz. Na myśl o tym oblewała się rumieńcem wstydu. Zachowanie sprzed dwóch lat nie dodawało jej chwały. A im dłużej Frania czekała z przeprosinami, tym sytuacja stawała się bardziej niezręczna.

Nagle pod stolikiem pojawiły się satynowe pantofelki Loli, ozdobione kwiatowymi aplikacjami, dobrane pod kolor i fason jej sukni. Frania usłyszała, jak przyjaciółka odprawia jednego ze swoich licznych wielbicieli. Czarno-białe skórzane męskie trzewiki, które snuły się za Lolą, odkąd tego wieczoru przekroczyła próg „Słonecznej”, oddaliły się z ociąganiem w stronę baru. To był chyba ten młody poeta o zamglonym

spojrzeniu, niedoceniany za swoje wiersze, ale uwielbiany za skecze, pisywane – jedynie celem podratowania budżetu, a nie zdobycia sławy – dla licznych warszawskich kabaretów i kabarecików. Całkiem sympatyczny. I choć Lola nie miała go nadzieją, to tkwił w beznadziejnym uwielbieniu dla jej osoby, a każde jej życzliwsze słowo czy cieplejsze spojrzenie przekuwał na sonet. Niestety pośledniej jakości.

– Możesz już wyjść – powiedziała po chwili Lola.

Frania ostrożnie wychyliła się ze swojej kryjówki. Ponad krawędzią stołu dostrzegła, że Irmę otoczył tłumek wielbicieli, skutecznie odgradzając ją od reszty towarzystwa. Usiadła na krześle, unikając ironicznego spojrzenia Loli.

Sándor tymczasem wyślizgnął się z uścisku Irmy. Lola zauważyła, że na jej twarzy pojawił się grymas, szybko przykryty czarującym uśmiechem.

– Uszanowanie pięknym paniom, jakże cieszy moje oczy wasz widok – powiedział, dosiadając się do ich stolika.

– Chyba nie tylko nasz. – Lola spojrzała znacząco na Irmę.

Sándor wzruszył ramionami i zamówił butelkę szampana.

– Cieszę się, Franiu, że masz się już lepiej. – Dotknął jej ramienia, ale szybko cofnął dłoń. Zapadła chwila kłopotliwego milczenia, które zostało przerwane pojawieniem się poety.

– Leontyno, muzo moja, twój widok sprawia, że wiersz sam ciśnie mi się na usta.

Uniosła dłoń, by go uciszyć, ale poeta chwycił ją i unieruchomił w mocnym uścisku na swojej klatce piersiowej w okolicach serca, po czym z półprzymkniętymi powiekami zaczął recytować:

*Jesteś jak kwiat uroczy.
Że cię kocham, cóżem winnym.
By nie widzieć cię z innym,
Prędeż sobie wydrapię oczy.*

Urwał i uśmiechnął się nieśmiało.

– Na razie mam tylko tyle.

Lola nie bez trudu oswobodziła dłoń z jego uścisku i z ledwo skrywanym obrzydzeniem wytarła ją w serwetkę.

– Dziękuję panu i do widzenia – powiedziała.

Poeta posmutniał i ze spuszczoną głową, szurając trzewikami, oddalił się ponownie w stronę baru.

Tymczasem kelner zjawił się z butelką szampana. Otworzył ją bezgłośnie i napełnił trzy płaskie kryształowe kieliszki.

– *Egée...* – Sándor urwał w pół słowa, gdyż ponad krawędzią kieliszka zobaczył, jak Lola wypija całą zawartość swojego. Mrugnął do niej, sięgnął do kubeczka z lodem i dolał jej szampana. Spojrzał na nią wyczekująco. – Już?

– Wybaczcie! Ten poeta od siedmiu boleści działa mi na nerwy. Jak tępym trzeba być, by nie rozumieć słowa „nie”!

– Bardzo tępym – odpowiedziała Frania.

– Albo bardzo zakochanym – dodał Sándor.

Trzy kryształowe kieliszki spotkały się nad środkiem stolika.

– *Egészségetekre!*

– Jak poszukiwania *Kukułki*? – zagadnął Sándor.

– Inspektor Sztaba nic, tylko pręży muskuły i zadaje pytania. A *Kukułki* jak nie było, tak nie ma. Mają jednego podejznanego, Romana Paprotka – odpowiedziała Frania.

– Kustosza?

– Nie, naszą złotą rączkę. Szukają go po całej Warszawie, bo aktualnie przepadł jak kamień w wodę, co tylko podsycza podejrzenia Sztaby. Od ponad tygodnia Paprotka nie było w pracy.

– Wierzysz, że ma coś wspólnego z kradzieżą? – zapytała Lola.

– Nie, moim zdaniem nie miał dość czasu, żeby zabrać obraz po zastąpieniu.

– Chyba że miał współnika. Albo współniczkę! – Sándor klepnął Franię w kolano i mrugnął do Loli.

Frania spojrzała na niego ponuro.

– Coś jest nie w porządku z tym obrazem. Mówię wam, czuję, że gdybym wiedziała, w czym tkwi problem, to rozwiązałabym tajemnicę jego zniknięcia.

– Franiu, a może tylko ci się wydaje, że z tym obrazem jest coś nie tak? Może rzeczywiście Paprotek zwinął ten obraz i tyle – powiedziała Lola. – Sama mówiłaś, że od tygodnia nie było go w pracy. To trochę podejrzane, nie sądzisz?

– Nie, to niemożliwe. Nawet gdyby jakimś cudem niezauważony wyjął go z ramy, to nie mógłby tak po prostu wyjść z nim z muzeum. To całkiem spore płótno.

– Chyba że... – powiedział powoli Sándor.

– ...gdzieś go ukrył! – weszła mu w słowo Frania.

– Wielkie umysły myślą podobnie. – Sándor mrugnął i uniośł kieliszek.

Muzycy właśnie zapowiedzieli przerwę. Deski skrzypiały pod ich nogami, kiedy jeden po drugim schodzili z niewielkiej sceny.

– Podest! – powiedziała zapatrzona na nich Frania. – Romuś montował taką małą scenę w dniu kradzieży! Dyrektor kazał jej nie rozbierać, powiedział, że przyda się do odczytów!

– Myślisz, że płótno jest ukryte pod nią? – zapytał Sándor.

– Sprawdźmy to! Muzeum jest przecież niedaleko stąd. – Frania uśmiechnęła się pierwszy raz tego wieczoru.

– Przedni pomysł, Franiu!

– Chyba żartujecie. – Lola pokręciła głową.

Frانيا wstała.

– Idziesz z nami?

– Nie ma mowy! Stuknijcie się lepiej w głowy.

Frانيا wzruszyła ramionami i zaczęła przeciskać się ku drzwiom.

– *Mademoiselle*. – Sándor ukłonił się Loli i ruszył za Franią.

Lola westchnęła i rozejrzała się po sali. Irma, nadal otoczona wianuszkami wielbicieli, śmiała się głośno i chyba nie zauważyła wyjścia Sándora. Nagle na stolik padł cień. Lola odwróciła się i zobaczyła ledwo trzymającego się na nogach poetę.

– Leontyno! – wybełkotał, padł na kolana i rozłożył ręce, przygotowując się do kolejnej recytacji.

– Chwileczkę! – Lola uniosła palec wskazujący. Sięgnęła po kieliszek i opróżniła jego zawartość. Po czym zerwała się na równe nogi i pobięła za Franią i Sándorem.

Dochodziła północ, kiedy trzy ciemne sylwetki wyróżniające się eleganckim ubiorem stanęły przed wejściem do muzeum.

– Wybaczcie, ale ktoś tu musi być głosem rozsądku. Lepiej poczekać do rana i powiedzieć Sztobie o twoich podejrzeniach – oznajmiła Lola.

Frania pchnęła drzwi obiema dłońmi. Były oczywiście zamknięte.

– Sama widzisz, nic tu po nas.

Z sąsiedniej bramy wyskoczył bury kocur. Zmrużył oczy i z cichym miauknięciem zniknął w ciemnościach. Sándor i Frania spojrzeli na siebie porozumiewawczo i bez słowa weszli w bramę. Lola z ociąganiem ruszyła za nimi. Błądzili przez chwilę w labiryncie nieregularnych, połączonych ze sobą podwórek.

– To chyba tutaj – powiedziała wreszcie Frania. Sándor, bez wahania przytrzymując łydkę Frani, pomógł jej wspiąć się na mur rozdzielający parcele. Po czym podciągnął się i sam usiadł okrakiem na jego szczycie.

– Idziesz z nami czy zostajesz na czatach? – wyszeptał.

Lola się rozejrzała. W ciemnościach błysnęło kilka par kocich oczu. Przeszył ją dreszcz.

– A na co mam tutaj zatować? – zdenerwowała się Lola. – Idę z wami!

Podwinęła połę sukni, chwyciła wyciągniętą ku niej dłoń Sándora i wspięła się na mur. Noc była pochmurna i muzealny dziedziniec, znajdujący się po drugiej stronie, tonął w ciemności.

– No to prawie jesteśmy – powiedziała Frania i zeskoczyła na drugą stronę. – Nóżki baranie! – syknęła.

– Co się stało? – Sándor rzucił się na dół, nie czekając na odpowiedź. – O cholera!

– Co? – Lola wpatrywała się w ciemności pod murem.

– Pokrzywy! – wyjęczała żałośnie Frania.

– Po pas – dodał Sándor.

– No pięknie.

– Zapomniałam, że tutaj rosną. Przejdź kawałek w stronę budynku, Lolu, tam ich nie ma.

Lola westchnęła i ostrożnie wstała. Rozłożyła ręce na boki i pewnie ruszyła po szczycie muru. Sándor gwizdnął z uznaniem.

– Nie ma się co dziwić. Kiedyś pracowałam w cyrku – powiedziała Lola.

– Ja się nie dziwię, że chodzisz po tak wąskim murze – powiedziała Frania. – Dziwię się, że jesteś w stanie to robić w wąskiej sukni i po wypiciu niemal całej butelki szampana.

– Co? – Lola zatrzymała się gwałtownie. – Wypiłam najwyżej dwa kieliszki.

Nagle poczuła, że miękkie ciało otarło się o jej kostkę, a zimny, cienki ogon przesunął się po jej stopie. Coś zapiszczało w ciemności i pobiegło dalej szczytem muru.

– Szczur! – krzyknęła. Zakołysała się i runęła w dół.

Wylądowała w ramionach Sándora. W ciemności dostrzegła mrugnięcie, jakże teraz irytujące.

– Jesteśmy w komplecie – powiedział, stawiając ją na ziemi. – Gdzie teraz?

– Nie wiem – wyszeptała Frania. Rozejrzała się po dziedzińcu. Był obstawiony z trzech stron budynkami. – Wszystkie drzwi i okna od tej strony też będą pozamykane. Chyba nie do końca to przemyślałam.

– Franiu! – zdenerwowała się Lola. – Miej litość.

– Ciszej, Lolu! – Frania wskazała na małe okienko w rogu budynku. – W stróżówce pali się światło. Niedobrze.

– Wracajmy. Tylko narobimy sobie kłopotów – jęknęła Lola. – Sándor, gdzie się podziałeś? Sándor!

Coś zazgrzytało w ciemności. Poszły za tym dźwiękiem i po kilku krokach natknęły się na Sándora.

– Zapraszam. – Usłużnie pochyłony, unosił klapę do zsypu na węgiel. Machnął ręką w stronę ziejącej dziury i dodał: – Panie przodem!

Frانيا bez wahania osunęła się w głąb. Lola zaczęła zbierać fałdy sukienki, mrużąc przekleństwa pod nosem. Kiedy zjechała w dół, kilka drobnych kamyczków potoczyło się wraz z nią. W ciemności dostrzegła Franię nienaturalnie wykręconą do tyłu. Poddawała inspekcji swoje podarte jedwabne pończochy. Po chwili w piwnicy wylądował Sándor, wzbijając chmurę węglowego pyłu.

– No to jesteśmy na miejscu! – Otrzeptał ręce i zapiął guzik fraka.

Opuścili niemal pusty o tej porze roku skład na węgiel i ruszyli ciemnym piwnicznym labiryntem. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny, od ścian i podłogi ciągnął chłód. Gdzieś z głębi piwnicy dochodziły miarowe uderzenia pojedynczych kropli wody o ceglaną

posadzkę. Wreszcie dotarli do ciężkich metalowych drzwi odgradzających schody prowadzące na parter. Sándor pchnął je i zaklął po węgiersku.

– Zamknięte.

– Zapomniałam, że te drzwi są zawsze zaryglowane od drugiej strony – powiedziała Frania.

– To jedyne wejście na górę? – zapytał Sándor.

– Tak.

– Wracajmy – powtórzyła Lola.

– Czekajcie! – Frania się ożywiła. – Zanim wyznaczono ten budynek na siedzibę muzeum, mieściło się tu biuro i areszt policji.

– To bardzo interesujący fakt historyczny. Może od tego zaczniemy rozmowę z policjantami, którzy zaraz się tu zjawią, by nas aresztować.

– Daj mi skończyć, Lolu! Chodzi mi o to, że ten gmach przechodził z rąk do rąk i wykorzystywany był przez różne instytucje. Ale w momencie powstania była to rezydencja metropolitów unickich, a później na krótko zamieszkał tu nuncjusz papieski.

– I cóż z tego? – Lola wzruszyła ramionami.

– A to, że był to początkowo raczej budynek mieszkalny niż urzędowy. I w związku z tym była w nim winda kuchenna! – powiedziała Frania.

Zniecierpliwiona płaczącą się wokół kostek suknią, zawiązała ją w gruby supeł nad kolanami, po czym szybkim krokiem cofnęła się w głąb korytarza. Sándor ruszył za nią. Lola stała jeszcze pod zamkniętymi drzwiami. Pozostawanie w muzeum było szaleństwem. Narażała na szwank swą reputację i pozycję społeczną. A w przeciwieństwie do Frani i Sándora musiała bardzo ciężko na nią pracować. Uniosła ręce i spojrzała w górę, jakby czekała na boską interwencję, która wyciągnie ją z tej przykrej sytuacji. Takowa nie nastąpiła. Lola zobaczyła jedynie przebiegającego po gzymsie pod sufitem piwnicy szczura. To wystarczyło, by ruszyła za przyjaciółmi. Znalazła oboje przed drewnianymi, dwuskrzydłowymi drzwiczkami wbudowanymi w ścianę.

– Proszę! Pojedziemy sobie od razu na pierwsze piętro – powiedziała Frania.

– Przecież ta winda jest maleńka! Nie ma mowy, żebyśmy się zmieścili! – zauważył Sándor.

Frania zajrzała do środka.

– Faktycznie – zmartwiła się.

Zapadła chwila milczenia.

Lola ostentacyjnie westchnęła.

– Wy na pewno się nie zmieście, ale ja wejść bez problemu. –
Podała Sándorowi torebkę.

Była niższa i drobniejsza od Frani. I swego czasu asystowała pewnemu magikowi, który ku ucieście publiczności sprawiał, że znikąca. W rzeczywistości chowała się w skrynce niewiele większej niż ta winda.

– Gotowa? – zapytał, kiedy weszła do środka.

– Gotowa.

Pociągnął za linę i winda, trzęsąc się, powoli ruszyła w górę. Zawieszony gdzieś wysoko kołowrotek wydawał z siebie metaliczne jęki. Loli przemknęło przez myśl, że ta winda nie była używana od wielu lat i w każdej chwili mogło dojść do przerwania liny, którą bez wątpienia nadgryzł ząb czasu albo co gorsza – myszy! Albo ten szczur! Co ona tu właściwie robiła z tą dwójką szaleńców, narażając swoje zdrowie, a może nawet życie albo i reputację. Wreszcie przed jej oczami przemknęły drzwiczki.

– To tu! – powiedziała.

Sándor widać nie dosłyszał, bo sunęła dalej w górę. Wreszcie winda zatrzymała się z ostrym szarpnięciem między piętami.

– Widzisz drzwi? – z dołu dobiegł szept Frani.

– Za wysoko mnie wciągnęliście.

– Proszę?

– Za wysoko mnie wciągnęliście!

Winda ruszyła w dół.

– Stop! – krzyknęła Lola, kiedy ponownie zobaczyła drzwi.

Winda jednak kontynuowała zjazd aż do piwnicy.

– Co mówiłaś? – zapytał Sándor.

– Mówiłam, że za wysoko mnie wciągnąłeś! O jakieś dwa metry!

– Dobra, to próbujemy jeszcze raz! – Frania zabrała Sándorowi sznur z ręki i pociągnęła, zanim Lola zdążyła zaprotestować.

Tym razem winda zatrzymała się nieco poniżej drzwiczek wychodzących na parter, ale wystarczająco blisko, by Lola mogła je pchnąć. Widać od dawna nieużywane, otworzyły się z chrobotem, który

odbił się echem od ścian sali. Lola wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Odczekała dłuższą chwilę, by się upewnić, że hałas nie zaalarmował stróża. Rozejrzała się. W sali znajdowała się kolekcja toporów i mieczy. Ruszyła przez ciąg niewielkich gabinetów mieszczących kolekcję muzeum wojska. Mimo że często odwiedzała Franię w pracy, to nigdy nie zatrzymywała się na parterze. Zawsze szła prosto do galerii malarstwa na pierwszym piętrze, gdzie najczęściej można było znaleźć Franię albo kogoś, kto wiedział, gdzie akurat przebywa. Toteż kiedy teraz w jednym z gabinetów jej oczom ukazała się pełna zbroja husarska, przystanęła zaskoczona imponującym widokiem. To było coś naprawdę wartego uwagi. Po chwili jednak ruszyła dalej, aż dotarła do korytarza i trzymając się ściany, wreszcie natknęła się na prowadzące w dół schody. Powoli, by nie robić zbędnego hałasu, otworzyła ciężką zasuwę w czerwonych drzwiach. Frania i Sándor czekali po drugiej stronie. Kiedy wchodzili na pierwsze piętro, Frania zauważyła, że po drugiej stronie holu, pod drzwiami stróżówki widoczna jest szpara, która jarzy się żółtym, drgającym światłem. Przyśpieszyła kroku. Gdy znaleźli się wreszcie w głównej galerii na pierwszym piętrze, odetchnęli z ulgą. Lola najgłośniej.

Galeria była zalana księżycową poświatą. Na ścianach i obrazach tańczyły cienie. Lola spojrzała na pierwszy z brzegu portret. Nie wiedziała, kim jest przedstawiona na nim kobieta, ale wyglądała w tym świetle upiornie. Małe, blade oczy zdawały się śledzić każdy ich ruch, a kąciki ust jakby unosiły się wraz z przesuwającymi się po jej twarzy cieniami. Lola dostrzegła, że sukienka Frani jest pokryta siwym pyłem, a Sándor zdawał się mieć we włosach resztki pajęczyny.

Frانيا przebiegła przez salę i złapała za krawędź podestu. Ani drgnął.

– Przybity do podłogi. – Sándor uklęknął przy niej. – Ale tylko w kilku miejscach. Przydałyby się obcęgi.

– Czekaj. – Frania wysypała zawartość satynowej torebki na podłogę.

Rozgarnęła porzucane rzeczy – pudełko miętówek, chustka z monogramem, niewielki pistolet, dwa jabłka i kilka guzików – nic, co nadawałoby się do wyciągania gwoździ z podłogi.

Spojrzeła wyczekująco na Lolę.

– Nie mam nic ostrego! – Otworzyła torebkę. Miała notes, ołówek, bilety wizytowe, szminkę i sporych rozmiarów kamień.

– Po co ci ten kamień? – zapytał Sándor.

– A po co Frani pistolet? Na wszelki wypadek! Do samoobrony!

Pokręcił głową i zaczął obmacywać kieszenie, po czym z triumfalnym uśmiechem wyciągnął korkociąg.

– Aha! Przezorny zawsze ubezpieczony!

– To się nie uda! – Lola machnęła ręką.

– O, wypraszam sobie! – Podrzucił korkociąg w powietrzu. – Trybuszon to bardzo poręczne narzędzie. Można nim otwierać listy, rozsypływać zapętlone sznurówki, przeciągać nitki w swetrach, robić małe dziurki w przeróżnych przedmiotach, czyścić świeczniki z wosku, znaczyć beczki, a w razie ataku jakichś opryszków przyda się do samoobrony.

– Jakoś nie wyobrażam sobie, że mógłbyś wziąć udział w bójce.

– Eee, przepraszam... Chyba mamy podest do ruszenia? – wyszeptęła Frania.

– A tak! – Sándor puścił do niej oko i zabrał się do wyciągania gwoździ. Trwało to wieczność. I nawet spokojna dotąd Frania zaczęła okazywać zdenerwowanie. Gdyby ktoś ich tu nakrył, doprawdy nie byłoby eleganckiego wytłumaczenia dla tej sytuacji.

– Gotowe – wyszeptęł wreszcie Sándor.

Podniósł podest z wyraźnym wysiłkiem. Pochylili się, by zajrzeć pod spód. I wtedy z otwartej torebki Loli wypadł polny kamień. Wysokie ściany galerii spotęgowały łoskot, który w nocnej ciszy zabrzmiał niczym grzmot. Spojrzeli po sobie.

– Jest tam kto? – z dołu dobiegł głos zaspanego pana Miecia. Na głównych schodach zaszurały kroki.

– Szybko! – wyszeptęł Sándor, unosząc wyżej podest.

Frانيا wturlała się pod spód, ale Lola zaplątała się w suknię i utknęła. Podszewka ciasno owinęła się dookoła jej nóg i Lola nie mogła się ruszyć w żadną stronę. Jej głowa i ramiona wystawały poza podest. Tymczasem kroki stróża z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze.

– Szybciej! – ponaglał Sándor.

Frانيا pociągnęła Lolę mocno ku sobie. Trzasnął rozrywany jedwab. Sándor wturlał się pod podest i zdążył opuścić konstrukcję nad ich głowami w tej samej chwili, gdy pan Miecio wszedł do galerii.

Frانيا wstrzymała oddech. Przez szpary między deskami widziała, jak drżące światło świecy omiata pomieszczenie. Stróż obszedł całą galerię.

Chwilami był tak blisko, że słyszała chrzęst jego skórzanych butów. Czuła, że serce bije jej jak szalone, słyszała głośny – za głośny! – oddech Sándora. Lola ścisnęła jej dłoń. Pan Miecio obszedł nieśpiesznie całą galerię. W końcu kroki zaczęły się oddalać. Był już przy wyjściu, gdy nagle z sali, gdzie przechowywano sztukę zdobniczą, odezwało się bicie kilkunastu zegarów. Wybiła północ. I wtedy Frania kichnęła.

SOBOTA, 6 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Frانيا zjawiła się w pracy niewyspana i obolała.

– Klnę się na wszystkie świętości! – usłyszała zaferowany głos pana Miecia, kiedy przechodziła obok gabinetu dyrektora. – Muzeum, uważa pan, jest nawiedzone!

– Panie Mieczysławie, duchy nie kichają!

Frانيا drgnęła i jednym skokiem znalazła się pod ścianą, tuż obok uchylonych drzwi gabinetu.

– Ten kicha! Albo raczej ta, bo to bardziej kobiece kichnięcie było. Równiutko, uważa pan, o północy! Może to była jakaś zabłąkana biała dama?

Dyrektor mruknął coś pod nosem.

– To by wyjaśniło zniknięcie obrazu – powiedział pan Miecio pewnym tonem.

– Ależ co proszę?

– No, duchy! Albo siły nieczyste! Przecież obraz właściwie rozpułynał się w powietrzu. Diabelska sztuczka!

Frانيا potarła skronie. No tak. Duchy były panu Mieciowi na rękę. W końcu ktoś mógł go winić za nieupilnowanie obrazu, skoro przeciwnikiem nie był zwykły złodziej, ale zjawia?

– Dobrze. – Dyrektor machnął ręką. – Proszę zadzwonić na posterunek i powiedzieć inspektorowi Sztapie o swoich podejrzeniach. A potem proszę wracać do pracy.

Pan Miecio klasnął w rękę, zadowolony z takiego obrotu sprawy. Wypadł z gabinetu, kiwnął Franiu na powitanie głową i pokłusował na dół. Pocierając obolałe biodro, Frania skierowała się do szatni dla

personelu, a następnie zeszła do pustej jeszcze galerii malarstwa polskiego. Oparła się o parapet i spojrzała niechętnie na podest. Poprzedniej nocy przeleźli pod nim dla pewności całą godzinę. Kiedy wreszcie odważyli się opuścić muzeum i ponownie znaleźli się na sąsiedniej posesji, Sándor przypomniał sobie, że zostawił Irmę Firlej bez pożegnania, i pchany wyrzutami sumienia pognął do „Słonecznej”. One zaś wsiadły do dorożki. Lola była wściekła. Całą tę przygodę przyplącała zniszczoną suknią. A Frania? Frania była rozczarowana, że jej podejrzenia się nie potwierdziły. Mimo to nocna wyprawa nie była zupełnie bezowocna.

Frانيا rozejrzała się po galerii, po czym wyciągnęła z kieszeni wełnianego żakietu kopertę. Znalazła ją poprzedniej nocy pod podestem. Była zaadresowana do Romana. Obróciła ją kilka razy w dłoniach, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Powinna przekazać list inspektorowi Sztapie przy najbliższej okazji. Tylko jak? Nie mogła mu powiedzieć, gdzie ani w jakich okolicznościach znalazła list, a przecież miejsce mogło mieć znaczenie. Zaczęła układać w myślach możliwe wytłumaczenia, a każde z nich wydawało jej się bardziej podejrzane od poprzedniego. Jakże nedorzeczna i ryzykowna była ta ich eskapada! Dorobiła się jedynie siniaków i kłopotu z tym listem.

Schowała kopertę do kieszeni, potarła skronie i poszła do gabinetu na drugim końcu korytarza czyścić *Powrót jeńców*. Tak upłynął jej cały ranek. Ponieważ była to praca żmudna i w niewygodnej pozycji, Frania, która po wypadkach poprzedniej nocy nie była w najlepszej formie, zaproponowała kustoszowi, że przejmie jego popołudniowy dyżur w galerii. Skiełto zatarł ręce, a twarz mu pokraśniała z zadowolenia. Dyżur w galerii w dużej mierze polegał na bezczynnym przesiadywaniu na składanym krzeselku w rogu sali i oczekiwaniu, aż któryś ze zwiedzających zwróci się do dyżurującego z pytaniem. Było więc to zadanie nudne i monotonne, toteż wszyscy unikali tej pracy jak ognia. Ale dla obolałej i znużonej Frani był to tego popołudnia idealny wybór.

Pech jednak chciał, że zwiedzający byli wyjątkowo dociekliwi. Frania snuła się więc za nimi po galerii i udzielała zdawkowych odpowiedzi, po czym z ulgą wracała na krzeselko, by po chwili znowu się z niego poderwać celem zaspokojenia czyjejs ciekawości.

Tłumaczyła właśnie grupce uczennic z pobliskiego gimnazjum symbolikę obrazu *W pracowni malarza Leona Wyczółkowskiego*, kiedy zjawił się inspektor Sztaba z Chyburą u boku. Widać potraktowali rewelacje pana Miecia poważniej niż dyrektor.

– To nie duchy – usłyszała niski tembr głosu inspektora za swoimi plecami. – Idę o zakład, że to nasz złodziej wrócił na miejsce przestępstwa. Jest pan pewien, że hałas dochodził właśnie stąd?

Pan Miecio skwapliwie przytaknął.

– Nic nie zginęło?

Frania zostawiła uczennice i podeszła do inspektora.

– Niczego nie brakuje – powiedziała i uśmiechnęła się tak czarująco, jak tylko potrafiła. Inspektor spojrzał na nią podejrzliwie. Franciszka Tańska nigdy wcześniej nie zaszczyliła go nawet cieniem uśmiechu. A tu taka zmiana. Coś było na rzeczy.

Zaczął krążyć po galerii z założonymi do tyłu rękami. Przyglądał się z bliska ścianom i poszczególnym obrazom, obserwował też zwiedzających. I Franię. Poczucia, że celowo, niczym sęp, zatacza wokół niej coraz mniejsze kręgi. Zrobiło się jej gorąco.

– Pani Franciszko, czy chciała mi pani coś powiedzieć? – Inspektor Sztaba zrobił ostatnie kółko.

Pokręciła głową.

Odwróciła wzrok w stronę aspiranta Chybury, który stał nieruchomo pod ścianą i patrzył w okno.

– Na pewno?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi, inspektorze – powiedziała.

Koperta w kieszeni zrobiła się nagle potwornie ciężka. Nie mogła mu jej jeszcze oddać, nie miała wiarygodnej historii jej znalezienia po ponad tygodniu od kradzieży obrazu.

– Jeżeli chciałaby pani coś zgłosić... – powiedział, patrząc jej w oczy.

Franię zdjął strach. Nie mogła wykrztusić słowa. Czyżby Sztaba wiedział o ich nocnej obecności w muzeum? Ale skąd? Chyba nie wyprowadzi jej stąd w kajdankach? Jaki to byłby wstyd!

Pan Miecio zjawił się bezszelestnie obok nich. Sztaba spojrzał na niego z ukosa, ujął Franię pod łokieć i odprowadził ją pod okno.

– Spokojnie, pani Franciszko – powiedział łagodnie. Zaskoczyła ją ta zmiana w jego usposobieniu. Pan Miecio wyciągnął ku nim szyję

i podszedł kilka kroków. Jego buty zaskrzyphiały tak jak poprzedniej nocy. Frania drgnęła. Sztaba odwrócił się do stróża i rzucił ostrym tonem: – To wszystko, dziękuję panu!

Pan Miecio zrobił niewyraźną minę i ociągając się, poszedł na dół.

– Może być pani ze mną szczerza.

Włożyła ręce do kieszeni, palce musnęły krawędź koperty. Podskoczyła jak oparzona i splotła dłonie przed sobą. Sztaba obserwował uważnie każdy jej ruch. Wiedział, że coś ukrywa? Wzięta głęboki oddech i wyprostowała się z godnością. Nie da się zastraszyć. W końcu to nie ona ukradła *Kukułkę*.

– Czy pani chciałaby zgłosić...

– Nie! – weszła mu w słowo.

– ...że ktoś panią nęka?

– Słucham?

Tego się nie spodziewała.

Sztaba przestąpił z nogi na nogę, był wyraźnie zmieszany.

– Proszę wybaczyć niedyskrecję. Ma pani sine ślady na przedramionach i zadrapania na szyi.

Spojrzała na swoje ręce. Rzeczywiście nie prezentowały się najlepiej. Zjazd do piwnicy i mocowanie się z podestem zrobiły swoje.

– Dziękuję panu za troskę. To nic takiego! – wyszczebotała, siłąc się na uśmiech.

– Ale te ślady... Jeżeli potrzebuje pani ochrony...

Frانيا zaśmiała się sztucznie.

– Ochrony? Ależ to głupstwo! Podrapał mnie kot gosposi.

– Pani Franciszko. – Sztaba zniżył głos. – Nie będę mógł pani pomóc, jeżeli nie powie mi pani prawdy.

– Obejdzcie się, dziękuję.

Pożegnała go i szybko odeszła. Była pewna, że jej nie uwierzył.

Sztaba skinął na Chyburę i obaj ruszyli w przeciwną niż Frانيا stronę, do wyjścia. Zbliżała się właśnie do parawanu oddzielającego gabinet z *Powrotem jeńców*, kiedy po jego drugiej stronie rozległ się niewyobrażalny huk. Podłoga zadrżała. Frانيا zamarła w pół kroku. Pozostałe obecne w galerii kobiety krzyknęły z przestachu zgodnym chórem. Jedna z gimnazjalistek, która akurat znalazła się поблизу inspektora Sztaby, skorzystała z okazji i osunęła się wpół zemdlona

w jego muskularne ramiona. Kiedy w wysokich ścianach galerii wybrzmiało echo, Frania oprzytomniała i rzuciła się za parawan. Inspektor Sztaba przerzucił dziewczynę w objęcia Chybury, wyciągnął broń i pobiegł za Franią.

– Nóżki baranie! – Frania stanęła jak wryta na skraju salki.

– A niech mnie! – Sztaba dopadł do niej po kilku sekundach.

Powrót jeńców odpadł od ściany i teraz leżał przed nimi płasko, zajmując niemal pół podłogi niewielkiego pomieszczenia. Cynowe wiaderko, w którym Frania trzymała przyrządy i szmatki do czyszczenia obrazu, było zgniecione przez ciężką ramię.

*

Aspirant Chybura podążył na służbowym rowerze marki Wicher za dorożką, do której chwilę wcześniej wsiadła Franciszka Eleonora Tańska; ze względu na powierzoną mu misję zwana przez niego w myślach obiektem. Co się tyczy roweru, to nie prezentował się najlepiej. Rama była tu i ówdzie przerdzewiała, gumowe opony wielokrotnie łatane. Do tego pojazd skrzypiał niemiłosiernie, zwracając powszechną uwagę, a jego stan techniczny uniemożliwiał rozwinięcie większej szybkości. Mimo że Chybura pedałowal ile sił w chudych nogach, to dystans między nim a dorożką wyraźnie się zwiększał. Już miał się poddać, gdy nagle zobaczył mijający go tramwaj elektryczny. Chwytał się jedną ręką poręczy, by dać wytchnienie zmęczonym nogom i wołającym o tlen płucom. Poczul mocne szarpnięcie i nareszcie zaczął nabierać prędkości. Sunął teraz z fasonem, czując wiatr na twarzy. Tętno powoli wracało do normy, ustępowało pieczenie w udach. „Tak można podróżować” – pomyślał aspirant Chybura i pozwolił sobie nawet lekko przymknąć oczy. Niestety tramwaje elektryczne mają to do siebie, że są szybsze od dorożek i kiedy po chwili Chybura otworzył powieki, zauważył, iż niemal zrównał się z Franią. Natychmiast puścił poręcz, jednak ku jego przerażaniu rękaw munduru zaczepił się o metalowy drążek. Nadal ciągnięty przez tramwaj, teraz jechał z dorożką ramię w ramię. Co robić? Sztaba wyraźnie zaznaczył, że zadanie trzeba wykonać

dyskretnie. Nakazał nie niepokoić Tańskiej i nie dawać jej powodów do podejrzeń, że jest obiektem śledztwa. Nie mogła Chybura zauważyć!

Na jego szczęście Frania Tańska nie zważała ani na tramwaj, ani na uczeponego rowerzystę na skrzypiącym jednośladzie, rozpaczliwie próbującego zasłonić czapką twarz. Pochłonięta była lekturą tomiku wierszy *Na chwałę słońca*.

Po chwili, która zdała mu się wiecznością, tramwaj minął dorożkę. Chybura odetchnął. Zorientował się jednak natychmiast, iż popełnił błąd. Jak miał śledzić obiekt, skoro teraz jechał przed nim? Do tego sytuacja znacząco się pogorszyła na najbliższym skrzyżowaniu. Dorożka z Tańską skierowała się w prawo, a on, ciągnięty przez tramwaj, który skręcił w lewo, sunął teraz w przeciwnym kierunku! Aspirant Chybura z całej siły szarpnął ręką. Oberwał mankiet, ale nareszcie był wolny! Zatoczył łuk i ruszył co sił w pościg.

– Z drogi! Policja jedzie! – krzyczał, dzwoniąc zardzewiałym dzwonkiem.

Nie mógł sobie pozwolić na porażkę. Inspektor Sztaba nakazał mu ustalić, dlaczego Tańska wymyka się z muzeum co sobotę na godzinę przed zamknięciem. O tym, że ich okłamała co do miejsca swojego pobytu po powieszeniu *Kukułki*, wiedzieli od stróża Anioła. Od dobrych kilku tygodni raz na tydzień pod muzeum podjeżdżała umówiona zawczasu dorożka, a wtedy Tańska zjawiała się błyskawicznie przy drzwiach i hop do środka. Czy to nie było podejrzane? Owszem, było. I on, Chybura, miał się dowiedzieć prawdy.

Pedałował tak mocno, aż zabrakło mu tchu, a przed oczami pojawiły się mroczki. Wszystko na nic! Zgubił ją!

*

Sándor był w kiepskim humorze. Irma oczywiście zauważyła jego przedłużającą się nieobecność w „Słonecznej” i zrobiła mu potężną awanturę. Z samego rana wysłał jej tuzin róż, ale zabieg ten okazał się nieskuteczny. Kiedy zadzwonił do niej w południe, gospodyni Maciejowa poinformowała go, że Irma nie będzie rozmawiać. Tak,

właśnie tak powiedziała: „nie będzie rozmawiać”. Komunikat był zatem jasny. Irma postanowiła ukarać go milczeniem.

No cóż, trzeba dostać jeszcze ze dwa tuziny róż i przeczekać. Ponieważ nie zanosilo się na rychłe spotkanie z Irmą, późnym popołudniem umówił się z Franią i Lolą w porcie praskim. Celem krótkiego rejsu parostatkami były Młociny. Miejsce modne, a przez to szalenie popularne. Można tu było odetchnąć od miejskiego zgiełku i upału, który nadal dawał się we znaki. Albo ukoić skołatane nocnymi wypadami nerwy. Co kto potrzebował.

O tej porze roku na plaży w Młocinach nie było tłoku. Bez trudu udało im się znaleźć zacienione miejsce. Samopoczucie Sándora szybko uległo poprawie. Dwie urocze panny grające nieopodal w badmintona poprosiły go o pomoc w wyłowieniu lotki z Wisły, co też ochoczo uczynił. Dziewczyny nie szczędziły mu komplementów i pociągnęły go na swój koc, by z wdzięczności napić go lemoniadą.

Lola też była w złym nastroju i pobyt w Młocinach niestety tego nie zmienił. Włożyła modny czarny strój kąpielowy z falbanami, narzutkę z szerokimi rękawami w kolorze złotym i turban. Opadła na leżak i w milczeniu obserwowała Balatona, który buszował w nadbrzeźnych krzakach i gonił wodne kurki. Wreszcie nie wytrzymała.

– Ach, Franiu, i na co była ta cała przygoda? Spójrz na moje nogi, są całe w siniakach!

Frانيا przybliżyła się do niej i zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa.

– Nie widzę.

– To dlatego, że użyłam pudru Miraculum doktora Lustra, ale wier mi, siniaki są, tylko niewidoczne!

– Wierzę – powiedziała Frania, podciągając rękaw płaszcza kąpielowego.

Lola obejrzała jej przedramię i pokręciła głową.

– Lol, słuchaj...

– Doprawdy, jak wy coś z Sándorem wymyślicie!

– Lola!

– Słucham! – Zwróciła się niechętnie w stronę Frani.

– Ja coś pod tym podestem wczoraj znalazłam.

– Co? – Lola usiadła na krawędzi leżaka.

– List.

– Dlaczego nic wcześniej nie powiedziałaś? – Spojrzała z wyrzutem.

– Wybacz, podczas ucieczki w nocy z muzeum nie było okazji.

A później, z nerwów chyba, zapomniałam.

– I co było w tym liście?

– Nie wiem, nie czytałam.

– Jak to?

Frania odwróciła wzrok i zaczęła rysować bosą stopą kółka na piasku.

– Nie czytuję cudzej korespondencji, to poniżej mojej godności.

– Ach tak, ale włamanie do muzeum już nie?

– Ciszej!

Frania wyciągnęła list z plecionej wiklinowej torebki.

– Pokaż! – Lola wyrwała jej kopertę z ręki. – Do Romana Paprotka!

Od kobiety! – powiedziała podekscytowana.

– Chyba wypadł mu z kieszeni podczas montowania podestu.

Lola obróciła kopertę.

– Otwarta. Znaczący, że czytał.

Frania zabrała jej list.

– Oddam mu, jak się zobaczymy w muzeum. To na pewno nie ma nic wspólnego z kradzieżą.

– A jeżeli ma? Może lepiej przekaz list Sztobie.

– Myślałam o tym. Ale nie wyobrażam sobie, jak mogłabym wytłumaczyć, skąd go mam, nie wzbudzając podejrzeń. Dzisiaj wypytywał mnie o siniaki.

– Co? Jak on śmiał! – oburzyła się Lola.

– Chyba z troski pytał. – Frania wzruszyła ramionami.

– O czym rozmawiacie? – Sándor opadł na leżak obok.

– O siniakach Frani.

– Aha. – Sándor zapatrzył się na szczupłą nogę Frani.

Smoknęła zmieszana i poprawiła szlafrok. Nie zadała sobie trudu, by użyć magicznego pudru jak Lola. Nie spodziewała się, że aż dwóch mężczyzn z taką skrupulatnością będzie się jej tego dnia przyglądać. Sztobę można jeszcze było wytłumaczyć zawodowym obowiązkiem. Ale Sándora?

– Czy ty wiesz, że Frania znalazła wczoraj pod tym podestem list? I nic nam nie powiedziała! – Lola zmieniła temat.

Sándor oderwał wzrok od nogi Frani, teraz opiętej jedwabiem w kolorze skorupki orzecha włoskiego. Nałożył na głowę słomkowy kapelusz, nieco na bakier.

Wyciągnął z jej dłoni kopertę i wyjął kartkę zapisaną równym pismem.

– Nie! – krzyknęła.

Spojrzał zdziwiony.

– Nie czytałaś?

– Oczywiście, że nie.

– A no tak! Wybaczcie. – Zmieszał się i schował list do koperty.

Zapadło milczenie. Balaton, cały mokry, podbiegł do nich i zaczął kopać dziurę pod leżakiem Sándora. Od wody uderzył powiew wiatru, robiło się coraz chłodniej. Trzeba było powoli myśleć o powrocie.

– Słuchajcie, przecież jest proste rozwiązanie tej sytuacji – powiedziała Frania. – Nie musimy wcale czytać tego listu ani przekazywać go Sztobie. Adres nadawcy jest na kopercie. Moglibyśmy się tam przejść jutro i oddać go tej kobiecie. A przy okazji może dowiemy się, gdzie się podziewa Romuś. I wtedy, jeżeli nabierzemy jakichś podejrzeń, powiemy Sztobie.

– Ja nie mogę. Idę z Balatonem na wyścigi psów – powiedział Sándor.

Frانيا spojrzała na przyjaciółkę.

– Niech będzie – westchnęła Lola teatralnie.

ROZDZIAŁ VI

W KTÓRYM WIZJA STAROPANIEŃSTWA
DOPROWADZA DO PŁACZU PEWNĄ MŁODĄ
Kobietę, FRANIA I LOLA UCIEKAJĄ PRZED
TAJEMNICZYM MĘŻCZYZNĄ W KAPELUSZU,
A STRZAŁA AMORA GODZI W BALATONA

NIEDZIELA, 7 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Helena Sitkiewiczówna była kobietą słusznej postury. Cerę miała niezwykle jasną, co stanowiło ostry kontrast dla małych czarnych oczu i zebranych w ciasny koczek włosów w kolorze bukowej kory. Nie spodobała jej się niezapowiedziana wizyta Frani i Loli, ale kiedy Frania powiedziała, że pracuje z Romanem w muzeum, zaprosiła je do środka.

Usiadły przy drewnianym stole w niewielkiej, schludnej izbie. Przez okno wpadało tu niewiele światła, które i tak zasłaniała donica z bujną paprocią stojąca na parapecie. Na ścianie, przy łóżku wisiała makatka z polnymi kwiatami. Była tu też prosta komoda, a nad nią ikona, tak zdobna, że pasowała do tego skromnego wnętrza niczym wół do karety, a raczej kareta do wołu. Frania od razu zwróciła na nią uwagę i przyglądała się jej z błyskiem w oku.

– *Święty Mikołaj Cudotwórca* – powiedziała Helena. Mówiła z silnym rosyjskim akcentem.

- Wspaniałe wykonanie – westchnęła Frania.
- To rodzinna pamiątka. Jedyna, jaka mi została.
- Pani jest Rosjanką?
- Polką. Uciekłam z Rosji przed czerwonym terrorem.

Lola szturchnęła Franię łokciem. Nie przyszły tu przecież, by zachwycać się prawosławną ikoną. Frania sięgnęła do torebki i położyła list na stole. Białe policzki Heleny zapłonęły rumieńcem. Szybko zgarnęła kopertę i schowała do kieszeni białego, sztywnego od krochmalu fartucha.

- Znalazłam ten list w muzeum. Chciałam oddać Romanowi, ale od ponad tygodnia nie było go w pracy – powiedziała Frania. – Dlatego pomyślałam, że lepiej będzie zwrócić go pani. Źle się czułam, będąc w posiadaniu cudzej korespondencji.

Helena skinęła głową.

- Oczywiście – dodała szybko Frania – nie pozwoliłam sobie na przeczytanie listu.

Helena spojrzała na nią podejrzliwie, ale widać uznała, że może wierzyć słowom Frani, bo napięcie widoczne na jej twarzy zelżało.

- Czy pani wie, gdzie on jest? – zapytała Lola.

Pokręciła głową.

- Chodzi o to – powiedziała Frania powoli – że w naszym muzeum doszło do... – zawahała się. – Do incydentu. Policja podejrzewa, że Roman może mieć informacje, które zdołałyby pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy. A jego nieobecność ściąga niepotrzebne podejrzania.

Lola prychnęła. Cała Frania i jej maniery! Kluczyła, zamiast powiedzieć prosto z mostu, o co chodzi.

- Jeżeli mówi pani o kradzieży obrazu, to Roman nie ma z tym nic wspólnego! – powiedziała twardo Helena.

Frانيا się wyprostowała. Skąd Helena wiedziała o Kukułce? Od Romana czy z gazet? Zanim jednak zdążyła zapytać, odezwała się Lola.

- To czemu się ukrywa?

Helena odwróciła wzrok ku *Mikołajowi Cudotwórcy*, jej podbródek drżał.

- Nam może pani powiedzieć. – Frania poklepała ją niezdarnie po ramieniu.

Helena pokręciła głową. Po jej policzku spłynęła łza, potem druga. Wytarła je wierzchem dłoni. Lola ostentacyjnie westchnęła.

– Może coś razem poradzimy. Proszę nam powiedzieć, czemu Roman się ukrywa.

– Przede mną! – powiedziała żałośnie Helena. Jej ręce i głowa opadły na stół i zaniósła się płaczem.

Lola spojrzała na Franię. Ta bezradnie rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami.

– Dlaczego? – zapytała Lola, kiedy Helena nieco się uspokoiła.

Pociągnęła nosem, podeszła do kredensu i wyciągnęła z niego pomiętą gazetę. Położyła ją na stole, rozprostowała wilgotną od łez dłonią, rozmazując druk na pierwszej stronie. Między ciasno zadrukowanymi kolumnami pojawiły się smugi. Przerzuciła kilka stron, aż dotarła to tej z anonsami, odwróciła gazetę w ich stronę i postukała palcem w jedno z ogłoszeń.

– „Niewybredny, przystojny fachowiec z mieszkaniem szuka panny nienowoczesnych poglądów w celu matrymonialnym. Posąg pożądany, acz niekonieczny, dyskreję poręczam słowem honoru. Oferty z fotografią, którą się zwraca, proszę kierować pod «Chętny» do «Kuriera»” – przeczytała na głos Frania.

– Odpowiedziałam na ten anons – powiedziała Helena. – Tak się poznaliśmy. Wymieniliśmy kilka listów. Wydał mi się solidny.

Umilkła. Do jej oczu znowu napłynęły łzy.

– I co było dalej? – zapytała Lola, ignorując zakłopotane spojrzenie Frani.

– Spotkaliśmy się. Poszliśmy na spacer nad Wisłę, przyniósł kwiaty. – Spojrzała na leżący na komodzie zasuszony bukiet. – Dwa tygodnie temu byliśmy w kinie Varsavia na *Przygodach pięknej Eweliny*. Sensacyjny dramat! O miłości. Z Lee Parry. – Uśmiechnęła się.

– I co?

– I on zasugerował, że moglibyśmy się pobrać. Ale nie mówił nic konkretnego, zdawał się bardzo speszony. Chciałam go ośmielić, więc po naszym spotkaniu wysłałam mu ten list. Napisałam, że jeżeli o mnie chodzi, to jestem zdecydowana. – Wyciągnęła z kieszeni fartucha chusteczkę i otarła oczy. – I od tego czasu jak kamień w wodę! Nie odpisał, nie przyszedł! Pewnie uznał mnie za zbyt bezpośrednią i inną

sobie znalazł! Przecież wyraźnie w ogłoszeniu napisał, że szuka panny nienowoczesnych poglądów! – Znowu opadła na stół i wybuchła płaczem.

Lola zaczynała tracić cierpliwość. Płakać przez mężczyznę? Doprawdy, są lepsze powody! Helena uniosła głowę, jej twarz była czerwona, a kilka burch kosmyków opadło na czoło.

– A mnie się strasznie śpieszy! – wychrypiała i ponownie ukryła twarz w dłoniach.

Frania i Lola zgodnie odchyliły się na krzesłach i spojrzały na brzuch Heleny. Frania niemal straciła równowagę. Lola zdążyła złapać ją za ramię i przyciągnąć do stołu, zanim runęła na ziemię.

– Dlaczego się pani śpieszy, jeżeli można wiedzieć? – zapytała.

Helena nie wyglądała jak ktoś, kto spodziewa się dziecka. A był to jedyny powód szybkiego zamążpójścia, jaki przychodził jej do głowy.

– Jak to dlaczego? – Helena się wyprostowała. – Ja mam już dwadzieścia lat! To moja ostatnia szansa na szczęście! – powiedziała poważnie.

Lola dostała ataku śmiechu. Frania spojrzała na nią ostro, ale to nie pomogło. Lola śmiała się szczerze i głośno, odchylając jasną głowę do tyłu. Przestała dopiero, kiedy Frania uszczypnęła ją w ramię.

Helena patrzyła na Lolę, marszcząc brwi.

– Tak panią bawi moje nieszczęście?

– Droga pani Heleno, ja mam lat dwadzieścia dziewięć, nie mam męża ani nawet planów, by takowego pozyskać, i proszę mi wierzyć, jestem bardzo szczęśliwa – odpowiedziała Lola.

Helena znieruchomiała. Otworzyła usta, źrenice jej małych czarnych oczu rozszerzyły się, jakby zobaczyła coś przerażającego. I ryknęła płaczem tak głośnym, że siedząca bliżej niej Frania zasłoniła uszy.

*

– Dobrze, że pozbyliśmy się tego listu – powiedziała Frania, kiedy znalazły się na ulicy.

Lola w milczeniu nakładała cienkie koronkowe rękawiczki, prychając przy tym niczym rozłoszczona kotka. Nie mogła sobie poradzić

z zapięciem guziczków na lewym nadgarstku. Frania ujęła jej dłoń i pomogła uporać się z niesfornymi pętelkami.

– Kobiety mogą głosować, studiować, pracować na swoje utrzymanie, choćby i w fabryce, a ta głupia płacze, że nie ma męża!

– Daj spokój, Lolu. Każdy żyje, jak chce.

Ruszyły przed siebie i wkrótce znalazły się na końcu ulicy Nalewki.

– I w tym rzecz! Mieć wybór i tak głupio wybierać?

– Nóżki baranie! Czemu tu tak tłoczno? – Frania uczepliła się ramienia Loli, by gęstniejący z minuty na minutę tłum ich nie rozdzielił.

Wszyscy się gdzieś spieszyli, cała ulica niemal biegła, co sprawiło, że i one mimowolnie przyspieszyły kroku. Mijały sklepy i sklepiki wyładowane pod sufity. Z niektórych towary wylewały się na ubłocony chodnik i tym samym zmieniały bieg ludzkiej rzeki, która zgrabnie, nie zwalniając ani na chwilę tempa, omijała przeszkodę. Sprzedawcy nawoływali klientów w jidysz albo doglądali rozładunku niewielkich wózków i całkiem okazałych wozów. Na każdym rogu dobijano targu. Pieniądze i towary wędrowały z rąk do rąk. Nieliczne ławki okupowane były przez sędziwych starców ubranych w czarne chałaty i czapki. A nad całą tą ciżbą unosił się zapach smażonych cebulaków i mydlin.

– Dokąd my właściwie idziemy, Lolu?

– Nie wiem, myślałam, że ty nas gdzieś prowadzisz.

– Ja? Nie, to przecież ty jesteś z Woli.

– Ale to jest Grochów! – Lola zerknęła na Franię z wyrzutem. Niechętnie opowiadała o swoim skromnym pochodzeniu i ucieczce z domu, ale mimo to miała w sobie pokłady lokalnej dumy. Wola to Wola, nie należało jej mylić z żadną inną dzielnicą.

Nagle Lola zatrzymała się w pół kroku. W efekcie wpadł na nią uliczny sprzedawca guzików, jego z kolei potrącił chudy chasyd. Spojrzeli na nią niechętnie i bez słowa ruszyli dalej. Frania, która nie zwolniła, nadal niesiona przez ludzką rzekę, obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Lola przywołuje ją znaczącym gestem. Zawróciła więc i przeciskając się zwinnie między rozpędzonymi przechodniami, dotarła pod sklep opatrzony blaszanym szyldem wypisanym po polsku i w jidysz:

*Szum Kaufman – sklep bławatny
Jedwabie, tiule, koronki i kokardy*

TANIO!

– Spójrz tylko na ten jedwab! – Lola wskazała bele materiału ledwo widoczne przez zakurzone okienko. Przykleiła dłonie do witryny, w jej oczach pojawił się błysk pożądania. Materiał był mięsisty, pierwszej kategorii. Wyobraźnia podsunęła jej wizję eleganckiej sukni do ziemi, takiej, jaką trzeba będzie unosić, wysiadając z dorożki. Szalenie niepraktyczna, ale będą o niej mówić z tygodni, a może nawet dwa! – Wchodzimy! – zdecydowała.

Szum Kaufman, niski mężczyzna w ciemnej kapocie i w białej koszuli, przywitał je bardzo wylewnie.

– Zapraszam, zapraszam – powiedział z silnym żydowskim akcentem, nisko się kłaniając. – Proszę krzeselko, jedno, drugie, proszę siadać, proszę.

Dwaj chłopcy, nie mogli mieć więcej niż kilkanaście lat, wybiegli z zaplecza. Szum Kaufman począł nimi kierować niczym dyrygent orkiestry muzykami. Wskazywał bez słowa palcem kolejne półki, a oni ściągali z nich ciężkie zwoje lnów, brokatów i koronek, po czym rozwijali je przed Lolą i Franią, efektownie wyrzucając do góry.

Frania już po kilku minutach zupełnie straciła zainteresowanie i z trudem stłumiła ziewnięcie. Lola za to długo oglądała materiały, przesuwała je między palcami, sprawdzała miękkość i splot. Mruczała przy tym pod nosem i zdawała się coś obliczać.

– Tego wezmę sześć metrów. – Wskazała wreszcie na biały cienki jedwab.

– Doskonały wybór. – Szum Kaufman pstryknął palcami. Jeden z pomocników doskoczył z dużymi nożycami i dokonawszy skrupulatnie pomiaru, sprawnie odciął żądaną ilość materiału.

– A jest zielony jedwab?

– Jest! – Szum skinął na drugiego z chłopców, który zniknął na zapleczu i po chwili wrócił, nie bez trudu niosąc pokaźny zwój materiału w kolorze, jak stwierdziła Frania, młodego jęczmienia.

– Nie, nie taki. Ciemniejszy proszę.

Bez słowa rozwinęto przed nią kolejną belę, tym razem w kolorze dojrziałych ogórków. Lola pokręciła głową.

Frania przyglądała się tej scenie znudzona. Tyleż czasu tracić na zakup jedwabiu na sukienkę! A poza tym przy tak dużym wyborze należało wyrażać się precyzyjniej. Było tu ze dwanaście różnych odcieni zieleni. Miała jednak pewność, że tego, którego szuka Lola, tutaj nie znajdą. By oszczędzić sobie nudy, a pomocnikom Szmula fatygi, powiedziała:

– Lolu, czy tobie nie chodzi o ciemny, połyskujący odcień zielonego? Taki jak upierzenie główki dzikiego kaczora? – Stłumiła ziewnięcie.

– Tak! Dokładnie taki! Taki!

– Takiego koloru tu nie ma. – Frania rozejrzała się po sklepie.

– Jak nie ma? – oburzył się Szmul. – Nie ma, ale będzie! Nie ma, dobre sobie! Kolor łebka dzikiego kaczora. Robi się! Panie raczą poczekać – powiedział i wybiegł ze sklepu. Rzucił się między pędzących przechodniów i wpadł do sklepu po drugiej stronie ulicy. Tam, żywo gestykulując, zaczął, jak się zdawało Frani obserwującej go przez okno, wykłócać się ze stojącym za ladą sprzedawcą. Ten kręcił przecząco głową, unosił ręce i oczy ku górze, zupełnie jakby jego rozmówca Szmul był przyklejony do sufitu.

Nagle Frania poczuła na sobie czyjś wzrok i zdjęła ją nieracjonalny strach. Rozejrzała się po sklepie. Dwaj pomocnicy Szmula, zajęci Lolą, nie zwracali na nią uwagi. Spojrzała na ulicę. Po błotnistym bruku przetaczał się wyładowany po brzegi starym żelastwem wóz. Przechodnie pędzili do swoich spraw, nikt nawet na nią nie zerkał. Nagle w bramie po drugiej stronie ulicy dostrzegła ciemną sylwetkę. Wytężyła wzrok, fala przechodniów to odsłaniała, to zasłaniała na ułamek sekundy mężczyznę opierającego się o brudny, odrapany filar. Nie widziała jego twarzy, częściowo ukrytej za dużym kapeluszem założonym na bakier. Ale, tak, była tego pewna, obserwował ją! Poczuła się nieswojo i odeszła od okna.

Tymczasem Szmul Kaufman, uginając się pod ciężarem wielkiej beli materiału, zaczął przeprowadzać się z powrotem przez rozpędzoną ulicę. W połowie drogi potrafił korpulentną kobietę, niemal strącając jej z głowy perukę. Kobieta fuknęła, poprawiła włosy i podjęła swój bieg. Szmul przeprosił ją, nisko się kłaniając, i ruszył przed siebie. Niestety końcem zwoju dźgnął jadącego na za dużym jak na swój wzrost rowerze chłopczyka. Ten zachwiał się, ale nie upadł. Wyszczrzył się w uśmiechu, demonstrując braki w mleczyńskim uzębieniu. Szmul spojrział na niego

niechętnie, po czym rozglądając się na boki, jął dalej przeciskać się w stronę sklepu. Wreszcie zabrzączał dzwonek nad drzwiami i subiekt spocony wbiegł do środka, potykając się przy tym o próg. Bela materiału wypadła z jego rąk i potoczyła pod stopy Loli, wyścielając środek sklepu dywanem w upragnionym przez nią kolorze upierzenia łebka dzikiego kaczora.

– Wspaniale! – Lola klasnęła w ręce. – Biorę!

Szum z namaszczeniem z beli materiału, która musiała liczyć bez mała ze sto metrów, odciął żądane przez Lolę cztery. Po czym zapakował je starannie, spisał adres i obiecał, że zakupy zostaną dostarczone jeszcze tego samego dnia.

Kiedy Lola płaciła, Frania ponownie zbliżyła się do okna. W ciemnej bramie po drugiej stronie nie było nikogo. Niepokój jednak pozostał.

– Takie zakupy to czysta przyjemność. Dasz wiarę, że on całą belę materiału kupił u sąsiada, żebyś mogła nabyć u niego ten jeden kawałek? Co za uprzejmość! I jaki szacunek do klienta! – powiedziała Lola, kiedy znalazły się na ulicy.

Frania nie odpowiedziała. Znowu poczuła, że ktoś je obserwuje. Odwróciła się przez ramię i zobaczyła przepychającego się ku nim w tłumie mężczyznę w kapeluszu.

– Ktoś za nami idzie.

Lola się obejrzała.

– Wydaje ci się.

– Nie. Jestem pewna. – Frania pociągnęła Lolę w boczną uliczkę i narzuciła tempo.

– Franiu, uspokój się! Nikt za nami nie idzie!

Ledwo Lola wypowiedziała te słowa, u wylotu uliczki zamajaczyła ciemna sylwetka.

– Stać! – krzyknął mężczyzna.

Był potężnie zbudowany, miał niegolony od kilku dni zarost i ciemne włosy sterczące spod kapelusza ze sporym rondem.

– Zbir! – pisnęła Lola.

Przyśpieszyły kroku, mężczyzna również. Skręciły w ciemną alejkę i puściły się biegiem.

– Tędy! – Frania pociągnęła Lolę w głąb jednego z podwórek z suszącym się praniem.

Poruszane podmuchami wiatru prześcieradła napinały się niczym żagle. Przyjaciółki zanurzyły się w labirynt wyznaczany przez sznury.

– Szybciej! – wyszeptwała Frania, obracając się. Zobaczyła owłosione przedramię i dłoń w czarnej rękawiczce odgarniającą na bok śnieżnobiałe prześcieradło. – Nóżki baranie!

Skręciły między sznurami i rzuciły się ku ciemniejszej w jednej ze ścian bramie. Po chwili znalazły się na kolejnym podwórku. Stadko gołębi poderwało się z trzepotaniem skrzydeł, ukazując otwarte na oścież drzwi do jednej z piwnic. Dochodził stamtąd odgłos maszyny drukarskiej i zapach farby. Frania się zawahała. Schronić się w piwnicy drukarza czy uciekać?

– Tam jest wyjście! – krzyknęła Lola i nie oglądając się na Franię, pobiegła przed siebie.

Wpadły na kolejne, tym razem mniejsze, podwórze. Frania poczuła się uwięziona w ciasno zabudowanej plątaninie budynków i podwórek połączonych zatęchłymi korytarzami.

– Nigdy stąd nie wyjdziemy! – jęknęła. Serce wyrywało się jej z piersi, czuła suchość w ustach. Bała się coraz bardziej. Kroki goniącego je mężczyzny dudniły jej w uszach. Czego od nich chciał? Czemu je śledził? Wyrzucała sobie, że nie przełożyła małego pistoletu z torebki wieczorowej.

Rozejrzała się nerwowo dookoła. Stosy towarów poukładane pod ścianami sięgały niemal pierwszego piętra. Gdzieś ponad ich głowami, przez otwarte okno na drugim piętrze wypływała liryczna melodia.

– Stać! – usłyszały ponownie zachrypnięty głos.

– Włazimy na te skrzynie, do tego mieszkania z fortepianem! – zdecydowała Frania.

– Oszalałaś? Tam jest wyjście!

Lola popchnęła Franię ku kolejnej bramie. Wybiegły na szeroką, zatłoczoną ulicę. Akurat przetaczał się nią powoli z metalicznym zgrzytem tramwaj elektryczny.

– Wsiadamy! – zarządziła Frania.

– O nie! Zabijemy się!

Frانيا nie odpowiedziała, złapała dłoń Loli i wybiegła na środek ulicy.

– Juuhuu! – zawołała do młodych mężczyzn uczepionych poręczy przy schodkach. Zwieszali się z boku pojazdu niczym winogrona. Wyciągnęli ku nim ręce i sprawnie wciągnęli obie na schody. Lola pisnęła, Frania się zaśmiała. Jeden z mężczyzn otoczył ją mocno ramieniem w pasie, oparła się więc wygodnie i przytrzymując jedną ręką kapelusz, odwróciła głowę ku bramie, z której przed chwilą wybiegły. Krążył pod nią ten sam barczysty mężczyzna w czerni. Rozglądał się nerwowo dookoła. Nagle wydał się jej znajomy.

– Kto to był? – zapytała Lola, łapiąc z trudem oddech.

– Nie mam pojęcia.

Czarna sylwetka stawała się coraz mniejsza, aż zupełnie zatarła się w oddali, a tramwaj z brzękiem dzwonka poniósł je ku centrum miasta.

*

Na ulicy Żurawiej wpadły na Sándora z Balatonem na smyczy.

– I jak wysłigi? – Frania podrapała psa za uchem.

Sándor kopnął kamień, który odbił się od stojącego nieopodal blaszanego wiadra z pomyjami.

– Napijmy się lepiej.

Otworzył drzwi do składu i przepuścił obie w wejściu. Balaton natychmiast zaczął mościć się na fotelu. Frania podciągnęła się na krawędź blatu i usiadła, założywszy nogę na nogę. Sándor przyniósł z zaplecza mały taboret dla Loli, butelkę węgryna i trzy kieliszki. Milczał, kiedy opowiadały mu o wizycie u Heleny Sitkiewiczówny.

– Romuś ukrywa się przed kobietą, a nie przed Sztabą – podsumowała Frania.

– Franiu, Lolu, w ogóle się nie znacie na męskim charakterze. Nie wierzę, że on się przed nią ukrywa. Dał nogę z innego powodu i tyle.

– A niby jakiego?

– Powodów może być tysiąc. Długi? Hazard? Może jest szpiegiem? A może ma kochankę? Może rzeczywiście ma coś wspólnego z tą kradzieżą? A może ktoś dybie na jego życie?

Frania pokręciła głową.

– Na nas też ktoś dzisiaj dybał, wyobraź sobie! – powiedziała Lola.

– Jak to?

– Jakiś drab nas gonił przez Nalewki. Ledwo uszłyśmy.

– Trzeba zawiadomić policję.

– Od razu policję! Niech się lepiej zajmą szukaniem *Kukułki*. Nic się przecież nie stało – powiedziała Frania.

– A może Sándor ma rację? Może trzeba to zgłosić?

– Przecież nawet nie zdążyłyśmy się mu przyjrzeć, Lolu. Co mam powiedzieć Sztobie? Że gonił nas mężczyzna w kapeluszu? Przecież każdy szanujący się, i nieszanujący się też, mężczyzna nosi kapelusz. Zresztą Sztoba i tak ma mnie na oku. Jeszcze gotów pomyśleć, że zmyślam, żeby odsunąć od siebie podejrzenia!

Zapadło milczenie. Z kąta dochodziło pochrapywanie Balatona.

– A co ty taki ponury jesteś? – zapytała Frania.

– Balaton zajął ostatnie miejsce.

– Ech. – Lola machnęła ręką. – Jakie to ma znaczenie, które miejsce zajmuje Balaton podczas towarzyskiego wyścigu? Przecież to nie olimpiada.

– Ma znaczenie ambicjonalne! Balaton był faworytem! Postawiłem na niego znaczącą sumę, postawiło też kilku moich przyjaciół. A tu taki blamaż!

– Skoro był faworytem, to jakim cudem zajął ostatnie miejsce?

Sándor pokręcił głową, dopił resztkę wina z kieliszka i sięgnął po wiolonczelę.

– Pobiegł w przeciwnym kierunku – powiedział, kręcąc kołkami do strojenia.

Frania i Lola parsknęły śmiechem. Sándor spojrział z ukosa na Balatona.

– Pędził jak wiatr. Dogoniłem go dopiero po dobrych dziesięciu minutach.

– Ach, jaki głupi jest ten pies! – Lola uśmiechnęła się złośliwie.

– Wcale nie! – Sándor wymierzył w nią smyczek. – Po prostu...

– Tak?

– Zwietrzył sukę! Dog niemiecki arlekin o wdzięcznym imieniu Fifi, jak mnie poinformował jej dumny właściciel.

– Mówi się – powiedziała Frania powoli – że psy upodabniają się do swoich właścicieli. Czy może jest na odwrót? Czy to właściciele

upodabniają się do swoich psów?

– Pytanie, czy Balaton jest tak kochliwy jak Sándor... – zaczęła Lola.

– ...czy Sándor jest pies na kobiety – dokończyła Frania.

– Wam tylko jedno w głowie! Jeżeli już chcecie porównywać mnie do Balatona, to wiedźcie, że jestem wierny jak pies.

Zaniósł się śmiechem, więc dodał szybko:

– Wierny właściwej kobiecie. – I zaczął grać.

Patrzył przy tym na Franię tak, że przestała się śmiać, spuściła wzrok i zaczęła bawić się rąbkiem sukni w musztardowym kolorze.

ROZDZIAŁ VII

W KTÓRYM DO MUZEUM PRZYCHODZI
OSOBLIWA POSTAĆ, FRANIA DOPUSZCZA
SIĘ NIESUBORDYNACJI, A Z CIEMNOŚCI
NIESPODZIEWANIE WYŁANIA SIĘ
TAJEMNICZY MĘŻCZYŻNA W KAPELUSZU

WTOREK, 9 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Kilka dni później, na godzinę przed zamknięciem, w muzeum pojawiła się kobieta w typie, jak to w duchu określiła Frania, wysoce ekspresyjnym. Oczy miała pociągnięte czarną kredką, a mocno umalowane w serduszko usta kontrastowały z jasną cerą. Ciemna sukienka opinała jej wydatne kształty, na głowie miała zaś opaskę z kruczym piórkiem, która w wyniku żywej gestykulacji upierścienionych dłoni raz po raz osuwała się na czoło.

Minęła bez słowa stróża Mieczysława Anioła i podeszła wprost do rozmawiającego z Franią w holu kustosa Skiełły.

– Szanowna pani, przepraszam, w jakiej sprawie? – zapytał.

– W sprawie ducha, proszę szanownego pana.

Pan Miecio w jednej chwili opuścił swój posterunek przy drzwiach. Dołączył do nich i wbił zaciekawione spojrzenie w kobietę.

– Przepraszam, nie rozumiem – odpowiedział kustosz.

Kobieta wyciągnęła z torebki poranne wydanie „Kuriera”, przerzuciła kilka stron i podała mu gazetę.

– „Ciąg dalszy tajemnicy zaginięcia obrazu” – przeczytał na głos Skiełło. – „Jak donosi anonimowy, acz wiarygodny informator, rozwiązanie tajemniczej kradzieży znakomitego obrazu *Kukułka* pędzla Józefa Chełmońskiego jest tuż, tuż! Otóż według wszelkiego prawdopodobieństwa za zniknięcie obrazu odpowiadają duchy, które nawiedziły Muzeum Narodowe. Potwierdza to nasz anonimowy informator, który był świadkiem pojawienia się duchów w zeszłym tygodniu i słowem honoru zaręcza prawdziwość swojej opowieści. Trwa ustalanie, czyj duch i z jakiego powodu zabrał obraz”

Kustosz Skiełło i Frania spojrzeli na pana Miecia, który wpatrywał się intensywnie w sztukaterię zdobiącą sufit holu.

– Państwo pozwolą, że się przedstawię, Teofila Szum, medium. – Kobieta wyciągnęła dłoń ku Skielle, zginając nieznacznie palce, jakby oczekiwała pocałunku. Kustosz uściśnął je niezgrabnie, był wyraźnie speszony. Niezrażona Teofila Szum poprawiła opaskę i ogłosiła poważnie: – Mam następujące umiejętności paranormalne: telepatię, telekinezę i eksterioryzację. Umieję też nawiązać kontakt z każdym duchem.

Spojrzała po kolei na każdą z zebranych osób, sprawdzając, czy jej słowa wywarły odpowiedni efekt. Mina Frani zdradzała popłoch, kustosz wyglądał na zdezorientowanego, zaś stróż miał półotwarte z wrażenia usta.

– Z każdym? – zapytał z nabożnym niemal szacunkiem.

– Owszem.

– Ale jaki jest cel pani wizyty? – zapytała Frania.

– Jak to jaki? Nawiążę kontakt z duchem i raz-dwa ustalę, co się stało z obrazem.

– O! – Pan Miecio klasnął w rękę.

– A to proszę, proszę! – Kustosz Skiełło ocknął się wreszcie i poprowadził medium ku galerii na pierwszym piętrze.

– I zaraz, uważa pani, wszystko się wyjaśni! No! – powiedział pan Miecio do Frani. Odwrócił się i ruszył przez hol, by po chwili zrównać się z kustoszem i Teofilą na schodach.

Frania została sama. Doprawdy nigdy nie podejrzewała kustosa o wiarę w siły nadprzyrodzone. Co innego pan Miecio! Ten wierzył niemal we wszystko, podejrzliwie podchodził jedynie do faktów, szczególnie naukowych. Frania była pewna, że Teofila Szum kontaktu z żadnym duchem nie nawiąże. Gorzej jeżeli wyczyta w jej myślach lub w inny paranormalny sposób dowie się, co zaszło tamtej nocy w muzeum. Nie, przecież to niemożliwe! A może jednak? „Tak czy inaczej, lepiej mieć medium na oku” – pomyślała Frania i podążyła na górę.

Teofila Szum stanęła w rozkroku na środku galerii, zamknęła oczy i zaczęła coś mrużyć pod nosem.

– Potrzebuję absolutnej ciszy. – Spojrzała wymownie na grupkę kobiet żywo dyskutujących przy *Konkurencie* Władysława Bakałowicza. Przejęty kustosz Skiełto podszedł do nich i wskazał na medium z ważną miną. Kiedy umilkły, Teofila Szum wyciągnęła przed siebie rękę. – Dobrze. Jestem gotowa do nawiązania kontaktu. To będzie kosztowało sto złotych. Płatne z góry.

Pan Miecio spojrzał wyczekująco na kustosa. Ten zbladł. Kwota nie była niska, zresztą jak ująć taki wydatek w księgach rachunkowych muzeum?

– To ja pójdę po pana dyrektora – wymamrotał i oddalił się pośpiesznie.

Teofila trwała tymczasem w swojej pozie, jakby bojąc się, że gdy opuści rękę, szansa na komunikację z duchem zostanie zaprzepaszczona. Pan Miecio wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany, na jego twarzy malowały się ekscytacja i onieśmielenie zarazem. Frania zaczęła natomiast niespokojnie krążyć po galerii, gryząc paznokcie. Dostrzegła przy tym, że Teofila Szum obserwuje ją spod półprzymkniętych powiek, zatrzymała się więc i spróbowała przyjąć nonszalancką pozę osoby, która absolutnie nie ma nic do ukrycia. Kiedy jednak spojrzała na niewyraźne odbicie swojej sylwetki w szybie, uświadomiła sobie, że osiągnęła efekt wręcz odwrotny. Stała sztywno, odchylona do tyłu, z nienaturalnie rozstawionymi stopami niczym u *Chłopca duszącego gęś* Boetosa. „Brakuje tylko gęsi! – pomyślała. – Nie trzeba być medium, żeby się zorientować, że mam coś na sumieniu”.

Do galerii wkroczył dyrektor. Kustosz Skiełto dreptał dwa metry za nim z miną zbitego psa.

– Co tu się dzieje? Państwo, proszę, wracają do pracy – huknął dyrektor. – A pani – zwrócił się do medium – bardzo dziękujemy. Sprawę kradzieży obrazu proszę zostawić policji.

Pan Miecio żywo gestykulował za plecami medium, starając się uspokoić dyrektora, co go tylko jeszcze bardziej rozjuszyło. Teofila Szum spojrzała wyzywająco.

– Czuuuję! – powiedziała dramatycznym szeptem, wznosząc ręce jeszcze wyżej. Opaska ponownie zjechała jej na czoło. – Tak! Czuję tutaj czyjąś obecność!

– Proszę się uspokoić! – Dyrektor poczerwieniał i zacisnął pięści. Zaczesane do góry wąsy drgnęły.

Teofila Szum zniżyła głos do świszczącego szeptu:

– Nieszczęsna duszo! Powiedz, gdzie ukryłaś obraz! – Wywróciła oczy, tak że widoczne były tylko białka, i zaczęła cichutko zawodzić. Po chwili opuściła ręce i poprawiła opaskę. – Mówi, że nie powie, dopóki pan nie zapłaci stu złotych. Od biedy może być osiemdziesiąt.

– Panie dyrektorze, może warto spróbować. Takie arcydzieło... – wtrącił nieśmiało Skiełło.

– Milczeć!

Teofila Szum ponownie spojrzała na sufit i przyłożyła dłoń do ucha.

– Co mówisz, duszo nieszczęsna? – wyszeptwała.

– Że od dawna czekałem na to spotkanie, pani Teofilo.

Zebrani odwrócili się jak na komendę w stronę wejścia, skąd padła odpowiedź na pytanie zadane przez medium. Oparty o framugę drzwi, z rękami złożonymi na piersi, stał inspektor Sztaba. Zza jego pleców, z półotwartymi z wrażenia ustami, wyglądał aspirant Chybura.

*

– Puść mnie, ty dzika niemoto!

Inspektor Sztaba wyprowadził opierającą się Teofilę Szum z galerii. Pracownicy muzeum oraz grupka gapiów poszli za nimi aż do samych drzwi wejściowych.

– Puszczaj, ty tępą matole!

Teofila Szum szarpnęła się. Na próżno. Jej ramię tkwiło w żelaznym uścisku inspektora Sztaby.

– Chciałbym z panią porozmawiać. – Inspektor Sztaba zwrócił się do Frani, ignorując jęki i przekleństwa Teofili. – Proszę z łaski swojej zjawić się na posterunku w dogodnym dla pani terminie.

Frania zbladła. Czego chciał? Podejrzewał ją! Nóżki baranie, co za afront!

– A niech cię porwie tysiąc demonów, barani tumanie!

– Spokój! – warknął Sztaba.

– Pacan!

– Wychodzimy!

Sztaba pociągnął Teofilę na zewnątrz. Zaparła się trzewikami w kolorze smoły o próg. Chybura, stękając, złapał ją oburącz w talii i wystawił na zewnątrz, po czym kłaniając się dyrektorowi, zamknął drzwi.

Zebrani w holu patrzyli skonsternowani to na siebie, to na drzwi. Z drugiej strony dobiegło jeszcze kilka obrazowych przekleństw, wkrótce jednak ucichły. Zaczęto się więc rozchodzić, wymieniając półgłosem uwagi na temat zajścia. Pan Miecio, wyraźnie niepokieszony, udał się do stróżówki, ale po chwili wyskoczył z niej z niewielkim pakunkiem i dogonił Franię na schodach.

– Dla pani. Musiał kto przynieść, jak byliśmy wszyscy na górze – powiedział i ze spuszczoną głową, szurając butami, oddalił się do portierni.

Frania otworzyła pudełko przewiązane błękitną wstążką. Na dnie spoczywało kolejne, nieco mniejsze, z logo cukierni Wiedeńskiej, ozdobione złotą tasiemką. Frania sięgnęła po zaadresowany do niej bilecik.

Słodkiej pannie Franciszce – od cichego wielbiciela.

Frania prychnęła oburzona. Dobre sobie. Wiele można było powiedzieć o jej osobie, ale na pewno nie to, że wyróżniała ją słodycz charakteru. Nie dalej jak wczoraj Sándor porównał ją do złotej kalocsy, ostrej węgierskiej papryki. Tak, z takim komplementem mogła się

zgodzić. A ten tu od ciastek jak na wielbiciela niewiele o niej wiedział. Zresztą co jej po jakimś tam wielbicielu! Co innego zaprzętało teraz jej głowę.

Kustosz Skiełto spojrzął pożądliwie na pudełko. Frania oddała mu je bez wahania.

– Osłabł pan kustosz po spotkaniu z medium. Na zdrowie!

Twarz mu pokraśniała z zadowolenia. Ściskając pudełko w obu dłoniach, podreptał do swojego gabinetu.

– Cukier krzepi. – Uśmiechnął się po drodze do *Chłopa w kapeluszu*. Chłop jak zwykle milczał.

*

Zamieszanie spowodowane przez Teofilę Szum miało tę przykrą konsekwencję, że Frania spóźniła się na spotkanie z Lolą. Kiedy dotarła do Domu Mody Bogusława Hersego na ulicy Marszałkowskiej 150, portier stojący w drzwiach poinformował ją uprzejmie, że panna Nowicka czeka na nią na pierwszym piętrze. Frania minęła więc dwa kobiece posągi przytrzymujące elektryczne lampy i przeskakując po dwa stopnie, wbiegła po schodach wyłożonych miękkim dywanem w kolorze wina.

– Jesteś! – Lola podniosła głowę znad katalogu z krojami sukien podpatrzonymi nie gdzie indziej, jak w samym Paryżu.

Ponieważ podczas sprintu po schodach Frania dostała zadyszki, machnęła tylko ręką na powitanie i opadła na krzesło. Niemal natychmiast podano herbatę – jak stwierdziła, upiwszy łyk – w doskonałym gatunku.

Lola z krawcową obmyślały zieloną suknię z jedwabiu zakupionego kilka dni wcześniej na Nalewkach i dokonywały pomiarów. Frania potakiwała, choć nie przysłuchiwała się rozmowie. Obserwowała za to z uwagą światło, które wpadało tu przez duże okna aż z trzech stron. Pomyślała nawet, że szkoda tak pięknych warunków na przeglądanie katalogów z krojami sukien i pogaduszki o materiałach. Z większym pożytkiem byłoby w tej pięknej narożnej kamienicy zainstalować

pracownie malarskie. Tak, to by było coś. Przejornie nie podzieliła się jednak tą myślą z Lolą.

Kiedy Lola omówiła każdy ścieg i wszystkie marszczenia, po czym zadowolona złożyła zamówienie, zeszyły na dół. Portier już sięgał ku drzwiom, by je przed nimi otworzyć, a Frania już czuła ciepłe wrześniowe powietrze i słyszała szum ulicy, gdy Lola pociągnęła ją w prawo.

– Zobacz! – Wskazała na gotowe suknie.

– O nie! Lolu, ja tu dłużej nie wytrzymam.

– Zadasz szyku! – powiedziała, gładząc rąbek sukni. – Przymierz!

Opór był daremny. I tak, by skrócić swe męki, Frania posłusznie przymierzyła, a następnie zakupiła suknię z bladuróżowego muślinu oraz jedwabne gładkie pończochy, dwie pary rękawiczek i mufkę przecudnej urody. Zaoponowała dopiero, kiedy Lola zarzuciła jej na ramiona futro z białego lisa.

– Nie ma mowy! Ja futer nie noszę!

Lola ustąpiła, choć niechętnie.

CZWARTEK, 11 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Antykwariat i salon artystyczny Władysława Barańskiego nie był miejscem przesadnie wytwornym, cieszył się jednak olbrzymią popularnością. Stałym jego bywalcem był i dyrektor Muzeum Narodowego. Jakość wystawianych i sprzedawanych tu dzieł była zróżnicowana. Zdarzały się poszukiwane przez kolekcjonerów ujęcia rodzimego krajobrazu cenionych malarzy, ale i kiczowate landszafciki o wątpliwej wartości artystycznej. Pan Barański, który sam lubował się w sztuce współczesnej, chętnie wystawiał też dzieła młodych artystów, choć te nie zawsze miały wzięcie wśród raczej konserwatywnej klienteli.

Znawca malarstwa mógł bez problemu w tej eklektycznej ofercie wyłowić perełki, a nawet białego kruka. Oczywiście jeżeli miało się ograniczoną wiedzę, można też było zupełnie nieświadomie przepłacić za drugorzędny obraz. Gospodarz potrafił bowiem jak nikt barwnie i z przekonaniem opowiadać o sprzedawanych przez siebie dziełach.

Można by nawet rzec, że im obraz był gorszy, tym pan Barański był bardziej przekonujący.

Frania zjawiła się tuż przed aukcją na prośbę dyrektora w zastępstwie kustosa Skiełty, którego stres ostatnich dni przyprawił o niestrawność. Dyrektor nie podzielił się z nią swoimi planami, była jednak pewna, że postawi na bezpieczny zakup któregoś ze znanych malarzy, zgodnie z historyczno-artystycznym duchem ich muzeum. Jak zdążyła szybko stwierdzić, przeglądając katalog aukcji, wybór w tym względzie był tego dnia ograniczony raptem do jednego płótna Fałata o mistrzowskiej technice akwarelowej i kilku obrazów artystów mniej znanych, które były co prawda poprawne i starannie wykończone, ale chłodne i bez polotu.

Snując się w gęstniejącym z minuty na minutę tłumie, wpadła niespodziewanie na Sándora.

– Wspaniale, że jesteś, Franiu, doradzisz mi – powiedział, ściskając ją na powitanie.

– Co ty tu robisz? Nie mówiłeś, że będziesz.

Nie zdążył odpowiedzieć. Jak spod ziemi wyłoniła się Irma Firlej i wczepiła w jego ramię.

Frania zacisnęła dłonie na zwiniętym w rulon katalogu aukcji. A więc stało się! Oto się spotykają. Cóż za nieostrożność z jej strony! Irma bez wątpienia robi scenę! Opowie Sándorowi i każdemu, kto zechce posłuchać, jak haniebnie postąpiła kiedyś wobec niej Frania. Nóżki baranie!

– Panie się chyba nie znają – powiedział Sándor.

– Owszem, owszem, znamy się – odpowiedziała Irma.

Frania przytaknęła zmieszana.

Irma przyglądała się jej przez dłuższą chwilę, przechylając głowę na bok, niczym zaciekawiona czymś błyszczącym w trawie sroka. Frania wbiła wzrok w swoje buty, oczekując potoku wyrzutów za złamany przed laty zgrabny nosek. Irma jednak milczała. Wbiła obie dłonie jeszcze mocniej w elegancką tweedową marynarkę Sándora, który nie rozumiejąc pełnej napięcia ciszy, spoglądał bezradnie to na Irmę, to na Franię.

A Frania czekała. Kiedy atak jednak nie nastąpił, oderwała spojrzenie od swoich butów, rozluźniła zacisnięte na katalogu palce i zwróciła się

do Sándora:

– Będziesz licytować?

– Nie wiem, Franiu, nie mogę się zdecydować. A ty?

– W imieniu muzeum będzie licytował dyrektor. Rozważ obraz jakiegoś młodego artysty, jest tu kilka naprawdę dobrych.

– Pokaż! – Sándor uwolnił się z uścisku Irmy i poszedł za Franią w głąb galerii. Irma z ociąganiem do nich dołączyła. Frania czuła na plecach pełne niechęci fiołkowe spojrzenie.

– Popatrz. – Frania stanęła przed sporym płótnem. – Co widzisz?

– Akt.

– Istotnie. Naga, półleżąca kobieta. Temat klasyczny, banalny wręcz, ale jakie nowoczesne ujęcie! Podoba ci się?

Sándor odkaszlnął.

– Interesujący – powiedział bez entuzjazmu.

– Prawda? Moim zdaniem jest wspaniały. Zwróć uwagę, że mamy tu kontrast między płaszczyznami, ale nie ma tradycyjnej iluzji głębi.

– O! I tu tkwi problem. Ten obraz jest niewspółmiernie płaski do tematu.

Sándor puścił do Frani oko. Irma zaśmiała się i wygięła zalotnie, eksponując wszystkie krągłości, na przekór obrazowi.

– Takie są założenia kubizmu! Artysta jest wolny od przymusu naśladowania natury.

– Konstanty Onufry Zieliński – Irma odczytała nazwisko artysty z tabliczki zawieszanej obok obrazu – z całą pewnością nie odczuwa tego przymusu. Zna go pani?

– Nie. – Frania pokręciła głową.

– Dzień dobry! – Zza ich pleców dobiegł znajomy głos.

– O, pan hrabia! – Frania szczerze się ucieszyła. Oto zjawiła się pokrewna dusza. Przedstawiła Irmę i Sándora, po czym zwróciła się do Kozielińskiego: – Właśnie mówiłam, że szalenie podoba mi się ten obraz.

– Zgadzam się z panią całkowicie. Również zwrócił moją uwagę. To doskonałe płótno.

Podszedł bliżej.

– A nie mówiłam? – Frania nachyliła się do ucha Sándora. – Pan hrabia ma nieprzeciętny gust.

Sándor wzruszył ramionami.

– Tak, pierwszorzędny obraz! Na pewno będę licytował! Proszę się przygotować na długą walkę. Ja tak łatwo nie odpuszczam. – Kozieliński odsunął się od obrazu i spojrzął na Sándora znad okularów.

– Pas. Reflektuję na zakup skromniejszego dzieła. – Sándor ukłonił się nieznacznie, by nie być posądzonym o brak dobrego wychowania.

– Rozumiem. Cóż... niełatwo jest rzucać wyzwanie własnym ograniczeniom. – Po twarzy Kozielińskiego przemknął cień kpiącego uśmiešku.

– Cóż... nie uważam, by wszyscy artyści byli dobrymi sekundantami w pojedynkach z ograniczeniami odbiorcy.

– Bo nie na tym polega ich zadanie! Nie jest rolą artysty dbanie o komfort odbiorcy. Z geniuszem się nie negocjuje!

– Szaleństwo to jeszcze nie geniusz! Czasami szaleństwo to tylko, cóż... zwykłe szaleństwo. – Sándor wskazał podbródkiem akt.

Twarz Kozielińskiego oblała się purpurą. Przystąpił o krok do Sándora.

– Panowie! – Frania stanęła między nimi.

Hrabia poprawił kciukiem okulary.

– Panie wybaczą. – Ukłonił się Frani i Irmie.

– Dziwny człowiek – powiedział Sándor, kiedy hrabia zniknął w tłumie. – Tak się emocjonować jednym obrazem.

– Dziwny? Nie. Może trochę ekscentryczny. Jak każdy kolekcjoner. Nie należało się wdawać z nim w spór, Sándorze. Uraziłeś go – zauważyła odrobinę już rozkojarzona Frania. Dostrzegła właśnie w tłumie dyrektora muzeum. Pomachał jej tekturką z numerem.

– Ja go uraziłem? To on zasugerował, że jestem ograniczony!

– Nie przesadzaj. Rozejrzyj się jeszcze, może coś ci wpadnie w oko. – Przeprosiła ich i odeszła w stronę dyrektora.

Był podenerwowany zbliżającą się aukcją, choć wyglądał jak zwykle na zadowolonego.

– Jest pani, to dobrze. Omówmy strategię – powiedział.

Był dziś niezwykle elegancki, pachniał woskiem do wąsów. Widać spędził dodatkowe minuty na ustawieniu ich w idealnym pionie. Frania pomyślała, że wyglądają niczym czujki chrabąszcza, zwłaszcza że rumiana twarz dyrektora bezustannie zwracała się to w lewo, to w prawo, łowiąc co ciekawsze obrazy wiszące na ścianach oraz znajome twarze w tłumie.

Kiedy zauważył tęskne spojrzenie Frani spoczywające na płótnie Zielińskiego, dodał:

– No, no, pani Franciszko, przyznam, że to bardzo ciekawy obraz. Nadzwyczajna kreska, koloryt o dużych zaletach, wybornie oddaje kobiece piękno. Do tego doskonała gra światła i cienia, i to przy braku tradycyjnej głębi.

– Nowatorski, prawda?

– Owszem.

Frania się rozpromieniła.

– Czyli zgadza się pan ze mną? Spróbujemy go nabyć?

– Ależ, pani Franciszko, proszę nie być nedorzeczną! Mówiliśmy już o tym. To nie jest typ obrazu, który chwilowo warto zakupić dla muzeum. Rada muzealna patrzy mi na ręce. Sama pani rozumie. – Rozłożył ręce, jakby dosłownie w tej chwili były obiektem skrupulatnej obserwacji rady muzealnej.

Frania westchnęła.

– Myślałem raczej o tych *Makach*. – Dyrektor przeszedł na drugą stronę galerii. Frania precyzyjnie się za nim.

– Są poprawne.

– Tak. Wspaniały podolski krajobraz, wzbudza nostalgię. I jeżeli uda nam się nabyć go w miarę niedrogo, to spróbujemy jeszcze wylicytować o ten! – Wskazał palcem na wiszące obok płótno Kossaka i zniżył głos do szeptu. – Wybitne dzieło znakomitego, na wskroś narodowego artysty z najlepszej epoki jego działalności. Niestety, widziałem kilku znanych kolekcjonerów, myślę, że łatwo nie będzie.

– Jak pan uważa, panie dyrektorze – westchnęła Frania.

– A zatem ustalone! – powiedział zadowolony. – Zajmijmy miejsca.

*

Aukcja toczyła się sprawnie. Pan Barański prowadził licytację z werwą, nie pozostawiając zainteresowanym zbyt wiele czasu do namysłu. Sándor, siedzący z Irmą w pierwszym rzędzie, raz po raz odwracał się ku Frani. Mrugał i posyłał znaczące uśmiechy za każdym razem, gdy licytacja przybierała dramatyczny obrót. Wywoływało to wyraźne

znieczepienie Irmy. Kiedy udało mu się nabyć martwą naturę dość znanego formisty, omal nie spadł z krzesła, łowiąc pełne uznania dla tego zakupu spojrzenie Frani. Wtedy poirytowana Irma wbiła w jego podbródek palec wskazujący zwieńczony paznokciem w kształcie migdała pomalowanego na kolor malinowy i stanowczo zwróciła twarz Sándora ku sobie.

Tymczasem dyrektor przystąpił do licytacji wybranych obrazów. Niestety zgodnie z przewidywaniami walka była zaciepła i ostatecznie musiał ustąpić.

– Pani wybaczy – wyszeptał do Frani po drugiej porażce. – Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Strasznie mi się zrobiło gorąco z wrażenia.

Wstał i opuścił galerię. Frania pogrążyła się w ponurym zamyśleniu. Rozumiała upór dyrektora. Środki muzeum pozwalały na zakup jedynie kilkunastu obrazów rocznie, nic dziwnego, że był ostrożny i wybierał te, które wpisywały się w narodową tradycję zgodnie ze statutem placówki. Jeden odważniejszy zakup, a komitet nadzorczy gotów wydać negatywną opinię o działalności dyrektora. Z drugiej strony, miała co do tego absolutną pewność, byli właśnie świadkami rozkwitu nurtów awangardowych. I to nowe pojmowanie artystycznej formy zdecydowanie zasługiwało na uhonorowanie w muzeum w całej swojej zróżnicowanej okazałości. Na równi z Matejką i jemu podobnymi. Trudna sprawa.

Pan Barański zapowiedział obraz Zielińskiego, którego przedstawił jako młodego artystę kształcącego się pod okiem pani Aliny Teiss. Na sali zapadła cisza, która wyrwała Franię z zamyślenia. Rozejrzała się dookoła. Nikt nie licytował! Sándor odwrócił się ku niej i pokręcił głową. Frania przewróciła oczami. Uparciuch, odpuścić taką okazję! Jej wzrok spoczął na pustym krześle dyrektora; leżał na nim kartonik z numerem. Frania złapała go i podniosła nad głowę.

– Wspaniale, mamy pierwszą ofertę – powiedział pan Barański. – Sto złotych.

– Dwieście! – Frania rozpoznała dobiegający z końca sali głos hrabiego Kozielińskiego.

– Trzysta! – odpowiedziała bez wahania.

– Pięćset!

Po sali przeszedł szmer zadowolenia. Frania zaczęła w myślach gorączkowo analizować sytuację. Wydatek pięciuset złotych na obraz nieznanego malarza może i uszedłby uwadze komitetu nadzorczego. Zresztą była pewna, że ten obraz był wart i dziesięć razy tyle. Ale licytowanie za wyższą kwotę bez wątpienia oznaczało kłopoty. Gdybyż ten Kozieliński odpuścił!

Odwróciła się i posłała mu przez ramię uśmiech. Uniósł brwi, w jego oczach mignął ciepły błysk. Z całego zgromadzonego w galerii towarzystwa tylko oni chcieli mieć ten obraz. Tylko oni rozumieli jego wartość. Poczują, że łączy ich nic porozumienia, możliwa jedynie między dwojgiem ludzi o podobnej wrażliwości. Wiedziała już, że hrabia tak łatwo się nie podda. Mimo to podniosła tekturkę i głośno powiedziała:

– Sześćset.

– Tysiąc! – odpowiedział hrabia bez zastanowienia.

– Tysiąc dwieście.

– Tysiąc pięćset!

– Dwa tys... Auć!

Dyrektor złapał ją niespodziewanie za rękę i zabrał tekturkę z numerem, nim zdążyła ją unieść wystarczająco wysoko, by mógł ją dostrzec pan Barański.

– Proszę się nie ważyć! – wyszeptał dyrektor. Zajął miejsce i postął sztuczny uśmiech siedzącym w pobliżu damom, które wbiły weń ciekawskie spojrzenia.

– Ale, panie dyrektorze, taka okazja! Prawie nikt nie licytuje!

– Dość! – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Ale sam pan widzi, jaki ten obraz...

– Powiedziałem: dość, pani Franciszko! – Jego słowa przeszyły pełną napięcia ciszę, jaka zapadła w galerii.

– Tysiąc pięćset po raz drugi. – Pan Barański spojrzał wyczekująco na Franię.

Pokręciła głową.

– Tysiąc pięćset po raz trzeci! Sprzedane panu hrabiemu Kozielińskiemu. Gratulacje!

Rozległy się krótkie brawa. Frania spojrzała ponuro na dyrektora, wstała i wyszła bez pożegnania.

Zapadał zmierzch. Blade latarnie rozświetlały gęstniejące ciemności. Gdzieś z boku przemknął cień. Frania przyspieszyła kroku. Nagle poczuła dotyk czyichś palców na ramieniu. Odwróciła się gwałtownie.

– Przestraszyłeś mnie!

Sándor mrugnął do niej.

– Ależ dałaś popis!

Bez słowa ruszyła przed siebie.

– Ale, ale, droga Franiu, dokąd to?

– Przejdę się.

– Sama? W nocy? Chyba oszalałaś!

– Zostaw mnie.

– Nie ma mowy.

Frانيا fuknęła i ciaśniej otuliła się płaszczem. Sándor w milczeniu podążył za nią. Dotarli nad Wisłę, która nieśpiesznie toczyła swe ciemne o tej porze wody. Minęli pomost i zacumowany parostatek z Krakowa do Gdańska. Kołysał się rozświetlony światełkami odbitymi w rzece. Słychać było śmiechy i dochodzącą z pokładu muzykę. Kilku pasażerów spacerowało po nadbrzeżu, kolejni wsiadali na pokład.

Wreszcie zmęczona marszem Frania zatrzymała się na pustej, dzikiej plaży. Sándor usiadł obok niej. Podał ogień, kiedy wyciągnęła z torebki papierośnicę. Milczeli, przysłuchując się cichemu pluskowi wody, szumowi wiatru w szuwarach i niosącej się po rzece muzyce ze statku.

– Przez Tokaj też płynie rzeka – powiedział wreszcie Sándor. – Łowiłem w niej raki, a później podkładałem mojej siostrze do łóżka.

– Ja robiłam tak samo! – ożywiła się Frania. – Tylko ja nie mam siostry, więc podkładałam je bratu.

– I po drzewach też pewnie łąziłaś, co?

– Owszem! Po starych czereśniach w sadzie. – Uśmiechnęła się. – A potem zaczęłam wkładać całą energię w malowanie. I w Leosinie nastął spokój.

Zaciągnęła się papierosem.

– Dlaczego tak ci zależało na tym obrazie? – Odgarnął kosmyk włosów, który uciekł z wykonanego na prędcie upięcia wątpliwej urody.

– Zasluguje, aby być w muzeum. Ten Zieliński ma prawdziwy talent. Nie znam go, ale patrzę na ten obraz i jakbym widziała urywek jego myśli. Jakbym słyszała jego szept.

– I co on tak szepcze?

– Że wszystko i wszystkich filtrujemy przez sferę uczuć i myśli, a zatem każdy z nas widzi świat i innych ludzi inaczej.

Sándor podniósł płaski kamień i rzucił go do wody. Kamyk odbił się kilka razy od popiołowej powierzchni, nim z cichym pluskiem zniknął.

– Czy ja będę kiedyś tak malować? Od śmierci Sewera cofam się, zapadam się w siebie. Chwilowo mam nawet problem, by odwzorować rzeczywistość. Siedzę w artystycznej czarnej... dziurze. O wyjściu z niej mogę tylko pomarzyć! A co dopiero o tym, by przekroczyć te klasyczne ramy i zaferować odbiorcy moje osobiste widzenie świata.

– Franiu, przecież ty cała jesteś poza ramą! Można wiele o tobie powiedzieć, ale nie to, że jesteś modna i żyjesz zgodnie z konwenansem.

– Ha, każda kobieta chciałaby usłyszeć taki komplement. Dziękuję ci bardzo.

Frania zgmiotła papierosa w piasku.

– Ale to jest komplement! Mnie się ta twoja niezależność szalenie podoba. Pijasz wino z kawalerem o wątpliwej reputacji w jego składzie, zatrudniasz pannę z dzieckiem i licytujesz jakieś pokraczne dzieło za plecami zwierznika. Trudno o bardziej awangardową kobietę.

– Chyba karykaturę awangardowej kobiety – powiedziała cierpko.

Umilkli.

Gdzieś w oddali trzasnęła gałązka, z szuwarów dobiegł krzyk zaniepokojonego łabędzia. „Pewnie lis albo bezański pies podszedł zbyt blisko” – pomyślała Frania.

Sándor rzucił kolejny kamień do Wisty.

– Franiu?

– Tak?

– Czy dopuszczasz myśl, że mogłabyś kogoś jeszcze pokochać?

Frania drgnęła i odwróciła twarz ku niemu.

Sándor patrzył na nią poważnie. Nigdy nie był poważny.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Czy dopuszczała taką myśl? Przecież od odejścia Sewera była zupełnie martwa w środku. Chociaż, zaraz, czy na pewno? Ta pustka w niej była pozorna. W rzeczywistości tyle się

w niej kłębiło. Dominowała złość. Ale była też bezsilność, cynizm, jakieś resztki wstydu wynikające z wpojonego w domu poczucia przyzwoitości i dobrych manier. Czasami trafiał się zachwyt nad pięknym obrazem, który na chwilę rozświetlał wypełniającą ją smolistą czerń. Dlatego praca w muzeum była jej tak potrzebna. Dochodziło też trochę cieplejszych uczuć wobec przyjaciół – Loli i Sándora – i jakaś odrobina empatii oraz podziwu dla Maryni. Nie była więc tak zupełnie martwa. No proszę. Ale miłość? Nie, miłość była zbyt ryzykowna. Przecież to utrata miłości doprowadziła ją do tej strasznej pustki. Jakże mogłaby zdobyć się na nią raz jeszcze?

Zbierała się, by odpowiedzieć, gdy nagle za plecami Sándora zamajaczyła czarna sylwetka w kapeluszu. To był ten sam zbir, który gonił ją i Lolę kilka dni wcześniej przez Nalewki! O nóżki baranie!

Frania krzyknęła i bez namysłu sypnęła mu w twarz garścią piasku.

Mężczyzna syknął i zaczął trzeć oczy.

Zerwali się na równe nogi.

Nieznamy wyciągnął rękę w obronnym geście. Chciał coś powiedzieć, ale Frania nie dała mu szansy. Z całej siły zderzyła go torebką przez głowę, strącając mu kapelusz.

– Franiu, co ty robisz? – krzyknął Sándor.

– Uciekamy!

Frania rzuciła się w kierunku rozświetlonego pomostu.

– Przepraszam pana, nie wiem, co ją napadło!

Mężczyzna dławił się i pluł piaskiem. Sándor podał mu kapelusz i nie oglądając się za siebie, pobiegł za Franią.

SOBOTA, 13 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Aspirant Chybura udał się na skrzyżowanie, na którym tydzień wcześniej zgubił obiekt. Oparł służbowy rower o latarnię i przystąpił do akcji. Wyjął z kieszeni zmiętą gazetę i rozłożył ją przed sobą. Szare oczy czujnie obserwowały znad gadzinówki przetaczające się ulicą dorożki.

Oczekiwanie na obiekt przedłużało się. Zaczął się nawet zastanawiać, czy dobrze zrobił, skracając sobie trasę. Może należało jak ostatnio

zaczekać pod muzeum? A co, jeśli nie będzie tędy dzisiaj przejeżdżać? Wtem w oddali zauważył rude, rozwiane włosy, falujące jak grzywy dwóch koni ciągnących dorożkę. To musiała być ona. Kiedy go mijała, Chybura podniósł gazetę nieco wyżej. Niepotrzebnie. Tańska, pochylona nad książką, nie rozglądała się na boki.

Zmiał gazetę w kulkę, rzucił na ziemię i się odwrócił. Zauważył żółtego kundelka, który akurat podniósł tylną nogę i obsikał latarnię. Było to możliwe, gdyż dostępu do niej nie blokował już służbowy wicher. Ktoś go bezczelnie w biały dzień tuż za plecami aspiranta Chybury ukradł.

*

Chybura miał w pracy kłopoty. Nie wywiązał się z prostego zadania. Nie dość, że nie udało mu się ustalić, gdzie co sobotę po szesnastej bywa panna Tańska, to jeszcze stracił powierzony mu do wykonania tego zadania zdezelowany rower. Kiedy opowiedział Sztobie o okolicznościach zgubienia obiektu i służbowego sprzętu, ten tylko oparł głowę na rękach i długo nic nie mówił.

– Trzeba to ustalić – powiedział wreszcie.

– Ktoś się połasił na państwowy rower?

– Nie! To znaczy tak! Ale to swoją drogą. Przejdziesz się na Karcelak, może tam się znajdzie. – Sztaba podrapał się po brodzie. – Trzeba wreszcie ustalić, gdzie bywa panna Tańska w soboty po pracy!

Chybura wbił wzrok w brązowe linoleum wyścielające podłogę komisariatu.

– Daję ci jeszcze tydzień. W następną sobotę chcę to wiedzieć. Rozumiemy się?

Aspirant pokiwał głową, po czym, jak uczeń w szkole, nieśmiało uniósł palec wskazujący.

– Tak?

– Panie inspektorze, ale jakże mam ją śledzić? Na piechotę przecież jej nie dogonię. Nawet na rowerze ledwo za nią nadążałem.

Sztaba się zamyślił.

– Jeździsz konno?

– O tyle, o ile.

– To konia ci nie dam. Zresztą i tak za bardzo rzuca się w oczy w mieście. – Postukał zamyślony ołówkiem w blat biurka.

– To może samochód bym wziął? – Aspirant Chybura wykazał się inicjatywą. Oczy mu rozbłyły na samą myśl, że mógłby wreszcie zasiąść za kółkiem jednego z kilku służbowych fordów.

– Nie rozczaruj mnie. – Inspektor przybił pieczęć na dyspozycji dla magazyniera. Chybura spojrzął na podany mu druczek i zmarkotniał. Nie przydzielono mu samochodu.

ROZDZIAŁ VIII

O KŁOPOCIE FRANI I ROZPACZLIWYCH PRÓBACH DOTARCIA DO PRAWDY

NIEDZIELA, 14 WRZEŚNIA 1924 ROKU

W mieszkaniu unosił się delikatny zapach gotowanych gruszek z kardamonem. Frania stała przy sztalugach i patrzyła tępo na stoliczek z kompozycją. Srebrna patera odbijała promienie słoneczne, które o tej porze roku jeszcze prześlizgiwały się ponad dachem kamienicy z naprzeciwka i wpadały wprost do pracowni. Marynia z samego rana ułożyła na paterze równiutki kopczyk jeżyn. Frania podeszła do stoliczka i dźgnęła końcówką pędzla jeżynową piramidę. Owoce się rozsypały, kilka potoczyło się na białą serwetę i spoczęło między bażancimi piórami. Tak, teraz dużo lepiej. Frania wróciła przed sztalugi, uniosła umoczony w farbie pędzel i wtedy właśnie do pracowni weszła Marynia.

– Pan bezczelny z psem – z powagą zapowiedziała Sándora.

– Proś, Maryniu, proś.

Po chwili do pracowni wkroczył Balaton, a za nim Sándor. Pies machnął kilka razy ogonem na powitanie i wskoczył na szezlong.

– Franiu, czy mogłabyś dziś przypilnować Balatona?

– Mogłabym. A dlaczego?

– Nie chciałbym go zostawiać samego do wieczora. A widzisz, obiecałem Irmie dzień pełen atrakcji. W ramach przeprosin.

– A za co?

– Znowu zostawiłem ją samą. Zupełnie o niej zapomniałem, kiedy wybiegłem dotrzymać ci towarzystwa nad Wisłą i ochronić własną pierś przed zbójami. A nie! – Klepnął się w czoło. – Przecież to ty ochroniłaś mnie!

– Jeżeli o mnie chodzi, to spacer z Balatonem jest sam w sobie atrakcją. Na miejscu Irmy byłoby mi przykro, że pozbawiasz mnie jego towarzystwa.

– Właśnie w tym rzecz, Franiu, że Irma i Balaton za sobą nie przepadają. A wy macie doskonałą relację. Obiecuję, że nie będzie ci przeszkadzał, byliśmy po śniadaniu na długim spacerze, jest wybiegany.

Frania spojrzała na ziejącego Balatona, który umościł się pośród białych poduszek rozłożonych na szeszlongu.

– Dobrze. – Westchnęła, patrząc na odciski łap, które właśnie pojawiły się na poduszkach. – Ale zabierz, proszę, te poszewki do pralni. Pracę Maryni należy szanować. Wścieknij się, jak zobaczy, co Balaton z nimi zrobił.

– Ależ ma się rozumieć!

Sándor zaczął ściągać poszewki.

– Ja bym się na twoim miejscu zastanowiła, czy chcesz się wiązać z kobietą, która nie lubi twojego psa.

Sándor się roześmiał.

– Franiu, a kto tu mówi o wiązaniu?

Puścił do niej oko i zwinął poszewki w rulon. Złapał kilka jeżyn z patery, podrapał Balatona za uchem i wyszedł, gwizdząc pod nosem melodię Ja się boję sama spać Zuli Pogorzelskiej. Po chwili przez otwarte okna pracowni doszedł Franię łoskot zamykanej bramy i gwizdanie Sándora zaczęło się oddalać, aż wreszcie ucichło zupełnie.

Frania wzięła się za malowanie. Pracowała w skupieniu przez ponad godzinę, delikatnie nakładając farbę małym pędzelkiem na płótno. Z niebytu zaczęła się wyłaniać serweta. Frania odstąpiła od sztalug i przyjrzała się jej krytycznie, po czym przeniosła wzrok na miękkie łafty koronki koniakowskiej spływające ze stoliczka. Nie była zadowolona. Już miała zacząć od nowa, gdy w pracowni ponownie zjawiła się Marynia.

– List – powiedziała. Spojrzała z ukosa na psa śpiącego pośród pozbawionych poszewek poduszek.

Frania odłożyła pędzel, wytarła ręce i sięgnęła po list. Była to zwykła biała koperta, bez nadawcy. Dziwne.

– Czy nie trzeba czego? – zapytała Marynia takim tonem, że nawet gdyby Frania czegoś rzeczywiście potrzebowała, nie odważyłaby się poprosić.

Pokręciła więc przecząco głową.

– No i hej! – powiedziała służąca i wyszła.

Frania jeszcze przez chwilę obracała kopertę w dłoniach, wreszcie wzięta z biurka mosiężny nożyk do listów i rozcięła ją zamasztywym ruchem. Wewnątrz była pojedyncza kartka. Przyklejono do niej litery wycięte z gazety, które układały się w trzy zdania:

*Wiem, że po premierze „Uczty szyderców”
włamałaś się do muzeum.
Wracaj, skąd przyjechałaś, albo powiem policji.
Masz trzy dni.*

Z wrażenia Frania upuściła nożyk. Balaton, wybudzony z drzemki nagłym hałasem, przeciągnął się i mlasnął.

Frania ponownie przebiegła wzrokiem po kartce. Pies wyczuł jej niepokój, podniósł smukłą głowę i spojrzał na nią czujnie. Drżącymi dłońmi schowała list do koperty i zaczęła krążyć po pracowni. Nie wiedziała, czy bardziej oburzył ją niegrzeczny ton, czy groźba. Jakim cudem ktoś dowiedział się o ich nocnej wyprawie do muzeum? I co z Lolą i Sándorem? Skoro ktoś wiedział, że była w muzeum, musiał też wiedzieć, że nie była tam sama. Trzeba koniecznie rozmówić się z Lolą.

Przebrała się pośpiesznie w prostą sukienkę w czarno-białą kratę, nałożyła kapelusik i buty na niewielkim obcasie. Balaton, widząc, że się gdzieś wybiera, usiadł przy drzwiach i patrzył na nią wyczekująco.

– Zostań, Balaton, za godzinę wrócę. – Próbowała odsunąć go od drzwi, ale zaparł się łapami i zaczął żałośnie piszczeć. Poddała się więc i przypięła linkę do obroży, co poskutkowało natychmiastowym odblokowaniem drzwi przez Balatona. – Maryniu, wychodź! – zdążyła powiedzieć, nim ostre szarpnięcie smyczy pociągnęło ją na korytarz.

– A obiad? – Marynia wychyliła się z kuchni z półmiskiem parujących klusek.

Odpowiedziało jej tylko trzaśnięcie drzwi.

*

Już po chwili Frania pożałowała, że zabrała ze sobą Balatona. Za nic nie chciał dobrowolnie wskoczyć do dorożki. Zniecierpliwiona podniosła go z wysiłkiem, ale pies zaparł się łapami, które rozstawił nieco ponad szerokość drzwiczek. Dorożkarz udawał, że nie widzi wysiłków Frani, choć doprawdy trudno było uwierzyć w jego pozorne zamyślenie, bo aż poczerwieniał, hamując śmiech. Frania mozolnie odczepiła po kolei każdą rozczapierzoną łapę od boku dorożki i wreszcie wepchnęła Balatona do środka. Nieco obrażony, zajął miejsce na wyścielonej futerkiem kanapce. Zasapana Frania poprawiła kapelusz, rzuciła dorożkarzowi niechętnie spojrzenie i z godnością podała adres Loli, po czym sama wdrapała się do środka. Ruszyli.

Wyjęła list z torebki i ponownie go przeczytała. „Wracaj, skąd przyjechałaś...” Co to miało znaczyć? Ktoś chciał, by wyjechała do domu? To niedorzeczne, nikt by się przecież nie posunął do szantażu, by zmusić ją do powrotu do Leosina. Może ktoś po prostu chciał się jej pozbyć z Warszawy? Ale dlaczego? Niepokój, który dotąd jej towarzyszył, zaczął przeradzać się w złość. Frania brzydziła się anonimami. Uważała, że to wyjątkowo podła forma komunikacji, dobra dla tchórzy, którzy czując się bezkarni, pozwalali sobie na więcej. Już ona się dowie, kto za tym stoi!

Z zamyślenia wyrwał ją głos dorożkarza. Dotarli na miejsce. Balaton wyskoczył na chodnik i pobiegł w głąb podwórza.

*

Lola zamknęła za sobą drzwi do sypialni. Zawiązała ciasno pasek przytrzymujący powłóczysty peniuar i stukając turkusowymi pantoflami z ozdobnym puszkim, udała się do niewielkiego salonu, który pełnił zarazem funkcję pokoju do pracy.

W pobliżu jasnego pieca kaflowego znajdowały się dwa zgrabne fotele obite kremowym welurem, stolik z bielonego drewna i miękki dywan. Był też sekretarzyk z kilkunastoma szufladkami, a pod oknem biurko, na którym stał mały remington, przedmiot pierwszej potrzeby dla każdego, kto pracuje intelektualnie. Lola wkręciła czystą kartkę i wystukała tytuł artykułu: *Z wizytą w apartamentach posła amerykańskiego w Warszawie*. Zerknęła do notatnika i wzięła się za opisywanie wnętrza stylowego gmachu przy ulicy Świętojańskiej, tapicerki mebli i nowoczesnego gustu małżonki posła. Stukot maszyny do pisania mieszał się z wrzaskiem wróbli walczących o skórkę chleba pod rachityczną forsycją rosnącą tuż przy oknie. Roślina wbrew logice co wiosną odradzała się (w kolorze kanarkowym, jak mawiała Frania) na piaszczystym podwórku, do którego nigdy nie zaglądało słońce. Lola bardzo ją lubiła. Kiedy na chwilę przerywała pisanie, by ułożyć w głowie kolejną frazę, zawieszała wzrok na tych kilku cienkich zielonych gałązkach opierających się o szybę i od razu lepiej jej się myślało.

Mieszkanie Loli, choć ciemne i ciasne – znajdowało się na parterze oficyny sporej kamienicy – a do tego obarczone wysokim czynszem, było spełnieniem jej marzeń. Co tu dużo mówić, dorastała w biedzie. Któregoś dnia, patrząc na odrapane ściany, zza których dochodziły odgłosy kolejnej awantury, kilkunastoletnia Lola przyrzekła sobie, że ona będzie żyć inaczej. I rzeczywiście dzięki ciężkiej pracy i sprytowi, krętą drogą wyrzeczeń i kolejnych społecznych awansów dotarła na warszawskie salony. I do tego mieszkanka na ulicy Polnej, które w przeludnionym mieście było mimo wszystko oznaką życiowego sukcesu.

Nagle między gałązkami forsycji śmignęła wyciągnięta sylwetka charta. Zaraz potem Lola usłyszała skrobanie pazurów drących drzwi. Wystukała ostatnie zdanie i poszła otworzyć. Spodziewała się na progu zobaczyć Sándora, widok Frani ją zaskoczył.

– Na Boga, Franiu, co się stało? – powiedziała, odsuwając się od skaczącego Balatona.

Frانيا bez słowa podała jej kopertę i ruszyła korytarzem do saloniku.

– Kto to napisał? – zapytała Lola, idąc za nią.

– Nie wiem. Czy ty też taki dostałaś?

Lola zbladła. Podbiegła do sekretarzyka i przejrziała leżącą tam nieotwartą od rana korespondencję. Ręce jej drżały. Wśród zaproszeń, liścików od adoratorów, które nieczytane wylądowały od razu w koszu na śmieci, i kilku pism urzędowych nie znalazła jednak podobnej koperty.

– A Sándor? – zapytała.

– Nie wiem. Nie ma go w domu.

– Franiu, jeżeli ktoś doniesie policji, że włamałam się do muzeum, będę skończona!

– Spokojnie, zaraz coś wymyślimy!

– Łatwo ci mówić! Nasze sytuacje są zupełnie różne. Ciotka ministrowa cię wybroni. Zresztą, kto przy zdrowych zmysłach uwierzy, że mogłabyś się włamać do muzeum? A ja? To zupełnie co innego! Połowa Warszawy tylko czeka na moje potknięcie.

Lola opadła na fotel i ukryła twarz w dłoniach. Widząc przerażanie przyjaciółki, Frania poczuła, że jej złość na szantażystę jeszcze się wzmacnia. Kiedy tu jechała, nie myślała, w jak trudnym położeniu mogłaby znaleźć się Lola, gdyby wszystko się wydało. Dopiero teraz nerwowa reakcja przyjaciółki uświadomiła jej, że sytuacja była jeszcze poważniejsza, niż się początkowo zdawało.

Balaton tymczasem zdążył oblecieć całe mieszkanie. Obwąchał wieszak z paltami, zajrzał do łazienki, sporo czasu spędził w kuchni, gdzie ściągnął ze stołu masło zawinięte w tłusty papier. Posiliwszy się, popędził dalej, skoczył na klamkę drzwi do sypialni i wpadł do środka. Lola zerwała się, kiedy dotarły stamtąd stłumione okrzyki. Wypchnęła psa do saloniku i zamknęła za sobą drzwi.

Frania dopiero teraz zauważyła, że Lola jest niemal w dezabilu, mimo iż dochodziła pora obiadu.

– Masz towarzystwo – powiedziała.

Policzki Loli poróżwiały.

– Owszem.

– Znam go?

Lola pokręciła przecząco głową i zmieniła temat:

– Co zrobimy?

– Posłuchaj. Wygląda na to, że ktokolwiek napisał ten anonim, albo nie wie, że byłaś tam ze mną, albo chce się pozbyć tylko mnie. To dobra

wiadomość. Nie martw się więc na zapas. Już ja się zajmę tym szantażystą.

Kiedy to mówiła, Lola zaczęła ponownie przerzucać korespondencję leżącą na biurku. Wyciągnęła też listy, które wcześniej trafiły do kosza, i dla pewności otworzyła każdy z nich. Nie znalazłszy anonimu, nieco się uspokoiła.

– Co zamierzasz? – zapytała wreszcie.

– Muszę się dowiedzieć, kto wysłał ten list. Nie daruję!

– Słuchaj, Franiu, a może to medium jednak coś niecoś w twoich myślach wyczytało?

– Myślałam o tym – powiedziała Frania. – Ale przecież to oszustka. Nie sądzę, by miała takie umiejętności. Zresztą, czy to w ogóle możliwe? Czytać w ludzkich myślach?

– O tak! – powiedziała z przekonaniem Lola. – Ja na przykład czytam bez problemu w twoich. To co dopiero takie medium!

– A ja w twoich. – Frania uśmiechnęła się i pochyliła, by ścisnąć jej dłoń.

Musiała chronić przyjaciółkę. W końcu to ona ściągnęła Lolę do muzeum. Frania była zła, teraz już nie tylko na szantażystę, ale i na siebie.

– No dobrze, załóżmy, że Teofila Szum mnie przejrzała. Dlaczego nie zażądała po prostu pieniędzy?

– Albo biżuterii! – powiedziała z ożywieniem Lola. – Masz tyle pięknych brylantowych broszek.

– Właśnie. Ktoś chce się mnie pozbyć z Warszawy, to oczywiste. Dlatego nie sądzę, by to była ona.

– A zatem kto?

– To musi mieć coś wspólnego z tym obrazem. Może ktoś myśli, że ja coś wiem na temat kradzieży?

– A wiesz?

– No właśnie nie!

– Może przypadkiem zbliżyłaś się do rozwiązania zagadki? Może powiedziałaś coś komuś, co sugerowałoby, że wiesz, gdzie jest obraz albo kto stoi za jego zniknięciem.

Frانيا się zamyśliła.

– Ale ja o tym obrazie rozmawiam właściwie tylko z tobą i Sándorem.

– Z Heleną Sitkiewiczówną też o nim rozmawiałaś.

– Racja.

– I w muzeum pewnie też mówicie o kradzieży? Sama widzisz... Franiu, a może to ktoś z muzeum! – Lola się ożywiła.

– Co masz na myśli?

– Założmy, że za kradzieżą stoi ktoś z muzeum i akurat tamtego wieczoru postanowił wrócić po zamknięciu, żeby wydobyć obraz z jakiegoś schowka. To byłoby całkiem proste! Zostawić w ciągu dnia uchylone okno i niezauważonym wślizgnąć się do środka po zmroku. Pomyśl tylko! Nasze pojawienie się musiało pokrzyżować mu plany. Zobaczył nas i rozpoznał cię, bo przecież razem pracujecie. A teraz się boi, że depczesz mu po piętach. I chce się ciebie pozbyć! To ma sens!

Frania zmarszczyła czoło.

– Nie sądzę, Lolu. W muzeum pracują ludzie o wysokiej kulturze. Znam ich. Nie wyobrażam sobie, by któryś mógł się posunąć do kradzieży, a teraz jeszcze do szantażu. To musiał być ktoś inny!

– A Paprotek? Zniknął zaraz po kradzieży, to podejrzane.

– Sama już nie wiem.

Umilkły. Lola, zamyślona, wpatrywała się w okno, stukając palcami w podłokietnik fotela. Zza zamkniętych drzwi do saloniku dotarł cichy odgłos kroków. Balaton śpiący u stóp Frani podniósł czujnie łeb.

– I co teraz? – zapytała szybko Lola, by uniknąć kolejnych pytań o jej nocnego gościa.

– Jak to co? Przecież nie wrócę do Leosina, Lolu! My, Tańscy, nie uciekamy w obliczu zagrożenia! Stawiamy mu czoła! Od zawsze! Mój stryj zasłynął na przykład tym, że nie szedł z drogi rozpędzonemu dzikowi, a pradziadek w wyniku nieporozumienia stanął do pojedynku z młodszym o połowę sąsiadem, mimo że teoretycznie nie musiał. Z kolei moja kuzynka Matylda...

– Czy nie wspominałaś kiedyś, że twój stryjek zmarł w wyniku odniesionych obrażeń po spotkaniu z dziakiem?

– Mniejsza o szczegóły. Liczy się postawa!

Lola spojrzała na nią z powątpieniem.

– A może przyznamy się inspektorowi Sztabie, że byliśmy w muzeum. Wytrącimy wtedy szantażyście argument z ręki.

– To zbyt ryzykowne! Sztaba i tak mnie podejrzewa, to tylko pogorszy sytuację. A poza tym: co z tobą? Jeżeli cię aresztuje, choćby potem i uniewinnił, to narazi twoją reputację na szwank. A wtedy możesz wszystko stracić! Pracę! Pozycję! Zaufanie!

– Franiu, przestań, proszę! – Lola znowu zbladła. – Masz rację. Nie pójdę na policję.

– Mam lepszy pomysł. Po prostu za trzy dni zaczaimy się pod posterunkiem na listonosza i przejmujemy ten donos.

– Ale jak? – zapytała poirytowana Lola. – Jak zamierzasz zabrać list, który zapewne będzie jednym z kilkunastu, jeśli nie kilkudziesięciu dostarczonych tego dnia na posterunek?

– Szczegóły są do obmyślenia. Zresztą to jest tylko plan B.

– A co z planem A?

– Plan A... – zaczęła niepewnie Frania. – Plan A jest taki, żeby dowiedzieć się, kto stoi za tym anonimem.

– I to ma być plan? – Lola zapadła się głębiej w fotel. Drżała.

Frانيا przysunęła się bliżej, spojrzała przyjaciółce w oczy i ujęła jej dłoń.

– Zajmę się tym. Zaufaj mi.

Lola pokręciła głową, ale się uśmiechnęła.

Frانيا podniosła się i ruszyła do wyjścia.

– Balaton, wracamy!

*

Dorożkarz, chłopak o opalonej twarzy i złotej czuprynie wystającej spod założonej na bakier czapki, okazał się lepiej wychowany od poprzedniego. Widząc, że Balaton rozpląszczył się na chodniku, zeskoczył z kozła, podniósł go i wsadził do dorożki.

– Boi się wejść po tych wąskich schodkach! Ech, te pańskie pieski! – zaśmiał się. – Dokąd jadziem?

Frانيا podziękowała, podała adres i zajęła miejsce obok Balatona. Dorożkarz wyjął z kieszeni niewielką flaszkę i pociągnął spory łyk.

– Jadziem! – Otarł usta wierzchem dłoni i gwizdnął na konia.

Ruszyli.

Balaton siedział wyprostowany niczym struna, z dumnie uniesioną głową. Trochę z powagi ujmowały mu uszy uprawiane w rytmiczne podskoki przez jadącą po nierównym bruku dorożkę.

Frania sięgnęła po pled i otuliła nogi. Wróciła myślami do rozmowy z Lolą. A jeśli ktoś z muzeum jest rzeczywiście zamieszany w tę kradzież? Oczyma wyobraźni zobaczyła swoich współpracowników.

Dyrektora z wypomadowanymi wąsami.

Rumianą, okrągłą twarz kustosza Skiełty ujętą w ramy bokobrodów.

Wesołe oblicze Romana.

I pana Miecia, poczciwego, starszego człowieka o nieco naiwnym usposobieniu.

Nie! To nie mógł być żaden z nich! Znała ich przecież.

Z zamyślenia wyrwało ją donośne szczeknięcie Balatona. Pies zerwał się i wyskoczył na chodnik, omal nie potrącając przechodzącej akurat kobiety, po czym popędził przed siebie, ku majaczącemu na końcu ulicy biało-czarnemu punkcikowi.

– Niech go pan goni, na Boga! – krzyknęła Frania do dorożkarza.

– Robi się! – Uśmiechnął się i trzasnął z bicia, a siwy koń przyspieszył kroku.

Frania wychyliła się z powozu i prośbą albo groźbą próbowała przywołać do siebie psa. Nie zwracał na nią uwagi, pędził przed siebie, rozganiając przechodniów, którzy złorzecząc, uskakiwali na boki.

Dorożkarz popędził konia i odległość między nimi a psem zaczęła się zmniejszać. Jechali teraz bardzo szybko. Frania złapała jedną ręką kapelusz, drugą zaś trzymała się krawędzi siedzenia. Nagle Balaton skręcił w wąską uliczkę. Dorożkarz nawet nie zwolnił i również pokierował w nią konia. Frania pisnęła, pęd rzucił nią w róg kanapy.

– Niech się pani trzyma! – krzyknął przez ramię dorożkarz. Oczy błyszczały mu z zadowolenia, widać podobał mu się niecodzienny pościg. Byli coraz bliżej. Balaton, zdaje się, na chwilę zgubił trop, bo zwolnił biegu i poruszał się zygzakiem z nosem przy chodniku.

– Balaton, stój! – krzyknęła Frania, wychylając się z dorożki, kiedy niemal się z nim zrównali.

Pies machnął ogonem, szczeknął i niczym strzała wypuszczona z łuku pognał przed siebie. Potrącił przy tym sprzedawcę szczotek pchającego po chodniku wózek. Ten wpadł na mleczarza i blaszane bańki potoczyły

się na ulicę tuż przed rozpedzonego konia. Zwierzę prychnęło, zadarło łeb i zaparło się kopytami. Frania poleciała na przeciwległe siedzenie. Ładowanie było miękkie, toteż szybko się podniosła. Szarpiąc kapelusz, który spadł jej na oczy, zdążyła akurat zobaczyć niknącego u wylotu ulicy Bałatona. Obok niego galopował olbrzymi dog niemiecki.

*

Pora była późna, toteż dorożka wioząca Irmę i Sándora sunęła bez zakłóceń niemal pustymi ulicami Warszawy. Niepopędzany przez milczącego woźnicę biały konik raz po raz paraskał. Powietrze było bowiem chłodne, przesiąknięte wilgocią i zapachem wczesnej jesieni. Irma oparła głowę na piersi Sándora. To był cudowny dzień. Z samego rana obdarował ją tuzinem róż i śliczną broszką *art déco* o nowoczesnej, geometrycznej formie. Irma co prawda wolałaby naszyjnik lub pierścionek, ponieważ uważała, iż ten rodzaj biżuterii wyraża większe uczucie. Kiedy jednak Sándor wyjął z jej dłoni aksamitne pudełko i patrząc jej w oczy, powiedział „Pozwól”, po czym przypiął broszkę, muskając palcami jej dekolt, niemal ugięły się pod nią kolana.

Pogładziła zimny agat tkwiący w srebrnej rozecie i mocniej wtuliła się w Sándora. Tak naprawdę nie broszka była dla niej najważniejsza, ale to, że Sándor postarał się wynagrodzić jej ostatnie przykrości. Zabrał ją na przejażdżkę łódką po Wiśle i na kolację przygotowaną przez samego Marcella Tellego, najlepszego szefa kuchni w całej Warszawie, którego raz po raz podbierały sobie najznakomitsze hotele i restauracje w mieście. A do tego kolacja owa była serwowana w altanie obrosniętej dzikim winem, z której roztaczał się widok na rzekę i odbijające się w niej gwiazdy. Teraz Irma nie mogła mieć wątpliwości, że oto jeden z najbardziej pożądanych warszawskich kawalerów wreszcie zaczyna wykazywać wobec niej właściwy poziom zaangażowania.

– Zimno ci? – Sándor nakrył ją swoim płaszczem.

– Wręcz przeciwnie. – Podniosła na niego oczy. Ich spojrzenia się spotkały. Przeszył ją dreszcz na myśl o czekającej ją nocy z Sándorem. Był fantastycznym kochankiem. W sypialni nie przechodził od razu do rzeczy, nie śpieszył się. Ostatnio na przykład najpierw otulił ją

głębokim, osobliwym dźwiękiem wiolonczeli. Kiedy grał w rozpiętej na poły koszuli, jak zahipnotyzowana wodziła oczyma za jego palcami przeskakującymi po gryfie i kołyszącą się wraz z nim świerkową sylwetką wiolonczeli, do złudzenia przypominającą tę kobietę. Obudziło się w niej pragnienie, by te palce dotykały jej szyi, a kolana obejmowały jej biodra. Rzuciła się całować Sándora, nim na dobre wybrzmiały ostatnie nuty suity Bacha.

Irma się uśmiechnęła. Ta noc też bez wątpienia będzie wyjątkowa.

Dorożka stanęła wreszcie przy Żurawiej.

Sándor podał swej towarzysze dłoń i mrugnął. Wysiedli.

– Franiu, co ty tutaj robisz? – zapytał Sándor.

Irma drgnęła i mocniej ścisnęła jego dłoń. Na progu składu siedziała Tańska. Na ich widok zerwała się i podbiegła do Sándora.

– Zgubiłam Balatona! – powiedziała płacząc.

Uśmiech Irmy zbladł na chwilę, po czym powrócił w nieco sztucznym, wymuszonym wydaniu.

– Franiu, jakaż ty jesteś nieodpowiedzialna! – zdenerwował się Sándor. – Raz jeden poprosiłem cię o małą przysługę.

– Przepraszam! Szukałam go całe popołudnie.

– Gdzie? Gdzie go zgubiłaś?

– Wyskoczył z dorożki na Wilczej.

Pociągnęła nosem. Irma skrzywiła się z niesmakiem.

– Ale dlaczego jechałaś z Balatonem dorożką?

– Sándor, doprawdy, nie będę ci teraz opowiadać szczegółów. – Frania spojrzęła z ukosa na Irmę. – Miałam swoje powody.

– Nie wątpię! Ty zawsze masz swoje powody! Ale dlaczego Balaton wyskoczył z dorożki? Przestraszył się czegoś?

– Nie. Pobiegł za innym psem. Takim dużym. To był dog niemiecki.

– Biało-czarny?

– Tak.

– Fifi! – powiedział Sándor i pobiegł zupełnie już ciemną ulicą.

Irma utkwiała spojrzenie we Frani. Jej szafirowe oczy pociemniały tak, że zamiast fiołków kolorem przypominały dojrzałe śliwki.

PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Ciemność nocy powoli rozptywała się w szarzejących mgłach unoszących się ponad wilgotnym brukiem. Latarnie zgasły. Z ginącego w mroku końca ulicy dochodził niewyraźny dźwięk dzwonek i nieśpieszny stukot końskich kopyt.

Frania powoli minęła skład Sándora. Trudno jest, spoglądając przed siebie i wysoko unosząc podbródek, jednak zajrzeć do środka, i to przez zakurzoną szybę. Frani ta sztuka niestety się nie udała. Rozbolały ją tylko oczy od nadmiernego wytrzeszczania. Zrobiła więc w tył zwrot i tym razem, nie siląc się na subtelności, przywarła twarzą i dłońmi do szyby. W ciemnym kącie dostrzegła zarys fotela i śpiącego na nim w najlepsze Balatona. No proszę! Widok ten z jednej strony przyniósł jej ulgę, z drugiej wprowadził ją w złość. Całą noc nie zmrugała oka. Martwiła się i szantażyła, i Balatonem. Sándor mógł ją chociaż zawiadomić, że pies się znalazł. Byłoby o jedno zmartwienie mniej.

Stukot kopyt stał się wyraźniejszy, dzwonienie przybrało na sile. Odwróciła się. Z mgły wyłonił się duży wóz zaprzężony w dwa potężne konie pociągowe i po chwili zatrzymał się przed składem. Z końskich chrap unosiła się para. Siedzący obok woźnicy mężczyzna zeskoczył z kozła. Był ubrany w długi czarny płaszcz i okrągły kapelusz z wywinętym rondem. Miał ciemny, niegolony od kilku dni zarost.

– O, *Fräulein* Franciszka! Jakże się pani miewa? – Uniósł kapelusz.

Frania rozpoznała go i przywitała po niemiecku. Emil pracował w rodzinnej winnicy Sándora i dwa razy w roku pokonywał dziesięciodniową trasę do Warszawy z ładunkiem win.

Pomocnik najęty w porcie również zeskoczył na bruk i wspólnie z Emilem zaczęli odwijać zakurzoną plandekę chroniącą ładunek.

– Jak przeprawa przez Karpaty?

– Wesoła. Pogoda dopisała. Ale coś coraz wyższe.

Podszedł do zamkniętego wejścia i załomotał w drzwi.

– Sándor, to ja, Emil! – krzyknął po węgiersku.

Balaton rozszczekał się po drugiej stronie drzwi. Nie czekając na odpowiedź, Emil zabrał się do rozładowywania skrzynek z tokajem.

– Chyba zasnął! A słałem mu przedwczoraj telegram, że będę dzisiaj z samego rana! Pewnie znowu zasnęła, co? – uśmiechnęła się do Frani.

Frania nie odpowiedziała.

– A *Fräulein* Franciszka chyba też nie żałowała sobie wczoraj rozrywki? – zagadnął, odbierając od pomocnika kolejną skrzynkę. – Taka, że się ośmielę zauważyć, niewyspana.

Frania wzruszyła ramionami zmieszana. Emil tymczasem wziął się pod boki i zadarł głowę. Zastony w oknach mieszkania znajdującego się nad składem były zaciągnięte.

– Sándor! – wrzasnął. – Wstawaj!

Skrzypnęła okiennica i w oknie ukazał się rozczochrany Sándor w niezapiętej koszuli.

– Idę! – krzyknął po węgiersku.

– Cudzoziemcy! – syknął inżynier Więckowski, który akurat śpieszył na poranną mszę. – Dzień dobry, panno Franciszko! – Uniósł kapelusz i oddalił się, głośno stukając laską.

Tymczasem po drugiej stronie drzwi składu załaskotała odsuwana zasława. Balaton wyskoczył na ulicę i machając ogonem, witał się z Franią i z Emilem. Sándor też wyszedł przed skład, pośpiesznie zapinając guziki koszuli. Frania podeszła do niego.

– Nie teraz, Franiu, jestem zajęty. – Sándor, nie patrząc na nią, położył na boku pierwszą beczkę wina, która właśnie została ostrożnie postawiona na skraju chodnika. Zadudniła staczana po drewnianej rampie do piwnicy. Sándor zniknął w dole.

Frania spojrzała w głąb ziejącej chłodem i ciemnością piwnicy i zacisnęła pięści. A więc to tak! Ona przychodzi z przeprosinami, a on się dąsa? O nie, drogi panie! Nie z Franciszką Eleonorą Tańską takie numery. Pożegnała się krótko z Emilem i stukając obcasami jeszcze głośniejszym niż inżynier Więckowski swoją laską, udała się do muzeum.

*

Stabilność muzealnej drabinki pozostawiała wiele do życzenia, odkąd spadła na nią *Powrót jeńców polskich z litewskiej niewoli*. Mimo to Frania bez oporów się na nią wspięła i stanęła twarzą w twarz z brodatym

ślepcem. U jego boku stał rozśpiewany chłopak z lutnią oraz mężczyzna w futrzanej czapie, kubraczku i spodniach w żywym odcieniu pomarańczy. O ile znała historię Polski, pomijając skrajne wycieńczenie i wieloletnią niewolę, oni mieli przynajmniej dobry dzień. A ona? Szkoda gadać. Frania powiesiła kubetek z przyborami na drabinie i wzięła się za czyszczenie poszarpanej siermięgi ślepca.

Jej myśli krążyły wokół niemiłego położenia, w jakim obecnie się znajdowała, i wcale nie chodziło o rozchwianą drabinę, ale o szantaż i niesnaski z Sándorem. Pocieszeniem było, że szantażysta zasadził się tylko na nią. Można było zatem uznać, że Loli i Sándorowi nie grozi skandal ani aresztowanie. Frania co prawda nie zdążyła zapytać Sándora o anonim, ale uznała, że takowego nie otrzymał. Powiedziałyby jej przecież. Takich rzeczy się nie ukrywa.

Chociaż... ona jemu nie powiedziała.

Bo nie dał jej dojść do słowa!

– Jestem zajęty, też coś! – Jej głos odbił się echem w pustym gabinecie.

Zakładając, że rzeczywiście z całej trójki tylko ona padła ofiarą szantażu, temu, kto za tym stał, musiało naprawdę zależeć na pozbyciu się jedynie jej osoby. Ale dlaczego?

Frانيا delikatnie przetarła kolejną fałdę na sukmanie. Ależ ten Gerson miał talent! Ileż emocji było w tym obrazie! Radość, wzruszenie, ulga... Uchwycić to wszystko, i to tak różnorodnie. To jest dopiero sztuka!

Drabina się zachwiała i Frania wróciła myślami do anonimu.

List musi mieć związek z muzeum. A skoro tak, to na pewno z *Kukułką*. O cóż innego mogłoby chodzić? Przecież nie o grafiki w archiwum czy niedoczyszczoną siermięgę ślepca.

Doskonały wybór kolorów, swoją drogą. Jeńcy powracający z niewoli litewskiej mieli popielate, szare i beżowe twarze. Jeżeli wycieńczenie było kolorem, to właśnie takim.

Skup się!

Jak zatem zdemaskować szantażystę? Przecież gdyby zażądał pieniędzy, mogłaby zaplanować jakąś pułapkę, a tak? Skoro ma zniknąć, to szantażysta nic nie musi robić. Tylko spokojnie czekać, aż ona wyjedzie. O niedoczekanie!

Frania musnęła po raz ostatni wilgotną szmatką rękaw siermięgi i zapatrzyła się na obraz. Po czym zadowolona z efektu weszła kilka stopni wyżej i zabrała się za muskularne ramię śpiewaka.

*

Dochodziło południe, kiedy Emil, odespawszy męczącą drogę, podniósł się z łóżka i uderzył głową o skośną ścianę. Pokoik, w którym ulokował go Sándor, był w rzeczywistości ciasną, nieużywaną słuźbówką znajdującą się tuż obok kuchni, również nieużywanej. Sándor nie zatrudniał ani gosposi, ani kamerdynera. Stołował się po sąsiedzku przy Żurawiej 15, a pranie oddawał do położonej w pobliżu pralni paryskiej. O względny porządek w niewielkim mieszkaniu dbał sam, i to jedynie w sypialni. A to z tej prostej przyczyny, że jeżeli miał już gości na górze, najczęściej były to kobiety, których nie interesowały walory mieszkania, ale przymioty samego Sándora, i to te, które odkrywa się w alkwie. W jego sypialni była więc sztywna od krochmalu pościel, ciężkie welurowe zasłony i miękki perski dywan, który regularnie traktował zakupionym do tego celu najnowszym cudem techniki produkcji niemieckiej – odkurzaczem o wiele mówiącej nazwie: Wampir. Może i hałasował niemożliwie, ale był niezwykle skuteczny. Obok łóżka stał zaś niezwykle praktyczny stoliczek, który krył chłodziarkę do szampanów. Po upojonej nocy Sándor zwykł bowiem serwować śniadanie złożone ze złotego ananasa moczzonego w szampanie właśnie. Przysmak tyleż efektowny, co niewymagający ani zbytnich przygotowań, ani szczególnego talentu kulinarnego.

Emil był oczywiście podejmowany inaczej. Kiedy wszedł do składu, powitał go zapach mocnej kawy. Sándor podał mu emaliowany kubek, mrugnął, po czym wrócił do obsługiwanego znanego restauratora, który dowiedziawszy się o dostawie, przybiegł czym prędzej na ulicę Żurawią. W międzyczasie zjawiło się jeszcze dwóch kolejnych. Sándor żartował, serwował hojne próbki wina gotowego do sprzedaży i pokazywał beczki młodego aszú, który miał sobie jeszcze dojrzewać w piwnicy dobrych kilka lat. Notował zamówienia, przyjmował należność, a w przerwach dolewał kawy Emilowi.

Kiedy trzej zadowoleni klienci miękkiem krokiem opuścili skład, Sándor zanurkował do piwnicy i wybrał elegancką skrzynkę z ciemnego błyszczącego drewna, opatrzoną nazwą składu z jednej strony i symbolem rodzinnej winnicy z drugiej. Sięgnął po sześć butelek wina, upewnił się, że na żadnej nie ma ani pyłku kurzu, i włożył je do skrzynki.

Wyszedł na ulicę i się rozejrzył. W bramie naprzeciwko dostrzegł chłopaka pochłoniętego rzucaniem ze sporym powodzeniem kamieni do wiadra z pomyjami. Ku jego wyraźnej uciechu brunatnoszara śmierzdząca maź przyskała na chodnik i na zieloną fasadę kamienicy. Kiedy Sándor na niego skinął, oderwał się jednak ochnoczo od tego zajęcia i przybiegł do składu. Zakurzone buty zastukały na drewnianej podłodze, budząc Balatona z drzemki.

Sándor oparł się o kontuar i nakreślił krótki list.

– Antek, wiesz, gdzie jest węgierska ambasada?

– Ma się rozumieć.

– To leć. Tylko listu nie zgub. Masz tu pięć złotych.

Sándor wsadził kopertę między butelki i podał chłopcu skrzynkę. Antek Szymański wybiegł, pobrzękując butelkami. Sándor zamknął za nim drzwi, przekręcił w zamku klucz i powiesił tabliczkę z napisem „Zamknięte”, mimo że nie było jeszcze drugiej.

– Czas na obiad! – zarządził.

Spod kontuaru wyciągnął krawat oraz czyścik do butów i rzucił je Emilowi. Sam zaś przejrzał się w wiszącym na zapleczu lustrze, przeczesał włosy i zapiął marynarkę.

*

Biała kamienica przy Żurawiej 15 miała sześć pięter, a każde z nich zdobiły dwa kwadratowe balkoniki o żelaznych balustradach. Na drugim piętrze, w mieszkaniu pod numerem drugim znajdował się pensjonat, gdzie na zamówienie wydawano obiady. Przybytek ten był prowadzony przez adwokatową Anielę Solikową, która po śmierci męża Józefa znalazła się w trudnym położeniu. Niemal natychmiast po pogrzebie zjawili się wierzyciele i zażądali pokrycia długów Józefa, który regularnie

i konsekwentnie przegrywał niewielkie kwoty przy karcianym stoliku. Póki Józef Solik żył, nikt się o zwrot długów nie upominał. Ale kiedy opuścił ten świat, uznano, że czas najwyższy się rozliczyć. Aniela Solikowa pieniędzy nie miała. Miała za to siedmiopokojowe mieszkanie i dryg do interesów. Upchnęła rodzinne pamiątki i co cenniejsze meble w swojej sypialni, a pozostałe pokoje, łącznie z niepotrzebnym już Józefowi Solikowi gabinetem, wynajęła. W stołowym zaś uruchomiła jadłodajnię.

Adwokatowa Solikowa miała swoje standardy, które jasno i bez skrępowania określała w ogłoszeniach prasowych. Pokoje wynajmowała tylko inteligencji pracującej i osobom zamożnym – jeżeli przyjezdnym, to poważnym, a jeżeli kawalerom, to solidnym. A serwowane u niej obiady były zawsze wykwintne. Ceny miała dość wygórowane, w końcu musiała ciągle jeszcze spłacać długi po mężu, ale jej lokatorzy mogli za to liczyć na czystość, telefon i wejście niekrępujące; a goście wpadający na obiady – na pierwszorzędną kuchnię na maśle. Sándor jadał tu regularnie ze względu na samą gospodynię, do której miał słabość. Wesole usposobienie Anieli Solikowej kontrastowało z wdową czernią, którą na co dzień nosiła. Kiedy się śmiała, a zdarzało się to niemal co chwilę, to całą sobą. Trząsał się podwójny podbródek, falowała obfita pierś i okrągły brzuch, a pulchne stopy, jeżeli akurat siedziała, odrywały się od podłogi. Jej śmiech był zaraźliwy. Toteż z okien jadalni w porze obiadowej regularnie dochodziły salwy śmiechu. Jedna z nich padła, kiedy Sándor i Emil zbliżali się leniwym krokiem do kamienicy pod numerem 15.

Kiedy stanęli przed drzwiami mieszkania adwokatowej Solikowej, powitał ich zapach zrazów w sosie grzybowym. Poszli za nim długim korytarzem do jadalni, gdzie zgromadzone wokół porządnego owalnego stołu towarzystwo właśnie kończyło jeść deser i raczyło się kawą. Sándor uśmiechnął się szeroko. Zauważył bowiem, że na deser tego dnia była zawijana legumina biskoptowa, a przy stole obecna była panna Izabella, błękitnooka urzędniczka z pobliskiej poczty. Miał więc dwa powody do zadowolenia. Ona również go dostrzegła i oblała się mocnym rumieńcem. Sándor podszedł do siedzącej u szczytu stołu Anieli Solikowej. Śmiała się do rozpuku razem z prezbiterem z pobliskiego

zboru ewangelickiego i jakimś młodym oficerem. Powitała ciepło Sándora i podniosła się od stołu.

– Spóźniliście się! – Pogroziła mu palcem, nie przestając się uśmiechać.

Wskazała dwa wolne miejsca. Sándor z przesadną kurtuazją odsunął krzesło Emilowi. Ta zbędna grzeczność zapewniła jemu samemu miejsce na drugim końcu stołu, naprzeciwko błękitnych oczu panny Izabelli.

W okienku wbudowanego w ścianę między kuchnią a jadalnią wspaniałego mahoniowego kredensu zdobionego kwiatowymi motywami pojawiły się dwa talerze z krupnikiem. Jan, stary kamerdyner Józefa Solika, trzęsącymi się rękoma przeniósł je na tacy i podał jeden Sándorowi, a drugi postawił przed Emilem.

Goście powoli zaczęli rozchodzić się do swoich obowiązków. Sándor zagadywał pannę Izabellę, która początkowo nie odrywała oczu od filiżanki z kawą, po chwili jednak, ośmielona jego uwagą, dała się wciągnąć w rozmowę. Ale i ona wyszła wreszcie, zarumieniona z wrażeń, kiedy skończyli jeść zrazy z pieczonymi ziemniakami. Pokój stołowy zupełnie opustoszał.

Aniela Solikowa postawiła przed nimi po dodatkowej porcji leguminy i karafkę z likierem wiśniowym, po czym oddaliła się, by dopilnować sprzątaną pokojów.

– Kiedy wracasz do domu? – zapytał Emil po węgiersku, przysiadając się bliżej Sándora.

– Tu jest teraz mój dom.

– I co? Będiesz już zawsze sprzedawcą wina w Warszawie?

– A cóż w tym złego? – Sándor mrugnął i napełnił wiśniówką puste kieliszki.

– A nic. Ale tyle ziemi czeka na ciebie nad Bodrogiem. Starszy pan jeszcze, chwała Bogu, trzyma się całkiem dobrze. Ale kto tym wszystkim będzie zarządzał, jak go zabraknie?

Sándor nie odpowiedział. Zaczął kręcić napełnionym kieliszkiem po stole. Rubinowa zawartość zakołysała się tuż pod krawędzią.

– A o ożenku nie myślisz?

Sándor wzruszył ramionami.

– Kandydatek chwilowo brak.

– W to akurat nie uwierz! – Emil się zaśmiał i mimochodem spojrzął na krzesło, na którym jeszcze chwilę temu siedziała panna Izabella.

– Jest Irma. – Sándor opróżnił kieliszek. – Łączy nas harmonia ciała, ale nie dusz. Ani myślę się z nią żenić.

– Czemu?

– Mówię przecież. Nudzi mnie.

– Piękna?

– Najpiękniejsza w Warszawie.

– Poobracałbym.

Sándor spojrział na niego spode łba i pogroził palcem.

– Nie pozwalaj sobie.

Sięgnął po karafkę. Wiśniówka chlupnęła do kieliszków.

– A panna Franciszka?

– Frania ma akurat nade mną nieograniczoną władzę. Cóż z tego, skoro nawet nie myśli z niej korzystać.

– A wie, że ma?

– Kobiety takie rzeczy wiedzą.

– Może ta nie wie?

– Wie, nie wie. Nieważne. I tak nic z tego nie będzie.

– Jak to?

– Nie jestem w jej typie.

– A jaki to typ? – Emil pochylił się i napełnił chwilę wcześniej opróżniony przez Sándora kieliszek.

– Sewer, jej narzeczony, zginął jak bohater na wojnie z bolszewikami. Jakże mi się z nim równać?

– Czyli typ heroiczny.

– Właśnie. Do tego te wszystkie kobiety, które widywała w moim towarzystwie, mogły sprawić, że wyrobiła sobie o mnie mylne zdanie.

– Ja bym to widział jako zaletę.

– Ależ ty, Emil, głupi jesteś. Kobiety na te sprawy patrzą inaczej. – Sándor łyknął wiśniówki.

– Słuchaj, Sándor. Może ja i głupi jestem. I żaden ze mnie wielki pan. Ot, prosty człowiek. Ale powiem ci tak. Nie ma co wkładać wszystkiego pod jeden kapelusz. To, że była zaręczona z odważnym, honorowym patriotą, nie oznacza jeszcze, że nie masz szans. Może i nie wykazałeś się męstwem w boju, ale dobry z ciebie człowiek. Do tego zamożny i niczego sobie. A że nie wążesz się z nikim na dłużej, to też dobrze.

Znaczy, że żadna z tych kobiet nie jest dla ciebie wystarczająco ważna. Tak to trzeba przedstawić, jak przyjdzie co do czego.

Sándor machnął ręką.

– Polej jeszcze. Powiedz lepiej, jak zbiory.

U adwokatowej przepędzili całe popołudnie. Kiedy omówili sprawy węgierskie i rządu w Budapeszcie i wzniesli wystarczającą liczbę toastów za pomyślność rodzimej ziemi oraz jej mieszkańców, Sándor pożegnał się wylewnie z Anielą Solikową. Ucałował jej dłonie, uiścił opłatę w wysokości sześciu złotych za posiłek oraz piętnastu za karafkę likieru i zapowiedział się na obiad następnego dnia o zwyczajnej porze.

*

Frania wracała z pracy na piechotę. Kiedy mijiała skład Sándora, usłyszała dochodzące ze środka śmiechy, dźwięk wiolonczeli i wycie Balatona. Przystanęła. Przyjazd Emila z nowymi zapasami wina zawsze miał tak wesoły obrót. Była pewna, że w ciągu kilku kolejnych godzin świętowanie nowej dostawy jeszcze nabierze rozmachu. Zaraz ktoś przyniesie harmonię, ktoś inny zacznie tańczyć czardasza. A około dziewiątej zwyczajowo zjawi się policja wzywana przez inżyniera Więckowskiego, który poskarży się na cudzoziemców oraz brak poszanowania ciszy nocnej, i całe towarzystwo przeniesie się do „Heńka”, gdzie ani czardasze, ani podniesione głosy nikomu nie przeszkadzają. Wręcz przeciwnie.

Frania miała ochotę do nich dołączyć, dać się porwać muzyce i wina lejącemu się strumieniami, byle zapomnieć o szantażyście. Podeszła bliżej i dotknęła klamki. Stała przez chwilę, nasłuchując odgłosów dochodzących zza drzwi. Śmiech Sándora wybijał się ponad skoczną muzyczkę, którą bez wątplenia osobiście wygrywał na wiolonczeli. Zupełnie niespodziewanie jego beztroski humor ją rozgniewał. Bawił się w najlepsze i nawet nie poświęcił chwili, by zapytać, czy wszystko u niej w porządku! Zbywał ją i mimo że, odkąd dostała ten paskudny anonim, widziała się z nim dwa razy, nie miała okazji, by mu o tym powiedzieć.

Cofnęła się.

Czas uciekał, musiała dotrzeć do szantażysty.

Obróciła się i pobiegła do domu.

Trzasnęła drzwiami mocniej, niż zamierzała. Rzuciła torebkę i rękawiczki na stolik pod lustrem, powiesiła krzywo płaszcz i wpadła do kuchni. Było tu gorąco, a powietrze było lepkie od pary unoszącej się znad olbrzymich garnków z wodą stojących na piecu. Pachniało krochmałem. Marynia pochylona nad wielką balią sypała płatki mydlane do gorącej wody. Pod oknem siedział Józio zaopatrzony w kubeczek z mydlinami i słomkę. Bezskutecznie usiłował wydymuchać bańkę, za to całkiem skutecznie opluwał sobie brodę i Iniany kaftanik. Frania usiadła obok niego na podłodze. Wzięła do ręki słomkę i już po chwili w powietrzu tańczyło kilkanaście baniek mydlnych. Józio zaczął się śmiać.

– Maryniu, kto przyniósł ten list wczoraj? Ten w białej kopercie. Chyba nie listonosz? Nie ma znaczką.

– A ja tam nie wiem, zapyta pani tego, co list napisał, komu list dawał – powiedziała Marynia i zaczęła energicznie trzeć malarskie kimono Frani na tarze do prania.

– Kiedy nie mogę, bo list niepodpisany! Czy to był jakiś lokalny dzieciak? Zna go Marynia z widzenia? Może to był chłopak od Szymańskich? On często z przesyłkami lata.

– A co to za różnica, kto przyniósł? Ważne, że doniósł, co nie?

Frania, zniecierpliwiona, mocniej dmuchnęła w słomkę, zamiast bańki produkując mokrego kleksa na bluzce.

– Maryniu, bardzo proszę się skupić. To ważne! Kto dostarczył ten list? Marynia otarła czoło mokrą dłonią, spojrzała na Franię spode łba.

– Przecież mówię, że nie wiem! Ktoś wsunął pod drzwiami! Poszłam na górę, do siebie, położyć Józinka, bo markotny był jakiś, a jak wróciłam, to list leżał na dywaniku w przejściu. Pewnie doręczyciel dzwonił, ale pani znowu nie słyszała. Jak artystka maluje, to świata nie widzi i nie słyszy! A świat przecież nie stoi w miejscu i nie będzie czekał, aż artystka zrobi sobie przerwę!

– Ale co się Marynia tak oburza! Nie wie Marynia, to nie wie!

– Przecież mówię, że nie wiem!

– Dobrze, dziękuję, przyjmuję to do wiadomości.

– No i hej! – zakończyła rozmowę Marynia.

Zapadło milczenie. Frania poczęła wydmuchiwać kolejne bańki. Piski zadowolonego Józia mieszały się z chlupotem wody i miłym odgłosem prania przesuwanego energicznie po metalowej tarze. Frania pogrążyła się w niewesołych myślach. Zostały jej dwa dni na zidentyfikowanie szantażysty. Jeżeli był sprytny, to przekazał list przez kilku posłańców, tak żeby trudno było do niego dotrzeć. Jak ma zrobić jakikolwiek postęp, kiedy Marynia nie mogła jej pomóc zidentyfikować nawet doręczyciela. A przecież pewnie będzie musiała dotrzeć do jeszcze kilku pośredników. Trudna sprawa, nóżki baranie... Ale chwileczkę, przecież był ktoś jeszcze, kto mógł znać dostarczyciela listu! Że też nie pomyślała o tym wcześniej! Frania zerwała się na równe nogi.

– A dokąd to? – Marynia wycisnęła kimono.

Frانيا nie odpowiedziała. Wypadła z kuchni, złapała z wieszaka wełniany szal i przeskakując co drugi stopień, pobiegła na ostatnie piętro. Minęła szereg drzwi, zapukała do ostatnich, położonych najdalej w głębi korytarza i czekając na odpowiedź, wsparła się rękami o kolana, by złapać oddech. Po chwili usłyszała szuranie i w drzwiach stanął dozorca Czesław Cieplik.

– Powiedźcie mi, dobry człowieku: czy widzieliście, kto wczoraj dostarczył do mnie list?

Czesław Cieplik popatrzył na nią zdumiony. Zaraz jednak konsternacja ustąpiła miejsca obawie. Prawdę powiedziawszy, Czesław Cieplik do swoich obowiązków nieszczególnie się przykładał. Nie wynikało to z lenistwa, ale z głębokiego osobistego przekonania, że gdzieś tam wysoko, może na Księżycu, a może na którejś z gwiazd, istnieje życie podobne do tego na Ziemi. Celem potwierdzenia tej teorii dozorca Cieplik regularnie oddawał się obserwacji nocnego nieba bezpośrednio z dachu kamienicy tudzież przez lunetę wycelowaną w górę z okienka niewielkiego pokoiku na poddaszu. Toteż we dnie, które następowały po bezchmurnych nocach, notorycznie walczył z sennością, a ta ostatecznie zwykle triumfowała i najczęściej dozorca po prostu drzemał na krzeselku w głębi podwórza wsparty na miotle. Sen miał twardy i niewiele mogło go z niego wyrwać – ani kataryniarze, ani nieszczędzący swoich strun głosowych obwoźni sprzedawcy, ani nawet ćwicząca swoje pieśni przy otwartych oknach pani Rozenkier. I choć Antoni Cieplik miał świadomość zaniedbań, jakich się dopuszczał, a nawet było mu z tego

powodu trochę wstyd, to w życiu by się nie przyznał, że coś umknęło jego uwadze.

– A widziałem, oczywiście, że widziałem! – powiedział z mocą.

– A zatem kto?

Dozorca zamrugął gwałtownie.

– No... ten!

– Który?

– No mówię przecież, że ten tego!

Frania popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Nikogo pan Cieplik nie widział!

– Ale! Takiej potwarzy to ja nie zdzierzę. Przecież na tym polega praca dozorczy. Żeby dozorować. I porządek utrzymywać, i patrzeć, kto idzie i z jakim interesem, i ewentualny podejrzany element obezwładniać. Ja mam oczy dookoła głowy! Wszystko widzę!

– Ale doręczyciela mojego listu pan nie widział!

– Ale widziałem, oczywiście, że widziałem! – powtórzył Czesław Cieplik. – To był... no... ten!

A niech go nóżki baranie! Frania prychnęła oburzona, odwróciła się na pięcie i stanęła oko w oko... z kotem Maryni. Siedział na środku korytarza i patrzył na nią, była tego pewna, ironicznie! No tak. Tylko ktoś bardzo naiwny albo bardzo zdesperowany mógł liczyć na czujność Czesława Cieplika.

– Musiałam spróbować! – wytłumaczyła się kotu.

Odpowiedziało jej ciche miauknięcie.

Frania minęła Felka, chwyciła się poręczy i zaczęła powoli schodzić na dół.

Odgłos jej kroków odbijał się cichym echem po pustej klatce schodowej i mieszał z przytłumionymi odgłosami z mieszkań sąsiadów. Życie w kamienicy toczyło się swoim rytmem niezależnie od chwilowych kłopotów Frani.

Kiedy mijała powoli kolejne drzwi, dostrzegając po raz pierwszy, odkąd tu zamieszkała, te okruchy codzienności obcych w zasadzie ludzi, poczuła ogarniające ją wzruszenie. Dlaczego? Przecież oprócz wspólnego adresu i kurtuazji wymienianych przy przypadkowych spotkaniach nic jej z nimi nie łączyło.

Kiedy wreszcie stanęła przed wejściem do własnego mieszkania, w ciemności panującej na korytarzu dostrzegła niewyraźny zarys mosiężnej tabliczki z własnym nazwiskiem. Łzy napłynęły jej do oczu. To było jej miejsce, jej dom! Nie mogła wrócić do Leosina, gdzie każdy kamień, każda grusza, nawet rzenie koni przypominało jej Sewera. To było zbyt bolesne. Nie po to zaczynała życie od nowa, by teraz wrócić do starego. I to przez jeden głupi błąd!

Otarła łzy i zacisnęła pięści.

– Tańscy się nie poddają.

Wysokie marmurowe ściany zwielokrotniły jej szept, jakby chciały potwierdzić rodzinną prawdę i dodać otuchy.

Frania odwróciła się i zbiegła na dół.

Ruszyła szybkim krokiem. Zapadał zmrok. Z okien składu Sándora biła zachęcająca łuna światła. Z każdym krokiem dźwięki wiolonczeli i harmonii stawały się coraz głośniejsze. Przeszła na drugą stronę ulicy i minęła skład, nie zaglądając nawet do środka.

Po kilku minutach marszu dotarła do niepozornego budyneczku na jednej z sąsiednich ulic. W bramie wisiało kilka koślawych emaliowanych tabliczek, jedne większe, drugie mniejsze, wszystkie nadgryzione zębem rdzy. Wśród nich była i ta:

Krzesła
Wyplatanie – naprawa – solidnie
J. Szymański
Po schodkach w dół

A zatem dobrze trafiła.

Zeszła do niewielkiej suteryny. Mimo wieczornego chłodu drzwi były otwarte na oścież. Frania zatrzymała się w progu jak zaczarowana. Nie bywała w takich miejscach. Pomieszczenie wypełnione było krzesłami z giętej buczyny. Były ich dziesiątki – w każdym popularnym kształcie i rozmiarze. Jedne były błyszczące, świeżo polakierowane, inne zaś matowe, odrapane, z farbą odłóżącą płatami. Były krzesła połamane, pokrzywione, bez jednej nogi albo bez oparcia. Były i takie w idealnym stanie.

Krzesła wisiały na ścianach.

Krzesła tworzyły sięgające po sufit wieże, stopy i piramidy.

Krzesła, wszędzie krzesła!

I tylko na środku, na niewielkim skrawku wolnej od krzesel przestrzeni siedział, o ironio, na podłodze, przy lichej naftowej lampie mężczyzna pochłonięty naprawą dziurawego siedziska. Zgrubiałe i poczerniałe od odmrożeń palce z zadziwiającą zręcznością tańczyły między splotami plecionki z konopnego sznurka.

Kiedy Frania się przywitała, podniósł na nią przekrwione oko. Od Maryni wiedziała, że drugie stracił podczas bitwy nad Berezyną.

– Sprawę mam do waszego syna.

– A franca wi, gdzie go cholera nosi! – Machnął ręką. – Pani pójdzie pod „Słupnika”, może tam jest.

– Pod co?

– Pod kolumnę Zygmunta, mówię przecież.

Podziękowała i odeszła kilka kroków. Odwróciła się i jeszcze raz spojrzała zafascynowana na plątaninę krzesel. Namalować coś takiego to by było dopiero coś! Podrapała się po policzku w zamyśleniu.

Nóżki baranie! Skup się! Szantażysta jest do zdemaskowania!

Wzdrygnęła się i ruszyła we wskazane miejsce.

Było zimno, a szal, który naprędce zabrała z domu, nie dawał ochrony przed chłodem wrześniei nocy. Szkoda było jednak czasu, by wracać po jesionkę. Młody Szymański stanowił ostatnią, nikłą co prawda, ale jednak nadzieję, że się dowie, kto był nadawcą anonimu. Frania wiedziała, że przewodził grupce wyrostków pętających się po okolicy. Grali po bramach w zośkę, strzelali z procy do gołębi i zakradali się do sadów za rogatkami miasta po papierówki. Młody Szymański czasami też dorabiał, roznosząc gazety, załatwiając drobne sprawy na mieście albo nosząc przesyłki poza oficjalnym obiegiem pocztowym. W okolicy słynął z szybkości, więc jeżeli szantażysta mieszkał niedaleko albo orientował się w dzielnicowych układach, musiał go uwzględnić jako ostatnie ogniwo łańcucha doręczycieli.

Frania dotarła wreszcie do placu Zamkowego i zbliżyła się do kolumny Zygmunta. W grupce chłopaków siedzących na cokole rozpoznała młodego Szymańskiego. Nie można go było pomylić z nikim innym. Miał ogniście rude włosy, które sterczały na wszystkie strony spod kaszkietu w kratkę.

– Za pięć druga, kopsnij pani szluga – odezwał się, kiedy zbliżyła się do nich.

– Jaka druga? A poza tym czy ty nie jesteś za młody na palenie tytoniu?

– A czy pani nie jest zbyt arystokratyczna, by pod „Słupnikiem” jakiś interes mieć?

Zebrani wokół niego zarechotali. Franię zaś zatkało na chwilę z oburzenia.

– Żadnego interesu nie mam! Informacji jedynie chciałam zasięgnąć, to chyba nie zbrodnia.

– Zbrodnia nie, ale wiedza kosztuje. Co z tem szlugiem?

Frania się zawahała. Sięgnęła jednak do kieszeni spódnicy i wyciągnęła srebrną papierośnicę. Wieczko błysnęło w świetle księżycy, który akurat wyłonił się zza chmur.

Młody Szymański wsadził papierosa do ust i zapalił, osłaniając brudną dłońią ogieniek ledwo się tłący na końcu zapałki. Cisnął zapałkę na ziemię i dmuchnął w górę dymem. Frania spojrzała niepewnie na jego kompanów. Wykonał nieznaczny ruch głową, a oni rozproszyli się posłusznie, kryjąc się w cieniach zalegających na obrzeżach placu.

– Nośłeś ostatnio jakieś listy do mnie na Żurawią? – zapytała.

– Nośiłem. Nie dalej jak wczoraj jeden przecież zanięstem.

Serce Frani zaczęło bić szybciej. A jednak!

– A od kogo ten list dostałeś?

– Po prawdzie to go nie dostałem, tylko zabrałem.

– Jak to?

– Ano tak to! – Na piegowate policzki Szymańskiego wystąpił rumieniec. – Stoję z ferajną pod zakładem ojca, rozmawiamy, elegancko. Nagle patrzę, jakiś ordynus z innej parafii idzie. A tak mu się śpieszy, że mnie potrącił. Chwileczkę, hamuj piętą, mówię. A on nic! Dalej leci! Jak go nie wezmę pod fleki, jak go nie grzmotnę w kinol! – Wyprowadził w powietrzu prawy sierpowy. – Ale on był zwinniejszy, trzasnął mnie w makówkę. Mgło mi się zrobiło! Rany koguta! Ale po chwili doszedłem do siebie i jak go nie capnę za kapotę! – Chwycił w powietrzu niewidzialnego przeciwnika. – I pytam: coś ty za jeden i po co cię tu do nas licho przyniosło? A on na to, że jezd Tolek z Powiśla i z listem idzie. Obszukalimy go i zabrali mu ten list. Pytam, ile za doręczenie

dostał, a on, że dwie dychy. Sporo! Widać list pilny. No to powiedziałem, że już ja ten list za niego doręczę, wziąłem od niego dyszkę za fatygę i z biglem poleciałem do pani. Uczciwy interes, bez uwag.

Ponownie zaciągnął się papierosem i spojrzął na Franię wielce zadowolony.

– A on od kogo ten list dostał?

– A to nie wiem, nie pytałem.

– A dowiesz się?

– Pani sianowna, dowiem się, co mam się nie dowiedzieć.

– Na jutro?

– Jak sobie pani sianowna winszuje – powiedział, nie wyjmując papierosa z ust. – Będzie pani zadowolniona.

Wyciągnął ku Frani dłoń i z poufałością, która była zupełnie nie na miejscu, mocno potrzęsął jej ręką.

WTOREK, 16 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Frania źle spała. Niespokojnymi myślami krążyła wokół szantażysty i nikłej nadziei na dotarcie do niego, zanim upłynie termin, który wyznaczył. O czwartej nad ranem z płytkiego snu wybudziła ją dochodząca z ulicy węgierska przyśpiewka śpiewana na dwa głosy. Ach, ten Sándor! Odrzuciła kołdrę i bosą, w nocnej koszuli poszła do pracowni. Zapaliła kilka świec i zabrała się za malowanie.

Szarzało, kiedy drzwi do pracowni otworzyły się z takim impetem, że zadrzała obstalowana w nich szyba z mrożonego szkła. Frania się odwróciła. W progu stała Marynia. Granatowy fartuch w białe pasy opinał jej pulchne ciało. Wzięta się pod boki i odchyliła do tyłu, mierząc Franię spojrzeniem od stóp do głów.

– A co pani tu robi?

– Maluję! O co znowu Maryni chodzi?!

– Przecież mówiłam! Trzy razy mówiłam! – zaperzyła się Marynia. – Froterowanie podłóg na dzisiaj zamówiłam. Zwierzchowski z Brackiej będzie tu lada chwila.

Frania machnęła ręką.

– A to dobrze, dobrze.

– Co dobrze? Dywany trzeba pozwijać, meble będzie odsuwał. A pani się ubiera i idzie do muzeum. Nie będzie przecież Zwierzchowski między nogami z froterką latał.

Frania spojrzała na nią zaskoczona.

– A która godzina?

– A po ósmej!

– Nóżki baranie!

Frania rzuciła pędzel do słoika z terpentyną i pobiegła do buduaru.

– No i hej! – powiedziała Marynia, po czym z zaciętym wyrazem twarzy przystąpiła do wynoszenia sztalug i przyborów malarskich do spiżarni, gdzie miały bezpiecznie przeczekać wizytę frotera Zwierzchowskiego. Przesuwanie mebli może i było w cenie usługi, ale Marynia nigdy nie pozwoliłaby nikomu obcemu dotykać płócien Frani.

Frania tymczasem złapała pierwszą z brzegu sukienkę, żakiet oraz – zakupiony za namową Loli – toczek w kolorze śmietany, opatrzony niewielką woalką z siatki. Było to nader niepraktyczne nakrycie głowy. Woalka wcale nie chroniła przed słońcem, opadała bowiem tylko na jedno oko, a włosy już po kilku minutach noszenia tego wynalazku były całkowicie oklapnięte. Zatem po jego zdjęciu wyglądała jak, nie przymierzając, szczenię basseta. Za to tak długo, jak toczek pozostawał na głowie, mimo swoich oczywistych wad konstrukcyjnych, dodawał niezaprzecznego szyku. Tak wystrojona rozpyliła porządną chmurę perfum Gri Gri z poznańskiej fabryki perfum i kosmetyków J. & S. Stempniewicza. Zanurzyła się w niej na chwilę, po czym ruszyła do muzeum.

Na końcu ulicy Żurawiej wpadła na wracającego z porannego spaceru z psem Sándora. Wyglądał nienagannie, jak przystało na właściciela poważnego interesu o tak wczesnej porze. Wypastowane buty lśniły, kwiat w butonierce był pierwszej świeżości. Pod pachą trzymał gazetę.

Balaton skoczył na Franię, wyraźnie zadowolony ze spotkania. Podrapała go po głowie, a wesołe powitanie Sándora zbyła mruknięciem.

– Dlaczego nie przyszaś wczoraj? Czekaliśmy.

– Byłam zajęta.

– Ach tak. Telefonowałam do ciebie kilka razy, ale nikt nie odbierał.

– Cóż. – Frania zaczęła gmerać przy siatkowej woalce. Drażniła ją. Miała wrażenie, że prawe oko ucieka jej w bok w związku z częściową blokadą pola widzenia.

– Wiesz przecież, że lubię świętować szczęśliwą przeprawę tokajów przez Karpaty z przyjaciółmi. Brakowało mi Ciebie.

Frania w końcu odgięła woalkę do góry, wydając przy tym pełne frustracji mruknięcie.

– Rozumiem. Jestem jednak pewna, że nie naraziłam Cię na zbyt wielką przykrość. Sądząc po odgłosach przewalających się przez ulicę nad ranem, dobrze się bawiłeś beze mnie.

– Oj, Franiu, nie dąsaj się już.

– Wybacz, Sándorze, śpieszę się.

Wyminęła go i ruszyła przed siebie.

To doprawdy zabawne. Jemu brakowało jej towarzystwa! A przecież od dwóch dni nie mógł znaleźć dla niej ani chwili. Jak nie Irma, to Emil. Jak nie beczki z tokajem, to czardasze do białego rana. Nawet do głowy mu nie przyszło, że ją, Franię, coś mogło trafić! Myśli, że się dąsa jak jakaś głupia pensjonarka albo, nie przymierzając, ta jego Irma! A ona ma tymczasem na głowie prawdziwego szantażystę, który gotów jest nie wiadomo na co. I sama musi sobie z nim radzić. Zupełnie sama!

Frania poczuła łzy napływające do oczu. Zaciśnęła pięści i przyspieszyła kroku. O nie, nie będzie płakać.

Kiedy zbliżała się do muzeum, w drobnej, eleganckiej sylwetce krążącej niespokojnie pod drzwiami rozpoznała Lolę. Wyglądała oczywiście doskonale. Miała na sobie wełnianą białą suknię haftowaną kolorem bleu pastel, z plisowaną pelerynką. Spod dobranego pod kolor kapelusika spływały błyszczące włosy w naturalnym odcieniu wysokich traw, starannie ułożone w płaskie fale. Znac było rękę Leona, którego salon czesania pań słynący z pierwszorzędnych sił fachowych Lola miała w zwyczajcu odwiedzać w każdy wtorek rano.

– Jesteś! – powiedziała z wyraźną ulgą. Wyraz jej twarzy jednak gwałtownie się zmienił, kiedy Frania znalazła się w odległości kilku kroków.

– Czemu tak na mnie patrzysz?

Lola bez słowa złapała ją za łokieć i pociągnęła w głąb sąsiedniej bramy. Wyciągnęła z torebki puderniczkę z lusterkiem.

– Wyglądam jak doktor Caligari! – jęknęła Frania, kiedy spojrzała na swoje odbicie. Widać tych kilka niechcianych łez otartych w drodze do pracy rozmazało jednak makijaż. Do tego ta stercząca do góry pogięta woalka!

– Aż tak źle nie jest – zaśmiała się Lola i zajęła się ścieraniem chusteczką śladów łap Balatona z sukienki Frani.

– Nic dziwnego, że wszyscy się na mnie gapili! A ja myślałam, że przyciągam spojrzenia, bo raz dobrze wyglądam dzięki temu toczkowi – powiedziała, zdejmując kapelusz.

Lola się skrzywiła, widząc oklapniętą fryzurę, i pokręciła głową. Frania z ciężkim westchnieniem ponownie nałożyła toczek i pozwoliła Loli poprawić woalkę.

– Lepiej nie będzie.

– Trudno. – Frania oddała puderniczkę. – Co ty tutaj robisz?

– Czekam na ciebie! Nie zmrużyłam oka od dwóch dni. Dowiedziałaś się czegoś o tym szantażyście?

– Nie, ale jestem blisko.

Lola spojrzała na nią powątpiewająco.

– Naprawdę!

– Franiu, musisz go powstrzymać! Strasznie się boję, że cała ta sprawa wyjdzie na jaw. A wtedy będę skończona! Widzę te nagłówki: Leontyna Nowicka włamuje się po nocach do muzeów!

– Spokojnie.

– To będzie koniec! Całkowity upadek!

– Lolu, mówiłyśmy już o tym. Zajmę się tą sprawą. Przypominam ci, że to ja jestem szantażowana, a nie ty.

Lola opuściła głowę. Frania objęła ją mocno.

– Nie martw się na zapas i czekaj na wiadomość ode mnie. Muszę już iść. Jestem spóźniona trzy kwadransy.

Lola pokiwała ze zrozumieniem głową i wyprostowała się dumnie, unosząc podbródek. Frania zrobiła to samo. Skinęły sobie głowami na pożegnanie i oddaliły się w przeciwnych kierunkach.

Frانيا pchnęła drzwi muzeum. Pan Miecio, zajęty oglądaniem pod światło niewielkiej koperty, zerwał się z krzeselka przy stróżówce. Spojrzył na nią, przekrzywiając głowę, jakby coś zastanowiło go w jej wyglądzie.

– Wiadomość mam dla pani – powiedział. – Od inspektora Sztaby. Był tu, uważa pani, dziś rano.

Frania uśmiechnęła się z przymusem, by ukryć irytację, i rozerwała kopertę. Spojrzała przy tym z ukosa na pana Miecia, który zachowując minimalną odległość, jaką można uznać za stosowną, gdy ktoś obok czyta prywatną wiadomość, starał się jednocześnie w sposób niezbyt dyskretny skrócić dystans, jaki dzielił go od zapisanej prostym pismem kartki. Wspiął się na palce, wyciągnął szyję i maksymalnie wybałuszył gałki oczne.

*Pozwalam sobie szanownej pani łaskawie
przypomnieć, że chciałbym z nią jak najszybciej
pomówić. Uprzejmie proszę o zjawienie się na
posterunku w trybie pilnym.
Z wyrazami szacunku
Remigiusz Sztaba*

Frania wepchnęła kartkę do torebki. No cóż. Inspektor Sztaba będzie musiał poczekać. Najpierw praca. A potem szantażysta. Odgięła ponownie irytującą woalkę do góry i popędziła do galerii na pierwszym piętrze.

*

Młody Szymański z rękoma założonymi na piersi opierał się o skrzydło bramy. Kopał przy tym jakby od niechcienia zakurzonym butem pokrytego zielonkawą śniedzią brodatego krasnala, który chronił narożniki przed zniszczeniem. Frania na widok rudej czupryny przyspieszyła kroku.

– Mów! Dowiedziałeś się?

– Pewnie, co się miałem nie dowiedzieć. Znalazłem tego Tolka. Nie chciałem gadać, ale go przekonałem. I wszystko jasne.

– Mówże!

– Chwilczkę! Ile warta jest dla pani ta informacja?

Frania sięgnęła do torebki.

– Zara! Nie o pieniądze się rozchodzi!

– A o co? – Frania spojrzała na niego podejrzliwie.

– Sianowna pani maluje?

Frania wzruszyła ramionami.

– To mi pani machnie jaki obrazek. Najlepiej z różami.

– Po co ci obraz z różami?

Młody Szymański naciągnął kaszkiet na czoło, ukrywając oczy. Zarumienił się przy tym i mocniej kopnął krasnała.

– Dla Helci, co w jatce sprzedaje.

Frani nie uśmiechało się malowanie róż. Ledwo dawała radę pracować nad swoją martwą naturą. Z drugiej strony, jeżeli nie rozmówi się z szantażystą, Sztaba niechybnie wsadzi ją do aresztu, a tam to już nic nie namaluje. O nóżki baranie! Też sobie walutę wymyślił!

– Zgoda – powiedziała niechętnie. – Byle nie za duży.

Młody Szymański wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nim Frania zdążyła się zorientować, chwycił jej dłoń i potrząsnął nią z takim entuzjazmem, że omal nie wyrwał jej ręki. Frania wzdygnęła się. Rzadko miała do czynienia z takim ostentacyjnym brakiem ogłady.

– A zatem kto jest nadawcą tego listu?

– Ten Tolek z Powiśla list dostał od jakiejś kobity – powiedział.

– I? Masz coś więcej?

– O, pewnie, że mam, co mam nie mieć.

– Mów!

Młody Szymański chrząknął, przestąpił z nogi na nogę.

– Ten Tolek mówi, że kobita była niczegowata, ubrana po tamtejszokrajowemu, bardzo elegancko. Szal z popielic miała na ten przykład.

Frania zmarszczyła brwi i nos. Irytacja, która przed chwilą ją ogarnęła, zaczynała przeradzać się w gniew. Postąpiła krok naprzód.

– I to tyle? Niczegowata kobita? Co to w ogóle znaczy? Zmyślasz! – Złapała go za poły kurtki.

– Ja? Zmyślam? O, sianowna pani, ja swój honor mam! I uważanie dla kobit. Nie oszukałbym sianownej pani!

– No dobrze. – Puściła go. – A nazwisko? Albo chociaż rysopis? Brunetka, blondynka?

– Nic więcej nie dało się z niego wydobyć. – Młody Szymański rozłożył ręce.

– A może on to zmyślił?

– Może, cholera go wi.

Frania gniewnie zmrużyła oczy.

– To ja podskoczę po ten obrazek za jakiś tydzień. Tylko żeby galantny był – powiedział szybko.

Klepnął Franię w ramię, czym wprowadził ją w osłupienie jeszcze większe, niż gdy nonszalancko potrząsał jej dłońią, po czym oddalił się z rękami w kieszeniach, gwizdząc jakąś wesołą melodię.

Frania oparła się o skrzydło bramy.

„Jestem zgubiona” – pomyślała.

ROZDZIAŁ IX

W KTÓRYM FRANIA DEMASKUJE SZANTAŻYSTĘ I WPADA NA POMYSŁ POŁĄCZENIA SIĘ ZE SWOJĄ PODŚWIADOMOŚCIĄ

ŚRODA, 17 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Listonosz Jerzy Matusiak szedł powoli zaciemioną stroną ulicy Senatorskiej. Wyjadał z papierowej torebki mirabelki i pluł na boki pestkami, rozmyślając o skomplikowanych relacjach warszawskiej socjety. Jego rewir obejmował śródmieście i jedną z zamożniejszych dzielnic. Ponieważ miał pogodne usposobienie, a z natury był gadatliwy, toteż służba, która odbierała od niego korespondencję, chętnie dzieliła się z nim szczegółami z życia swoich pracodawców. A czego Jerzy Matusiak się nie dowiedział, to sobie dopowiedział.

Ustalił na przykład, że romans pani Ołtuszewskiej z panem Lipskim dobiegł końca, gdy w pewien wtorkowy poranek wśród listów, które temuż dostarczył, brakło niewielkiej koperty z inicjałami Z.O. pachnącej pudrem i różami. Nie zdziwił go też nagły wyjazd do wód pana Bułty, po tym jak liczba listów od wierzycieli podwoiła się w ciągu zaledwie tygodnia. To nie mógł być przypadek, o nie. Tak, Jerzy Matusiak, gdyby tylko zechciał, mógłby konkurować z rubryką towarzyską Loli Nowickiej.

Kiedy zamyślony listonosz dotarł na komisariat policji pod numerem 12, jego oczom ukazał się obraz niecodzienny. Za rosnącym nieopodal bujnym krzakiem bzu, który zdobiły suche girlandy przekwitniętych kwiatów, czaiła się kobieta. Rozpoznał ją. To była ta malarka z ulicy Żurawiej, Tańska. Ta, co rzucała obrazami przez okno, jak miała zły humor. Pomachała mu i nerwowym gestem przywołała ku sobie.

– Jak dobrze, że pan jest! – powiedziała, wyskakując zza krzaka. W rudych włosach spływających spod wcale zgrabnego kapelusza z jaskrawo zielonym piórem dostrzegł brunatne płatki przekwitniętych kwiatów. – Głupstwo, zrobiłam wielkie głupstwo! Musi mi pan pomóc!

– O co chodzi? – zapytał Jerzy Matusiak niewyraźnie. Przed chwilą zjadł ostatnią mirabelkę i nie bardzo miał co zrobić z pestką. Nie wypadało przecież splunąć w towarzystwie damy.

– Napisałam list, a teraz żałuję! Nie może pan go dostarczyć. Proszę mi go oddać!

– No, ale jak to tak? – Jerzy Matusiak spojrzał na nią podejrzliwie.

– Bo widzi pan... to jest list miłosny. A ja właśnie się dowiedziałam, że adresat jest żonaty! Przysięgam, że o tym nie wiedziałam. I teraz chciałabym ten list odebrać.

Listonosz się zawahał.

– Ach, proszę pani! Korespondencja rzecz święta! Jak by to było, gdybym dostarczał listy nadawcom, a nie adresatom? Świat na opak, ot co.

– Błagam pana! On ma żonę! Proszę sobie wyobrazić, jak to biedaczką wstrząśnie, jeżeli znajdzie ten list – powiedziała i załkała dla efektu, ocierając koronkową chusteczką niewidzialną łzę.

Jerzy Matusiak podrapał się po głowie. Widok płaczącej kobiety zawsze uprawiał go w nerwowe zakłopotanie.

– No dobrze, a do kogo ten list? – Zajrzał do torby.

– Do inspektora Sztaby. Taki w białej kopercie, chyba. Anonimowy. Jestem raczej nieśmiała. – Frania wbiła wzrok w trotuar i czubkiem pantofelka zaczęła wiercić dziurę.

Listonosz Matusiak zaśmiał się szczerze, ale śmiech ten szybko przeszedł w niepokojący charkot, gdyż pestka, którą skrywał dotąd pod językiem, utknęła mu niespodziewanie w gardle.

– Pan się dusi! – Frania doskoczyła do niego przestraszona i uderzyła go kilka razy w plecy.

Listonosz zacharczał i połknął pestkę.

– Już, już! – Uniósł ręce i nabrał powietrza w płuca. – Pani kochana się nie obawia! Inspektor Sztaba nie ma żony. Proszę mi wierzyć, jego mieszkanie jest w moim rewirze. A zatem może mu pani dać znać o swoim afekcie. – Zamknął zamaszystym ruchem torbę i zadowolony z pomyślnego rozwiązania sprawy, wszedł po schodkach do komisariatu.

Frania została sama pod krzakiem, niepewna, co dalej począć. Przechwycenie anonimu się nie powiodło. Niedobrze. Nie zdążyła się nawet zorientować, czy list był w torbie listonosza. Mogłaby spróbować wydobyć kopertę od dyżurnego policjanta, ale nawet skłonnej do ryzyka Frani pomysł ten wydał się tak głupi, że szybko go odrzuciła. No nic. Przyjdzie chyba czekać na rozwój wypadków i liczyć na to, że szantażysta nie spełnił groźby. Albo Sztaba nie potraktuje jej poważnie. Przecież, tak na chłopski rozum, niedorzecznością byłoby uwierzyć, że Franciszka Eleonora Tańska, cioteczna wnuczka Eleonory Hardt, ma na sumieniu nocne włamanie do muzeum. Z drugiej strony Sztaba już od tygodnia domagał się rozmowy z nią w cztery oczy. Na pewno ją podejrzewa, a ten donos tylko utwierdzi go w przekonaniu, że Frania jest w tę kradzież zamieszana. Cholera jasna i nóżki baranie!

Mogłaby teraz do niego zajść, skoro już tu jest.

Nie! Lepiej nie! Po co kusić los?

Frania poprawiła kapelusz i już zbierała się do odejścia, gdy nagle drzwi komisariatu się otworzyły. Zamarła. W jednej chwili zrozumiała, kto ją szantażował! Tolek z Powiśla i młody Szymański mówili prawdę. Niczegowata kobita ubrana po temtejszokrajowemu! Pojęła również, że wysiłki przechwycenia listu pod komisariatem były z góry skazane na porażkę. Zamiast bowiem uciekać się do anonimowego donosu, szantażystka osobiście pofatygowała się na posterunek.

Na szczycie schodków w towarzystwie uśmiechniętego inspektora Sztaby stała Irma Firlej. Wyglądała na zadowoloną jak kotka, która właśnie połknęła kanarka. Fiołkowe oczy miała lekko zmrużone, a kąciki ust pociągniętych szminką w kolorze kwitnących maków lekko uniesione.

Frania zacisnęła dłonie tak mocno, że aż pobieleały.

– To ty! – Rzuciła się ku schodom. – Ty podła donosicielko!

Irma zbladła, w jej oczach błysnął strach. Frania skoczyła ku niej, chciała ją uderzyć, rzucić ze schodów albo jeszcze lepiej – wepchnąć w błoto i śmieci, które po nocnym deszczu zebrały się w rynsztoku. Inspektor Sztaba okazał się szybszy, złapał Franię za rękę i niczym niesforne dziecko pociągnął ku sobie.

– Zapraszam panią do środka!

Frانيا się wyrwała i z godnością wygładziła fałdy spódnicy.

– Dziękuję, nie skorzystam.

– Pani Franciszko, proszę ze mną! – powtórzył Sztaba i przytrzymał drzwi.

Frانيا wzniosła oczy ku niebu i z rezygnacją weszła na posterunek. Zanim drzwi się za nią zamknęły, odwróciła się do Armii. Napotkała spojrzenie tak błękitne i zimne jak skutny lodem Bug.

*

Inspektor przeprowadził Franię przez posterunek i poprosił, by zaczekała. Usiadła na twardym krześle i wbiła spojrzenie w swoje buty. Nikczemna, mała Irma! A więc to tak! Tak się będzie mścić? Uciekając się do takiego podłego szantażu?

– Psssst! – usłyszała nagle dochodzący gdzieś z boku znajomy głos.

Podniosła głowę i w końcu korytarza dostrzegła niewielką okratowaną celę. W środku, na drewnianej ławie siedziała Teofila Szum.

– O, to pani! – Frانيا się uśmiechnęła. Miło było spotkać w tej sytuacji kogoś znajomego, nawet jeżeli była to tylko przelotna znajomość z medium o wątpliwej reputacji. – Trzymają tu panią od zeszłego wtorku?

– A skąd! – Teofila machnęła ręką i od razu sięgnęła do kruczego piórka we włosach, sprawdzając z troską jego umocowanie. – Sztaba wypuścił mnie tego samego dnia. Tylko wczoraj znowu mnie zgarnął.

– Przykro mi.

– Co zrobić – westchnęła Teofila. – Pan inspektor i ja nie zgadzamy się co do definicji oszustwa.

– Nie rozumiem.

– Bo to jest tak... – Teofila oparła rękę o kratę i splotła wystające poza nią dłonie. – Sztaba uważa, że z premedytacją naciągam ludzi. Nie wierzy, że mam dar.

– A ma pani?

– Mam, nie mam... to zależy. Są tacy, co wierzą, że mam. Słyszą, co chcą słyszeć. Każdy patrzy na świat po swojemu. Jeżeli ktoś wierzy w byty niematerialne, to i w moim głosie w czasie seansu usłyszy szept ukochanej osoby, która odeszła. Ja jestem tylko pośrednikiem, medium właśnie, popycham ich w jakimś kierunku, a oni już sobie dopowiadają resztę. Czy jest w tym oszustwo? Nie sądzę. Pani przecież nie oszukałam?

Frania pokiwała głową.

– Obserwowałam panią. Nie uwierzyła pani, że mogę nawiązać kontakt z duchem, który ukradł obraz.

– Jeżeli mam być szczerą, to wiem na pewno, że w muzeum nie ma duchów.

– Oj, duchów to tam akurat pełno, może mi pani wierzyć – powiedziała poważnie Teofila. – Ale obraz faktycznie chyba zabrał ktoś z żywych.

– I ja tak sądzę.

– Pani się wstawi za mną u tego Sztaby. – Teofila potrząsnęła splecionymi niczym do modlitwy dłońmi. – On jest pani życzliwy. Widziałam, jak na panią patrzył w muzeum.

Frania przyjęła to stwierdzenie ze zdziwieniem. Sztaba życzliwy?

– Chyba pani nie pomogę – odpowiedziała. – Sama wpadłam w kłopoty.

– O! To może pani powróżyć? Dobra wróżba podsuwa nieoczywiste rozwiązania. Ma pani dychę?

Frania się zaśmiała i pokręciła przecząco głową.

Nagłe pojawienie się Chybury przerwało rozmowę. Aspirant poprowadził Franię do gabinetu Sztaby.

Kiedy weszła, inspektor wstał zza biurka i wskazał krzesło.

– Pani Franciszko, karty na stół – zaczął bez ogródek. – Została pani oskarżona przez obywatela pragnącego zachować anonimowość o włamanie się na teren muzeum dwa tygodnie temu.

– Chyba obywatelkę – prychnęła Frania. – To pomówienie.

Spojrzał na nią surowo, ale nie odwrócił wzroku.

– Przyzna pani, że to dziwne, iż tej samej nocy, kiedy rzekomo przebywała pani w muzeum, stróż usłyszał w głównej galerii podejrzane hałasy.

– Przecież to duchy były.

– Pani w to wierzy?

– O tak!

Sztaba pokręcił głową.

– Wie pani, w co ja wierzę? Wierzę, że pani była w muzeum. Niestety nie mam dowodu. Mam słowo przeciwko słowu.

Frania wygodniej rozparła się na krześle. Napięcie w mięśniach zrelaksovało. No tak, jaki dowód mogła mieć Irma?

– Pani Franciszko, od dawna chciałem z panią porozmawiać. Nie będę owijał w bawełnę... – Sztaba podszedł do okna zwabiony nagle dochodzącym z ulicy odgłosem bójki.

Frania poczuła nieprzyjemne ukłucie w żołądku. A jednak! Aresztuje ją! Jak jakąś pospolitą oszustkę, taką Teofilę Szum nie przywierając. O nie! Tak łatwo mu nie pójdzie! Trzeba salwować się ucieczką. I to zaraz! Wstała i zaczęła cicho cofać się na palcach ku drzwiom.

Sztaba uznał widać, że bijatyka pod posterunkiem nie była warta jego uwagi, i odwrócił się ku Frani, która właśnie sięgała do klamki. Zatrzymał ją wzrokiem.

– Nie będę owijał w bawełnę – powtórzył. – Myślę, że grozi pani niebezpieczeństwo.

Frania wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia. Tego się nie spodziewała. Sztaba wskazał ponownie krzesło. Niechętnie wróciła na miejsce.

– Panie inspektorze, co też pan opowiada! Przecież wiem, że tego szantażu dopuściła się Irma. Nie lubimy się, to fakt, ale nie sądzę, by chciała...

– Nie mówię o Irmie Firlej. To rzeczywiście nic poważnego.

– Zatem o czym pan mówi?

– Obserwuję panią od dnia tej niefortunnej kradzieży i wydaje mi się, że dzieją się wokół pani dziwne rzeczy. Dla przykładu, kiedy byłem w muzeum kilka dni temu, ze ściany spadł ten olbrzymi obraz, ten z bladymi ludźmi.

– *Powrót jeńców polskich z litewskiej niewoli?*

– Tak. Pani przy nim pracuje, prawda? Mogła pani doznać poważnych obrażeń.

– To przypadek, ten obraz jest dość ciężki – powiedziała Frania. – Takie rzeczy niekiedy się zdarzają.

– Też tak myślałam. Ale po kilku dniach kustosz Skiełto poważnie się rozchorował.

– To z nerwów. Ta kradzież bardzo nim wstrząsnęła.

Sztaba pokręcił głową.

– Nie. Zjadł jedno z ciastek, które przesłał pani tajemniczy wielbiciel. Frania zbladła.

– Nóżki baranie, nie może być!

– Owszem, kustosz ma objawy poważnego zatrucia. Przepytałem kilka dni temu jego samego wraz z rodziną. Jestem pewien, że coś w tych ciastkach było. No i nadal mi pani nie powiedziała, skąd te zadrapania. – Jego wzrok przeslizgnął się po ramionach Frani. Nie mógł ich teraz obejrzeć, jako że miała na sobie żakiet. Mimo to przesunęła dłońią po rękę, jakby ten gest mógł wymazać cieniutkie smugi, jakimi była pokryta.

– To drobiazg, jestem po prostu niezdarą.

Sztaba popatrzył na nią badawczo. Nie uwierzył jej. Niedobrze. Zmieniła więc szybko temat.

– Przyznam, że to rzeczywiście niefortunne zdarzenia. Ale nie uważa pan, że jest logiczne wytłumaczenie dla każdego z nich? Być może linki, na których wisiał obraz, uległy przetarciu? Jest przecież kolosalny i potwornie ciężki. A ciastka? No cóż, może krem był nieświeży? Mamy przecież taki gorący wrzesień.

– Pani Franciszko, proszę mi wierzyć, intuicja mnie w takich sprawach nie zawodzi. I jest jeszcze jedna przesłanka. Myślę, że Roman Paprotek też nie jest bezpieczny. Martwi mnie, że od wielu dni nikt nie ma z nim kontaktu.

Frانيا uśmiechnęła się nerwowo.

– Myślę, że nie musi się pan o niego martwić.

– Dlaczego?

– Rozmawiałam niedawno z jego narzeczoną. To znaczy potencjalną narzeczoną, sytuacja jest skomplikowana.

– Mówi pani o Helenie Sitkiewiczównie?

– Tak. Skąd pan wie?

– Mamy w policji swoje sposoby, by ustalić, kto z kim przestaje. Powiedziała pani coś na temat Romana?

– Wspomniała, że uciekł z Warszawy z powodu jej... – zamyśliła się – ...wylewności. Sam pan więc widzi...

Sztaba machnął niecierpliwie ręką.

– Bzdura! Roman Paprotek nie uciekł, bo przestraszył się swojej narzeczonej. Przeszukaliśmy jego mieszkanie. Znaleźliśmy kubek z niedopitą herbatą, wszystkie jego dokumenty, trochę gotówki. Wygląda to tak, jakby wyszedł gdzieś na chwilę i coś mu się przydarzyło.

Frania zadrżała.

– Wypadek?

– Możliwe. – Sztaba pogładził w zamyśleniu brodę. – Nie wykluczam też, że Paprotek pomógł komuś ukraść ten obraz, a po wszystkim wspólnik postanowił się go pozbyć. Ale bardziej prawdopodobne jest to, że widział lub słyszał coś, co może zdemaskować złodzieja. Zresztą zakładam, że z tego samego powodu ktoś próbuje zrobić pani krzywdę.

– Ale ja nic nie wiem! – powiedziała żałośnie Frania. – Nic a nic!

*

Była pora obiadu, kiedy inspektor Sztaba, nakazawszy Frani ostrożność, pozwolił jej odejść. Wykonała z posterunku telefon do oczekującej jak na szpilkach na wiadomość Loli. Zapewniła ją, że sprawa szantażu jest wyjaśniona, i umówiły się w „Gastronomii” na 3 Maja.

– Zadzwoń po Sándora? – zapytała Lola.

– Absolutnie nie! – oznajmiła Frania i się rozłączyła.

Lola zjawiła się po trzech kwadransach. Zanim usiadła, sięgnęła do włosów Frani i wyjęła z nich zasuszony kwiatek.

– Opowiadaj! – powiedziała.

Frania zaczęła relacjonować fiasko spotkania z listonoszem. Przerwała, kiedy zjawił się kelner. Zamówiła supkę cytrynową i zapiekane łazanki, jedyne dania jarskie w karcie. Lola zastanawiała się długo, dopytywała o świeżość, składniki i rekomendacje kucharza.

– Pozwolę sobie zaproponować paniom po kieliszku węgryzna – powiedział kelner, kiedy wreszcie się zdecydowała.

– O nie, tylko nie węgryzna! – powiedziała Frania. – Poprosimy butelkę reńskiego.

Kelner skłonił się i oddalił bezszelestnie.

– Doprawdy, Franiu, nie za daleko się posuwasz w swoim węgierskim bojkocie? Unikać Sándora to jedno, ale pić reńskie, mając do wyboru tokaj, to już zbyttno posunięta zaciętość.

Frانيا wzruszyła ramionami.

– Ale mów, co z tym szantażystą! Umieram z ciekawości.

– Nie uwierzysz. Ten anonim wysłała Irma!

– Irma Firlej? – powiedziała Lola tak głośno, że siedząca przy stoliku obok para odwróciła się i spojrzała w ich stronę. Kobieta w średnim wieku, z modnie ufryzowanymi falami rozpoznała nazwisko znanej aktorki, bo z trudem kryjąc zaciekawienie, wychyliła się ku nim ze swojego krzesła. Jej towarzysz, elegancki mężczyzna z imponującymi wąsami, poklepał ją po dłoni, przywołując kobietę do porządku. – Irma Firlej? – powtórzyła ciszej Lola.

Frانيا pokiwała głową.

– Pewnie chce się zemścić za ten złamany nos.

– Powinnaś ją przeprosić, Franiu.

– Wiem, powinienam. I zrobię to przy najbliższej okazji – powiedziała niechętnie.

– To wyjaśnia, dlaczego Sándor nie dostał podobnego anonimu.

– Tak. I dlaczego ty go nie dostałaś. Masz moc strącania gwiazd w towarzyski niebyt. Nie zadarłaby z tobą – zaśmiała się Frania. – Zastanawia mnie tylko, skąd ona wiedziała o tej naszej eskapadzie.

– Może Sándor jej powiedział?

– Albo nas śledziła!

– O, nie sądzę. Chociaż kto wie... – Lola uśmiechnęła się do sommeliera, który zjawił się przy ich stoliku.

– Tak czy inaczej, już po sprawie. Sztaba, zdaje się, nie traktuje mojego nocnego pobytu w muzeum poważnie. Zresztą, jak sam przyznał, nie ma dowodów.

– A zatem – Lola uniosła kieliszek z winem – za pomyślne rozwiązanie tej przykrew sprawy.

– To jednak nie wszystko. – Frania upiła łyk i z aprobatą pokiwała głową.

– Nie?

– Inspektor Sztaba uważa, że ktoś czyha na moje życie w związku z kradzieżą *Kukułki*.

– Jak to?

– Jego zdaniem ktoś przeprowadził na mnie już dwa zamachy.

– I nic nie zauważyłaś?

– Jakoś nie – zaśmiała się Frania.

– No tak! Ty nie zawracasz sobie głowy przyziemnymi sprawami! – powiedziała Lola ironicznie. – I co ty na to? Nie boisz się?

– Właściwie to nie.

– Franiu! Coś jednak jest na rzeczy. W końcu nie dalej jak w zeszłym tygodniu gonił nas ten straszny człowiek w kapeluszu! Kto wie, jakie miał zamiary! I kto go nastął. Czy nie lepiej byłoby, dopóki ta sprawa nie zostanie rozwiązana, gdzieś się zaszyć? Jest jeszcze tak ciepło, może wyjedziesz do Leosina na kilka tygodni? Albo do Falenicy? Po co kusić los?

– Inspektor Sztaba zasugerował to samo.

– A widzisz. – Lola rozkroiła postawiony przed nią w międzyczasie auszpik i przyjrzała się zawartości zatopionej w galaretkę.

– Jeżeli rzeczywiście ktoś próbuje się mnie pozbyć, to jest nieporadną łamagą. Skoro nieświadoma zagrożenia uniknęłam dwóch ataków na moją osobę, to bez trudu sobie z nim poradzę, wiedząc o jego zamiarach.

W spojrzeniu Loli widać było powątpiewanie.

Frania podniosła do ust łyżkę zupy.

– Wyborna. Poza tym – dodała – jeżeli wyjadę, to jak się dowiem, kto stoi za kradzieżą obrazu?

– Miałaś sobie przecież nie zawracać głowy poszukiwaniami na własną rękę.

– Ale przecież sytuacja zmieniła się diametralnie.

– Jak to?

– No pomyśl, Lolu, skoro ktoś na mnie dybie, to znaczy, że ja coś wiem!

– Ale przecież mówiłaś, że nic nie wiesz.

– Właśnie! Nie wiem, że coś wiem, nieprawdaż? – Spojrzała na Lolę wyczekująco.

Odpowiedziało jej milczenie.

– Muszę zatem dotrzeć do mojej podświadomości. Proste.

– Aha. A jak zamierzasz tego dokonać?

– No jak to jak? Normalnie. Dzięki hipnozie oczywiście.

Lola zaniemówiła. Po chwili jednak uśmiechnęła się i poklepała Franię po ręce. Ze wszystkich pomysłów, jakie ostatnio zrodziły się w jej głowie, ten przynajmniej nie niósł ze sobą ryzyka aresztowania, uszczerbku na zdrowiu ani utraty pracy.

Po obiedzie, akurat kiedy podano im kawę z miętowym likierem, na salę, uśmiechając się szeroko, wszedł sam Constantin Vladescu, rozchwytywany w Europie wirtuoz gry na cymbałach, prosto z Rumunii. Rozpiął złote guziki białej marynarki i usiadł za stojącym w rogu instrumentem. Spojrzenia wszystkich obecnych skierowały się w jego stronę. Umilkły rozmowy. Vladescu objął wzrokiem salę restauracyjną, po czym gwałtownie uniósł pałeczki i trwał przez chwilę w tej pozycji, jakby nad czymś dumał. Wreszcie przystąpił do wykonania arii *Ombra mai fù* Haendla. Łagodne brzmienie cymbałów popłynęło ponad stolikami i ustawionymi między nimi olbrzymimi donicami z asparagusami.

Kiedy po chwili podniósł się na nowo szmer rozmów i brzęk sztuców, Frania przeprosiła Lolę i wyszła przed restaurację. Na ulicy nie było o tej porze dnia tłoku. Wystawiła twarz do słońca.

„Zaczyna się babie lato” – pomyślała, ciesząc się jego ciepłym dotykiem na skórze.

Do budynku nieopodal restauracji przyklejone było niewielkie stoisko z gazetami. Obok, na drewnianej skrzynce siedział staruszek. Miał palto, na oko Frani zbyt ciepłe jak na panującą temperaturę, oraz ograniczone uzębienie. Jak się okazało, miał też problemy ze słuchem.

– Poproszę „Bluszcz”, „Blok” i jakieś czasopismo ezoteryczne.

– Egzotyczne?

– Ezoteryczne.

Staruszek uśmiechnął się znacząco, demonstrując wszystkie ubytki.

Rozejrzał się podejrzliwie dookoła i upewniwszy się, iż w pobliżu nie ma nikogo, kto wyglądałby na strażnika moralności, sięgnął do stojącego

za stojakiem z gazetami pudła i wyciągnął najnowszy numer czasopisma „Amorek”. Jego okładkę zdobił dość szczegółowy obrazek przedstawiający zalotnie uśmiechającą się dziewczynę w bluzce z głębokim dekoltem i w koronkowych majteczkach.

– Erotyczne! Proszę bardzo.

Frania oblała się rumieńcem.

– Powiedziałam e-ZO-teryczne! O duchach, hipnozie, wróżbach i takich tam!

– A to nie mam – burknął starszek.

Frania stała przez chwilę zamyślona. W końcu sięgnęła jeszcze po „Kuriera”. Zapłaciła za gazety i wróciła do „Gastronomii”. Constanin Vladescu kołysał się i z półprzymkniętymi oczyma wygrywał akurat Jesień Vivaldiego. Frania opadła na krzesło naprzeciwko Loli. Odsunęła kieliszek z niedopitym likierem i położyła gazety na stole. Lola złapała „Bluszcz”, a Frania zaczęła wertować „Kuriera” w poszukiwaniu ogłoszeń. W końcu na przedostatniej stronie, między reklamą specyfiku na łupież i salonu kosmetycznego znalazła to, czego szukała.

*Najpopularniejsza w Warszawie od 1923 roku.
Prawdziwa jasnowidzka – wtajemniczone medium.
Przepowiada bardzo trafnie w sprawach choroby,
loterii, miłości.
Udziela wyjaśnień z dziedziny wiedzy tajemnej.
Kontakt ze zmarłymi, tarot, hipnoza.
Niezamożni płacą jeden złoty.*

*Przyjmuje od godziny 2-ej do 8-ej
Bednarska 13, w podwórzu na lewo, mieszkania 13.*

Ogłoszenie wyróżniało się spośród innych większą czcionką. Było też ozdobione egipskim szlaczkiem i – Frania przysunęła gazetę bliżej twarzy, by się upewnić, że oczy jej nie mylą – podobizną Teofilii Szum!

– Znam ją!

– Doktor Sadowską?

– Słucham?

Frania podniosła głowę znad gazety i podążyła za spojrzeniem Loli utkwionym w kobiecie siedzącej przy stoliku pod oknem. Właśnie regulowała rachunek. Była ubrana oryginalnie. Miała zarzuconą na suknię marynarkę o męskim kroju, do tego krawat i oprócz grubej bransoletki – żadnej biżuterii.

– To jest ta słynna doktor Sadowska? – zapytała Frania szeptem.

– Owszem. Pierwsza kobieta, która obroniła doktorat z medycyny w Petersburgu.

– No popatrz!

Doktor Sadowska wraz z towarzyszącą jej kobietą podniosła się od stolika i nieśpiesznie szła ku wyjściu, ściągając na siebie kolejne spojrzenia. Towarzystwo zebrane w „Gastronomii” starało się zachować pozory grzecznej obojętności i dopiero kiedy zniknęła za drzwiami, tu i ówdzie padło kilka komentarzy.

– ...niemoralne prowadzenie... – ponad brzmieniem cymbałów wybił się groteskowy falset.

– Skandal, proszę pana, ot co! – odpowiedział mu baryton.

Constanin Vladescu wzmógł natężenie dźwięku wydobywającego się spod pałeczek i Frania z Lolą nie dosłyszały reszty rozmowy.

– Straszna jest ta nagonka – westchnęła Lola. – Niby wygrała proces o zniesławienie, a wciąż nie dają jej spokoju. Że w „Amorku” ukazał się podły wierszyk na jej temat, to jedno. Ale że taki Tuwim naśmiewa się z niej w piosence wyśpiewywanej od tygodni w Qui Pro Quo, to naprawdę przekracza wszelkie granice przyzwoitości.

– Wiesz, kabaret rządzi się swoimi prawami. Dostaje się i premierowi Grabskiemu, i przerożnym baronom, co sobie tytuł zakupili u Austriaków, to i Sadowska oberwała.

– Chyba nie mówisz poważnie? – policzki Loli zapłonęły z oburzenia. – Grabski sobie zasłużył! A ta nieszczęsna kobieta czym zawiniła? Przecież nikt rozsądny nie wierzy w te bzdury powtarzane po tysiackroć przez brukowce. Ani nie narkotyzowała swoich pacjentek, ani nie organizowała z ich udziałem orgii. A zarzut uprawiania miłości lesbijskiej nie jest hańbiący. I nikomu nic do tego, z kim ona sypia.

– Właściwie to ona się nie kryje ze swoimi związkami, więc to nie zarzut, ale fakt.

– I cóż z tego? Nie jest to przecież niczym złym. – Teraz to podniesiony głos Loli przebił się przez łagodny ton cymbałów. Kilka osób odwróciło się w ich stronę. – Moim zdaniem za całą tą pożałowania godną aferą stoi jakiś sfrustrowany mężczyzna. Albo i kilku! Nie umie taki jeden z drugim zadowolić kobiety albo zaniedbuje potrzeby duchowe żony, a potem zwała winę na lekarkę.

– Racja! – odezwała się kobieta z blond falami z sąsiedniego stolika. – Łatwiej oskarżyć Sadowską o uwiedzenie żony niż poszukać winy w sobie!

– Podobno – spod okna dobiegł zachrypnięty głos leciwej damy – jedna z rzekomych ofiar Sadowskiej tak naprawdę trafiła do niej wskutek pobicia przez męża. A Sadowska pomogła jej uzyskać rozwód. Dobrze zrobiła, bez dwóch zdań!

– Nic a nic mnie to nie dziwi! – powiedziała kobieta z pofalowaną koafiurą.

Wszystkie cztery pokiwały w milczeniu głowami.

Do sąsiedniego stolika wrócił wąsaty, elegancki mężczyzna, którego chwilę wcześniej wywołano do telefonu. Widząc, iż jego żonę znowu pochłonęły sprawy omawiane obok, delikatnie poklepał jej dłoń.

– Ależ słucham cię, mój drogi, słucham. – Kobieta odwróciła się ku niemu, co definitywnie zakończyło międzystolikową wymianę zdań na temat doktor Sadowskiej.

Frania dopiła swój likier i postukała palcem w rysunek przedstawiający Teofilę w „Kurierze”.

Lola się skrzywiła.

– Ty mówiłaś poważnie o tej hipnozie?

– Oczywiście! Przecież to sprawdzony sposób na dotarcie do własnej podświadomości! – powiedziała zadowolona.

Zaraz jednak jej uśmiech zbladł.

– Co się stało?

– Przypomniałam sobie właśnie, że Teofila Szum siedzi w areszcie. Na wizytę u niej muszę poczekać kilka dni.

– Trudno. Co się odwlecze...

Constantin Vladescu wygrał ostatnie taktę ponurego marsza. Ukłonił się głęboko, po czym z wyrazem nieskrywanej dumy przyjął należne mu brawa, unosząc w triumfalnym geście pałeczki nad głową.

ROZDZIAŁ X

O PODRÓŻY FRANI W CZASIE, SUKCESIE ASPIRANTA CHYBURY I GRZE W TENISA Z BOLESNYM FINAŁEM

CZWARTEK, 18 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Marynia wpadła do pracowni Frani niczym luktordpeda. Była czerwona na twarzy i głośno posapywała. Obładowana była siatkami z zakupami, do tego trzymała w ramionach Józia. Frania nie zwróciła uwagi na jej wejście. Stała ukryta za zasłoną i popijając kawę z porcelanowej filiżanki, obserwowała idącego ulicą Sándora. Towarzyszyła mu Irma, jak zwykle uczepona jego ramienia. Z ulicznego szumu, który bez trudu przedzierał się do środka, Frania wyłowiła jej śmiech. Dochodziła piąta. Zapewne wybierali się na fajf do pani Ołtuszewskiej, która przyjmowała w czwartki i mieszkała niedaleko.

– Nie było jeżyn – oznajmiła Marynia. Postawiła Józia na podłodze i opadła na szezlong.

Spojrzała na obraz spoczywający na sztalugach. Nie prezentował się w jej mniemaniu dobrze. Gdyby nie widziała stojącej obok kompozycji, trudno byłoby jej rozróżnić namalowane kształty. „Ale to kanciaste” – pomyślała. Zdołała się jednak zorientować, że artystka najwyraźniej nie wzięła się jeszcze za malowanie jeżyn. No i dobrze.

Frania wyłoniła się zza zasłony, odrzucając ją za siebie niczym pelerynę. Stała zamyślona na środku pracowni, gniewnie mrużąc oczy. Była wściekła na Sándora. Nie dość, że ją ostatnio zbywał, to jeszcze przestawał z tą szantażystką.

Marynia widać źle odczytała powody złości malującej się na twarzy Frani. Spojrzała wyzywająco.

– Nie moja wina, że sezon na jeżyny taki krótki! Całe Hale Mirowskie rano obleciałam i jeszcze baby na rynku wszystkie wypytałam. Nie ma!

– Ale co też mi Marynia o jeżynach mówi! Nie ma, to nie ma!

Frania wzięła Józia na ręce i podrzuciła go kilka razy w powietrzu. Chłopczyk się roześmiał. Złapał za pędzel, którym jak zwykle podczas malowania umocowała włosy na czubku głowy. Rude loki opadły na ramiona. Marynia tymczasem podeszła do stolika i na pustej paterze ułożyła koszyczki czarnego bzu.

– Narwałam po drodze, bo też czarny – powiedziała bardzo z siebie zadowolona.

Frania spojrzała sceptycznie na stolik. Czerń jeżyn zupełnie różniła się od czerni bzu. Ta pierwsza była smolista, błyszcząca, nasyciona. Ta druga matowa, pozorna, z nutami granatu i szarości. Zupełnie się nie nadawała. „Trzeba będzie wszystko zmienić” – pomyślała.

– Żeby nie trzeba było obrazu zaczynać od nowa! – Marynia splotła ręce na piersi i spojrzała wyzywająco na Franię.

Mierzyły się wzrokiem w milczeniu. Frania pierwsza się odwróciła.

– No i hej. – Marynia zgarnęła siatki, złapała wymachującego pędzlem Józia i wypadła z pracowni z takim samym impetem, z jakim do niej wpadła.

Frania nalała sobie kolejną filiżankę kawy i spojrzała niechętnie na czarny bez. Dostrzegła między liśćmi pająka. Zsunął się na serwetę i teraz kroczył nie wiadomo gdzie, ale za to bardzo dostojnie. Kiedy dotarł do krawędzi blatu, zniknął z pola widzenia. Westchnęła i zabrała się do pracy.

Tego popołudnia Frania nie namalowała czarnego bu. Odłożyła swój nieskończony obraz pod ścianę, a na sztalugach postawiła niewielkie czyste płótno i przystąpiła do malowania róż dla ukochanej młodego Szymańskiego. Wzdrygała się przy tym raz po raz, pomstując na banalny temat, niestanowiący najmniejszego artystycznego wyzwania. Mimo to szło jej zaskakująco sprawnie i kiedy godzinę później w pokoju dziennym rozbrzmiał dzwonek telefonu, róże w kamionkowym wazonie były niemal gotowe.

– Chodźmy do „Oazy”! Mam taką ochotę na lina w śmietanie! – w słuchawce odezwała się Lola.

Frانيا się uśmiechnęła. Doskonale wiedziała, że nie o lina w śmietanie chodzi. Odkąd sprawa szantażu została tak pomyślnie dla niej wyjaśniona, Lola miała potrzebę nadrobienia kilkudniowego towarzyskiego niebytu, na który zdecydowała się z czystej ostrożności. „Oaza” przy Wierzbowej 9, najmodniejszy warszawski lokal, wspaniale nadawała się do tego symbolicznego powrotu na salony.

Blichtr, znani bywalcy i wyszukane francuskie menu nie robiły na Franiu szczególnego wrażenia. Przystała jednak na propozycję wspólnej kolacji. Czuła się winna zmartwień, jakich mimowolnie przysporzyła Loli, i była pewna, znając słabość przyjaciółki do „Oazy”, że wieczór w tym miejscu choć trochę je zrekompensuje.

– Zaproszę Sándora. Dawno razem nigdzie nie byliśmy we trójkę.

– Nie kłopotz się, moja droga. Nie sądzę, by znalazł dla nas czas. Nie widzi świata poza Irmą.

– Oj, Franiu, jaka ty jesteś ślepa. – Lola się zaśmiała i odłożyła słuchawkę.

Frانيا udała się do buduaru. Ściągnęła z wieszaka pierwszą sukienkę, jaka wpadła jej w ręce. Była to blad różowa muślinowa kreacja z lejącym dekoltem, zakupiona ledwie kilka dni wcześniej za namową Loli u Hersego. Dopiero teraz, przeglądając się swojemu odbiciu w lustrze toaletki, Frania musiała przyznać jej rację. Suknia rzeczywiście była wspaniała. W sam raz do „Oazy”.

Nagle do buduaru wpadła Marynia. Frania spojrzała na podany bilet wizytowy i uniosła brwi zaskoczona.

– Proś do dziennego – rozporządziła.

Odwróciła się i przecesała dłońmi loki. Jak zwykle nie umiała nad nimi zapanować. Trudno. Jest, jak jest. W lustrzanym odbiciu zobaczyła Marynię, która zamiast zająć się gościem, stanęła w drzwiach ze splecionymi na piersi rękoma i przyglądała jej się z wyrazem twarzy wyrażającym niechęć.

– Czy Marynia potrzebuje dodatkowych dyspozycji? – zapytała niemal wrogo Frania.

– Pytań nie mam! Mam sugestię!

– Jaką su... – Frania nie dokończyła.

Służąca w trzech susach znalazła się przy niej i w mgnieniu oka zebrała włosy w asymetryczny kok z boku głowy, po czym zaczęła go zabezpieczać wsuwkami.

– Au! – Frania skrzywiła się z bólu, kiedy ostatnia wsuwka ugodziła ją w ucho.

– Byczo! – Marynia spojrzała zadowolona na swoje dzieło, po czym odwróciła się na pięcie i wypadła z buduaru.

Frania przekrzywiła głowę. No proszę. Kto by pomyślał, że może aż tak dobrze wyglądać w upiętych włosach. Kości policzkowe zdawały się wydatniejsze, zebrane z boku włosy odsłaniały szyję.

Nieźle.

Naprawdę nieźle.

Mogłaby nawet wpiąć coś dłuższego w uszy. Otworzyła pudełko z biżuterią i sięgnęła po kolczyki z koralem. Pogładziła osadzone w srebrnych rozetkach dwie krople zgaszonej czerwieni.

Sewer przywiózł je z Lozanny.

Jakiż to był cudownie zwykły dzień. Malowała w ogrodzie gęsi, które rozpierchły się po zagonach botwiny. Pochłonięta pracą drgnęła, gdy niespodziewanie ktoś zaszedł ją od tyłu i zasłonił jej oczy. Wypuściła pędzel i paletę z rąk. Wiedziała, że to on. Pachniał jałowcem, wykrochmaloną bawełną i dobrze wyprawioną skórą. Nikt inny tak nie pachniał, bo też nikt inny nie chodził na skróty przez krzaki jałowca w świeżo upranej koszuli, wypastowanych na połysk wysokich butach i z rękawiczkami z cienkiej zamszowej skórki zatkniętymi za pasek spodni. Odwrócił ją powoli ku sobie, a potem długo całował.

Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, zauważyła, że zmężniał przez tych kilka miesięcy rozłąki. Włosy, chowane pod czapką podczas długiej

szwajcarskiej zimy, pociemniały. Ale to wciąż był ten sam Sewer, który wbrew imieniu sugerującemu powagę – nieustannie szeroko się uśmiechał.

Sięgnął do kieszeni i podał jej pudełko. W środku, na kremowej welurowej poduszce obszytej złotą nitką spoczywały kolczyki z koralami.

– Studia skończone?

Przytaknął.

– Z wyróżnieniem. Teraz już nigdzie się nie wybieram – powiedział.

Był czerwiec 1914 roku.

Frania zacisnęła palce na kolczykach i otarła łzę, która niespodziewanie potoczyła się jej po policzku. Odłożyła je z powrotem do pudełka z biżuterią. Po chwili wahania nałożyła tylko szminkę, ale za to w kolorze koralu. Przywołała na twarz uśmiech i wyszła na spotkanie niespodziewanego gościa.

Hrabia Kozieliński podniósł się, kiedy weszła do pokoju dziennego.

– Przepraszam, że nachodzę panią bez zapowiedzi. Nie zajmę dużo czasu.

Ucałował jej dłoń.

– Ależ to żaden kłopot. Proszę mi powiedzieć, czemu zawdzięczam tak miłą wizytę.

Hrabia sięgnął po paczkę owiniętą w biały papier.

– Proszę. To dla pani.

Pakunek był dość ciężki i płaski. Frania domyśliła się, że to obraz. Spojrzała pytająco na hrabiego.

Uśmiechnął się nieśmiało i poprawił kciukiem okulary.

Położyła paczkę na stole i odwinęła szeleszczący papier. Jej oczom ukazała się naga kobieta pędzla Zielińskiego.

– Ależ, panie hrabio! Ja nie mogę przyjąć tego obrazu! Jest zbyt cenny.

– Nalegam. Walczyła pani o niego podczas licytacji. Przykro mi, że nie ustąpiłem, zanim – chrząknął zmieszany – zanim przeszkodzono pani dokonać zakupu.

Frania zarumieniła się na wspomnienie wścieklej miny dyrektora. Nie umknęło to uwadze hrabiego. Wpatrywał się w nią z taką samą intensywnością, z jaką ona patrzyła na obraz. Podobał jej się. Był tego pewien. Kąciaki koralowych ust uniosły się w ledwie zauważalnym uśmiechu, szczupłe palce gładziły krawędź ramy.

– Chciałbym uczynić zadość przykrościom, na jakie panią naraziłem. Poniosły mnie emocje podczas aukcji. Sprawi mi pani niewyobrażalną przyjemność, jeżeli przyjmie go na przeprosiny.

– Jest pan prawdziwym dżentelmenem, ale doprawdy, nie ma za co przeproszać. Aukcja to aukcja. Zresztą... – Oderwała wreszcie spojrzenie od obrazu i przeniosła je na hrabiego. – Nie sądzę, by dyrektor zgodził się powiesić ten portret w muzeum. Jest zbyt... – zawahała się, szukając właściwego słowa – ...nowoczesny.

Hrabia Kozieliński ściągnął brwi.

– Obraz jest dla pani. Nie dla muzeum.

– Ale...

– Proszę go przyjąć. Pani odmowa bardzo mnie zboli.

Frania się zawahała.

– Skoro pan nalega... Dziękuję – powiedziała wreszcie.

– To ja dziękuję. – Pochylił się, by ucałować jej dłoń.

Wyprostował się i poprawił okulary. Frania czuła ciepło przepływające między ich splecionymi palcami. Postąpił o krok i dotknął jej twarzy.

– Wygląda pani jak Psyche z obrazu Waterhouse'a.

– To komplement?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Oczywiście! Wszak sama Wenus pozazdrościła Psyche urody. – Ścisnął mocniej jej dłoń.

– Zatem dziękuję. – Frania spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się zaczepnie. – Pytałam, bo nie spodziewałam się, że ceni pan twórczość prerafaelitów.

– Rzeczywiście nie przepadam. – Zaśmiał się, ale zaraz dodał poważnym tonem: – Pani naprawdę widzi na wskroś moją artystyczną duszę.

Ponownie ucałował jej dłoń, tym razem nie odrywając spojrzenia od jej oczu. Poczowała uderzenie fali gorąca.

W tej samej chwili dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się z impetem i grzmotnęły o ściany.

– Pan beczynny – ogłosiła Marynia i wyszła, pozostawiając na progu saloniku Sándora, który ścisnął bukiet białych róż.

– Co też ona w nim widzi! – Sándor patrzył na Franię. Siedziała na wysokim stołku przy barze amerykańskim „Oazy” pogrążona w rozmowie z hrabią Kozielińskim.

– Myślę, że nie o to idzie, co ona w nim widzi, ale o to, co od niego słyszy – odpowiedziała nieuważnie Lola, pochłaniała ją bowiem poszukiwanie w gęstniejącym z minuty na minutę tłumie znajomych twarzy. W znajdujących się w pobliżu teatrach Rozmaitości i Nowości właśnie skończyły się wieczorne spektakle. Rozbawione, eleganckie towarzystwo napływało do znajdującej się na dole restauracji, której ściany pomalowane były niczym krakowskie skrzynie w kolorowe ludowe wzory, lub prosto na pierwsze piętro do sali dancingowej.

– Frania ostatnio dziwnie się zachowuje, nie sądzisz?

– Spadło na nią trochę zmartwień, więc była nieswoja.

– Chodzi ci o *Kukułkę*?

– Między innymi. Nic ci nie mówiła?

– Nie.

Lola upiła łyk martineza, by pokryć zmieszanie.

– Lolu?

Odwróciła wzrok ku przepelnionemu parkietowi i ponownie sięgnęła po kieliszek, by nie musieć odpowiadać. Zaszumiało jej w głowie. Słodycz wiśni zatańczyła na języku z goryczką ginu mocniej, niżby sobie tego życzyła. Bardzo jednak nie chciała być tą osobą, od której Sándor miałby się dowiedzieć, że jego dziewczyna posunęła się do szantażu. To była sprawa Frani. I Irmy.

– Najlepiej będzie, jak sam ją zapytasz. – Lola odstawiła na stolik opróżniony do połowy kieliszek.

– Miałem nadzieję porozmawiać z nią w drodze do „Oazy”. Nie widzieliśmy się od kilku dni. Dodam, że z jej winy! – Sándor uniósł znacząco palec.

– Frania, zdaje się, ma na ten temat odmienne zdanie.

– Prawda. Dlatego chciałem się z nią rozmówić. Ale niespodziewanie wpadłem u niej na Kozielińskiego. I jak na złość zaprosiła go na kolację.

– Sándorze, nie bądź nieracjonalny. Na pewno nie na złość, tylko dlatego, że tak wypadło. Zresztą, co on ci tak wadzi? – Lola uniosła dłoń, odpowiadając na pozdrowienie znajomej aktorki podskakującej na parkiecie w szalonym black bottomie.

– Czy ja wiem? Stoi taki nadęty i rzuca tymi swoimi sępimi oczkami ukradkowe spojrzenia to tu, to tam. Patrzenie, jaki jestem bogaty, a jak mi się lakierki świecą! Znam się na sztuce, a gust mam tak dobry, że aż ponadprzeciętny, i podobają mi się obrazy, które innych śmieszają!

– Nie przesadzaj. To człowiek dużej kultury i ogłady, a że zadziera trochę nosa... – Lola rozglądała się nieuważnie dookoła. Nagle spojrzenie jej błękitnych oczu wróciło do Sándora. – Rozumiem jednak, że jesteś zazdrosny.

– Ja? Zazdrosny? O tego arystokratycznego bubka? Ależ skąd! Martwię się tylko o Franię!

– Ale czym się tu martwić? Tym, że o jej względy zabiega interesujący mężczyzna, który podziela jej miłość do sztuki? Doprawdy, wielki mi powód do zmartwień.

– Nie ufam mu.

– A ja myślę, że jest całkiem sympatyczny. Poza tym Frani dobrze zrobi, jeżeli wreszcie zacznie się z kimś spotykać.

– Ale dlaczego od razu z tym Kozielińskim? Powinna być z kimś... – urwał. Frania akurat podniosła głowę i ponad ramieniem hrabiego spojrzała przelotnie na Sándora. Rysy jego twarzy złagodniały, uśmiechnął się, w kącikach oczu pojawiły się delikatne zmarszczki. – Innym – dokończył zmienionym głosem.

– Trzeba się było tak nie czaić.

– Łatwo ci mówić! Jak poznałem Franię, to nosiła jeszcze żałobę po tym swoim Sewerze, nie wypadło czynić żadnych awansów. A potem... – Machnął ręką.

– Co potem?

– Wyrobiła sobie o mnie błędne zdanie.

Lola uśmiechnęła się złośliwie.

– Błędne, czyli jakie?

– Daj mi spokój, Lolule! Dobrze wiesz, o czym mówię. Frania ma romantyczną naturę; by się z kimś związać, musi pokochać. Nie wierzy, że można dać się ponieść namiętności bez głębszych uczuć. Te moje

romanse, te kobiety, te wszystkie Irmy tego świata, te nic nieznaczące epizody nie mają nic wspólnego z miłością. Fakt. Ale to nie znaczy, że ja nie jestem zdolny, by kogoś pokochać naprawdę.

– „Ileż to oczu jak gwiazd przeleciało, ileż to rączek tonąc uściśkałem. A serce?”

– „Nigdy z sercem nie gadało”¹ – dokończył.

Lola ścisnęła jego ramię.

– A z Franią gada? – zapytała.

– Owszem. Niestety, jak zapewne dobrze wiesz, jest to tylko monolog.

1 Adam Mickiewicz, *Żal rozrzutnika*.

PIĄTEK, 19 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Frania wyszła z muzeum razem z ostatnimi zwiedzającymi. Pomachała na pożegnanie panu Mieciowi pogrążonemu w dyskusji politycznej z dozorcą sąsiedniej kamienicy i udała się na ulicę Bednarską. Przeszła śmiało przez bramę pod numerem 13 i wbiegła po skrzypiących drewnianych schodach na pierwsze piętro odrapanej oficyny. Zawahała się dopiero pod drzwiami opatrzonymi koślawo namalowanym numerem 13. Nic nie wskazywało, że miałyby się za nimi kryć gabinet prawdziwej jasnowidzącej i wtajemniczonej medium Teofili Szum. Wygrzebała z torebki wycięte z gazety ogłoszenie. Adres się zgadzał. Nabrała więc powietrza i zapukała. Po chwili drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Nikt nie stanął w progu. Z panującej wewnątrz ciemności rozświetlanej jedynie blaskiem kilku świec dobiegł niski pomruk.

– Weeejdź.

Frania przewróciła oczami. Doprawdy! Cała ta oprawa była zbyteczna!

Przekroczyła próg. Jakaś niewidzialna siła, a prędzej ręka, zamknęła za nią drzwi. Frania zdjęła salopkę chroniącą ją przed padającym tego popołudnia drobnym deszczem i rozejrzała się za wieszakiem. W półmroku dostrzegła jedynie niewielki stolik pokryty długim czarnym obrusem i dwa krzesła. Pozostałe sprzęty ustawione pod ścianą tonęły w mroku, powiesiła więc okrycie na poręczu krzesła.

– Połóż pieniądze na stoliku i czekaj – usłyszała ponownie tajemniczy głos za plecami.

Zrobiła, jak jej kazano, i usiadła. Na stoliku stała świeca, która uwalniała przyjemny ziołowy zapach. Z jednego z kątów dochodził nikły dźwięk fujarki.

Oczekiwanie się przedłużało. Jej wzrok powoli przyzwyczał się do ciemności. Rozejrzała się. Pomieszczenie zdobiły kartki z namalowanymi runicznymi symbolami. Zaś ścianę naprzeciwko wejścia przysłaniała kotara. Kiedy Frania zawiesiła na niej wzrok, pulchna, upierścieniona dłoń akurat zgarnęła ją na jedną stronę, ukazując Teofilę Szum we własnej osobie. Jej oczy błyszcząły, odbijając światło świec, a wyraz twarzy był niezwykle poważny.

– Jestem – powiedziała niskim głosem.

– To dobrze. Zabierajmy się do pracy.

– Ale, ale... – Teofila była wyraźnie zbита z tropu. – Atmosfera tajemniczości i ciarki na plecach są w pakiecie. Zniżki nie będzie, od razu sprzedam.

– Nie chodzi mi o zniżkę, ale o czas. Przejdźmy do rzeczy – powiedziała niecierpliwie Frania.

– No dobrze – westchnęła niechętnie Teofila i podniosła czarną woalkę, która przesłaniała jej twarz. – To pani! – rozpoznała Franię. – Kogo jak kogo, ale pani się tutaj nie spodziewałam. Chodzi o wroźbę? Czy jakiś amulet na problemy ze Sztabą?

– O hipnozę. Chciałabym wrócić wspomnieniami do pewnego wydarzenia z przeszłości. Muszę sobie je przypomnieć.

– Po co?

– Są tacy... – Frania zawiesiła głos, niepewna, jak wyjaśnić Teofilę sytuację, nie zdradzając zbyt wielu szczegółów. – Są tacy, którzy myślą, że ja coś wiem na temat tej kradzieży.

– A wie pani? – zapytała chytrze Teofila.

– Myślę, że umknął mi z tamtego wieczoru jakiś szczegół. Klucz do rozwiązania tej zagadki.

– Aha. – Teofila ułożyła usta w dzióbek i pokiwała głową. Woal spadł jej na oczy, więc ponownie odrzuciła go do tyłu. – Mogę wprowadzić panią w stan hipnozy, ale za efekty nie ręczę. Jeżeli pani nic nie widziała albo nie słyszała, to wyobraźnia nie odwali całej pracy za panią.

– Rozumiem, mimo to chciałabym spróbować.

– No dobrze, proszę mi powiedzieć tylko, o jaką sytuację chodzi, tak bym mogła panią pokierować podczas transu w odpowiednie rejony.

Frania spojrzała podejrzliwie na Teofilę. Nie chciała zdradzać zbyt wiele, by nie ułatwiać jej zadania. Jeżeli była oszustką, gotowa wykorzystać każdy detal, by stworzyć iluzję. Zastanowiła się przez chwilę.

– Chodzi o kukułkę – powiedziała wreszcie. – Proszę mi o niej wspomnieć w transie. Jestem pewna, że to wystarczy.

Teofila wykręciła upierścienione dłonie, aż strzeliły jej kostki palców. Po czym bez słowa wskazała stojący pod ścianą fotel. Frania opadła na miękkie siedzisko i dotknęła przetartego podłokietnika. Poczuła się nagle bezpiecznie i pewnie, zupełnie jakby fotel obejmował ją niczym stary dobry znajomy.

– Proszę zamknąć oczy. Policzę do dziesięciu. – Teofila podsunęła krzesło i usiadła naprzeciwko Frani. – Przy każdej cyfrze będzie pani otwierała i zamykała oczy. Powieki będą coraz bardziej ciężkie, aż przy dziesiątce nie będzie pani w stanie ich otworzyć. Czy wszystko jasne?

– Liczy pani do dziesięciu, zamykam i otwieram oczy, aż nie będę mogła ich otworzyć.

Teofila kiwnęła głową.

– Gotowa?

Frania nabrała powietrza.

– Gotowa.

– Zaczynamy. Jeden... dwa... trzy... twoje powieki stają się coraz cięższe... cztery...

*

Frania odetchnęła pełną piersią. W powietrzu unosił się znajomy zapach sosnowego lasu. Ścieżka biegła wśród mchów i krzaków jagód. Była na tyle szeroka, by mogli iść koło siebie. Jego dłoń spoczywała na jej talii. Śmiał się. A ona z nim. Nagle usłyszała odległe wołanie kukułki. Zaczęła liczyć.

– Jeden, dwa, trzy... – spojrzała na niego – ...siedem, osiem...

Pokręcił z uśmiechem głową.

– ...dwanaście, trzynaście...

– Nie wierzysz chyba w te ludowe bajdy? – powiedział.

– ...osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia. – Poczowała lodowaty oddech strachu na karku. – Dwadzieścia!

Pochylił się ku niej i pocałował ją w czoło.

– Najdroższa Franiu, nie ma mowy, by wojna tyle potrwała. Wróć za kilka miesięcy, zobaczysz.

– Ostatnio nie było cię cztery lata.

– Teraz będzie inaczej. Sama widzisz, jak sprawnie nasze wojsko rozprawia się z bolszewikami na wschodzie. Jeszcze kilka miesięcy, góra rok i będzie po wszystkim. A wtedy wróć i nigdzie już nie będę wyjeżdżał.

Przyciągnął ją do siebie. Położyła głowę na jego piersi i pozwoliła zamknąć się w mocnym uścisku na długie minuty, wdychając zapach krochmalu i jałowca.

Wypuścił ją z objęć i odsunął się. Postąpiła krok ku niemu, ale dystans między nimi raptownie się zwiększył.

– Wróć do mnie, wróć! – Wyciągnęła ręce. Uśmiechał się, była tego pewna, choć wznoszące się za jego plecami słońce raziło ją i kryło jego twarz w cieniu.

W oddali żałośnie wołała kukułka.

– A kiedy policzę do trzech i pstryknę palcami, obudzisz się! – usłyszała nagle gdzieś z boku.

– Nie! – krzyknęła.

Słoneczny blask zniknął, rozpląnął się sosnowy las, ciemny gabinet zawirował. Frania ocknęła się i rozejrzała po pomieszczeniu.

– Co pani zrobiła? – zapytała z wyrzutem.

– No jak to co? Wprawiłam panią w trans.

– Ale cofnęła mnie pani pięć lat wstecz! A ja chciałam tylko wrócić do wydarzeń sprzed trzech tygodni!

Teofila zrobiła urażoną minę i opuściła woal na twarz, jakby chciała odgrodzić się od Frani.

– A kukułkę pani słyszała?

– Słyszałam! Nóżki baranie, ale to nie o tę kukułkę mi chodziło!

– Miała być kukułka i była! Reklamacja odrzucona.

Frania zmrużyła gniewnie oczy.

– Proszę mnie polecać znajomym.

Teofila Szum zniknęła za kotarą.

Co za tupet! Frania zerwała się z fotela i wyszła, trzaskając drzwiami tak mocno, że ruch powietrza zgasił stojącą na stoliku świecę.

*

Wybiegła na ulicę. Nie próbowała nawet omijać burych kałuż. Drobną deszcz wdzierał się pod niedbale narzuconą salopkę, sklejał włosy w cienkie poskręcane pasma, pokrywał lepką mgiełką twarz.

Frania płakała. Wspomnienie Sewera było tak boleśnie żywe, że mogłaby przysiąc, iż przed chwilą stała z nim w rozgrzanym czerwonym upałem lesie pod Leosinem. Słyszała bicie jego serca, gdy tulił ją do piersi opiętej sztywną od krochmalu koszulą. Mogła jeszcze odwrócić ich los. Błagać, by nie wyjeżdżał.

Nagle z zapadających ciemności wyłoniła się dłoń w czarnej skórzanej rękawiczce i pociągnęła za poły salopki. Frania krzyknęła. Rozżalenie ustąpiło miejsca strachowi. Zamachnęła się torebką. Barczysty mężczyzna uskoczył na bok. Dostrzegła błyskające spod czarnego kapelusza ciemne oczy i szramę na policzku.

Rozejrzała się dookoła. Ulica była pusta, znikąd pomocy! Kopnęła go więc z całej siły w kostkę i zaczęła biec przed siebie. Syknął z bólu i kuśtykając, rzucił się za nią w pogoń. Frania skręciła w pierwszą z brzegu uliczkę. Liczyła, że go zgubi, ale nagle uświadomiła sobie, że znalazła się w ślepych zaułku. Przywarła plecami do mokrej ściany i zaczęła szukać w torebce pistoletu. Ręce jej drżały, torebka wylądowała na ziemi. Frania rzuciła się na kolana i zaczęła rozgarniać porzucane rzeczy. Mężczyzna dobiegł do niej i stanął nad nią. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł złapać tchu. Frania, nie mogąc znaleźć broni, chwyciła kawałek leżącej obok deski.

– Nie bić! – krzyknął i skoczył do tyłu, wyciągając przed siebie ręce w obronnym geście.

Frania postąpiła krok naprzód.

– Dlaczego mnie śledzisz? Widziałam cię na Nalewkach i nad Wisłą. Czego chcesz?

Sięgnął powoli do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki. „On ma nóż!” – przemknęło jej przez myśl, kiedy zobaczyła w jego dłoni podłużny przedmiot. Uniosła deskę nad głowę, gotowa do ataku.

– Nie bić, mówię! Jestem od Rasmusa – powiedział ochryplym głosem. – Mam twoje zamówienie.

Zza chmury wyłonił się księżyc. W jego bladej poświacie Frania zobaczyła, że mężczyzna trzyma w ręce pióro orlika.

Odrzuciła na bok deskę. Łoskot odbił się echem od ścian zaułka.

– To nie można normalnie do domu było dostarczyć? Rasmus przecież wie, gdzie mieszkam! Trzeba było mnie ganiać po całym mieście? Przestraszyłeś mnie!

– Byłem w domu, ale służąca pogoniła mnie miotłą i powiedziała, że żadnych przesyłek od Cyganów nie przyjmuje. To co miałem zrobić? Miało być do rąk własnych. Realizacja zamówienia to sprawa honorowa. Nie będą potem mówili, że Cyganie ich oszukali!

Frانيا wzięła od niego pióro.

– Piękne! Dziękuję.

– Dodam, że jest oryginalne. Znad Biebrzy.

– Nie wątpię.

– Polecamy się łaskawej pamięci w przypadku realizacji zleceń trudnych lub beznadziejnych.

Pstryknął palcami w rondo kapelusza i utykając, odszedł w noc.

SOBOTA, 20 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Policjant dyżurujący w magazynie spojrzął na kwit podpisany przez inspektora Sztabę.

– Nie ma na stanie motorów – powiedział. – Wszystkie w terenie.

– A rower?

– Też nie ma. – Dyżurny rozłożył ręce.

– To co mam zrobić? Potrzebny mi środek transportu do pilnej akcji. – Aspirant Chybura dumnie wypiął pierś. – Sprawa jest ściśle tajna.

Dyżurny policjant podrapał się po głowie, po czym jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Jak do pilnej i tajnej akcji, to coś się znajdzie.

*

Kiedy dorożka wioząca Franię Tańską przecięła skrzyżowanie, zza pleców sprzedawcy zapalek zaopatrzonego w skrzynkę zawieszoną na szelkach wyłoniła się chuda sylwetka aspiranta Chybura. Zaciśnął ręce na kierownicy hulajnogi i odpychając się patykowatą nogą od koślawego bruku, ruszył za obiektem.

Hulajnoga należała do syna policjanta dyżurującego w magazynie i Chybura przyjął ją z początku sceptycznie. Jednak po przejechaniu kilkunastu metrów uznał ją za najlepszy środek transportu na świecie. Była szybka, lekka i zwrotna. Nie istniała przeszkoda, której nie mógł na niej pokonać na zatłoczonej ulicy. Bez większego trudu manewrował między przeładowanymi wozami węglarzy i kupców, przemyczał obok rozkołysanych końskim kłusem powozów.

W uszach dudniła mu cała miejska symfonia: dzwonki tramwajów, klaksony samochodów, rytmiczne stąpanie mijanego oddziału żołnierzy, nawoływanie sprzedawcy gazet, szczekanie jamnika trzymanego na rękach przez pana w meloniku usiłującego przejść przez ulicę... Chybura był jednak skupiony na zadaniu. Pędził przed siebie, nie odrywał oczu od piórka sójki zatkniętego przy kapeluszu panny Tańskiej i trzymał równy odstęp. Tym razem musiało się udać.

Na chwilę stracił obiekt z oczu, więc co sił w nodze zwiększył prędkość. Musiał przy tym zjechać na przeciwległy pas ruchu, by wyprzedzić sunący powoli karawan. Wtem zza rogu wyskoczył samochód. Chybura w ostatnim momencie, unikając kolizji, wrócił na właściwą stronę ulicy. Koń o smolistym umaszczeniu zadarł głowę przybraną czarnym pióropuszem i zarżał przeciągle. Aspirant wzdrygnął się i popędził dalej. Mało brakowało!

Piórko sójki znowu pojawiło się w zasięgu jego wzroku. Chybura sunął za nim niczym zahipnotyzowany, przez co nie zauważył burej kałuży. Woda rozstała się na boki niewysokimi falami i bryzgnęła

na dwie kłócące się baby sprzedające z parujących saganów ustawionych na chodniku, jak się domyślił po zapachu, gotowaną kapustę. Nagle zjednoczone wobec wspólnego wroga, wymachując pięściami, zaczęły go gonić. Szybko jednak zrezygnowały. Aspirant Chybura na hulajnodze był nie do zatrzymania!

Frania tymczasem, pochłonięta lekturą, cieszyła się nieśpieszną jazdą. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że ledwie kilkanaście metrów za jej plecami znany jej aspirant Chybura walczy na hulajnodze z warszawskim ruchem ulicznym.

Wreszcie dotarła na miejsce. Zamknęła książkę i schowała ją do torebki. Tymczasem Chybura, stwierdziwszy, że obiekt się zatrzymał, wybił się na hulajnodze o krawędź krawężnika, przebył imponującą odległość półtora metra w powietrzu, po czym płynnie wjechał w bramę po przeciwnej stronie ulicy. Tam zderzył się z – na szczęście pustym – blaszanym wiadrem, które z metalicznym łoskotem potoczyło się w głąb podwórka.

Zgrzany i zmęczony otarł pot z czoła i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Tańska właśnie zapłaciła dorożkarzowi i wysiadła. Rozejrzała się na boki, po czym zniknęła za drzwiami ozdobionymi żelaznymi kwiatowymi motywami chroniącymi osadzone w nich szyby. Chybura przebiegł przez ulicę. Potracił sprzedawcę guzików, który skwitował kolizję siarczystym przekleństwem. Aspirant zamachał legitymacją policyjną, co sprawiło, że skory przed chwilą do bitki handlarz natychmiast zniknął. Chybura zaś dopadł do drzwi, zamknął je za sobą najciszej, jak umiał, i zaczął nasłuchiwać. Gdzieś z góry dochodził rytmiczny szmer kroków. Podeszedł do krawędzi marmurowych schodów i zadarł głowę. Zobaczył drobną dłoń odzianą w brązową rękawiczkę, przesuwającą się po zdobnej secesyjnej poręczy. Dłoń zniknęła na drugim piętrze i po chwili Chybura usłyszał pukanie.

– Zapraszam – odezwał się mocny męski głos.

Zadudniły drzwi i na klatce schodowej zapadła cisza.

Aspirant podeszedł do wiszącej przy wejściu listy lokatorów. Odczytał nazwisko widniejące przy lokalu na drugim piętrze i cicho gwizdnął.

NIEDZIELA, 21 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Irma Firlej w towarzystwie Sándora sunęła zwirową alejką w parku Agrykola. Ciepły wiatr poruszał zielonymi jeszcze liśćmi, których szum przyjemnie mieszał się ze stukaniem dzięciołów i świergotem wróbli. Irma miała powody do zadowolenia. Wkrótce miały ruszyć próby do *Przepióreczki* i jej właśnie powierzono rolę księżniczki Sienawianki. Do tego właśnie podpisała kontrakt reklamowy z producentem najelegantszych futer. A odkąd Sándor obraził się na Tańską, cała jego uwaga skupiała się jak należy tylko na niej.

Mijali akurat grupę dziewcząt uprawiających na szerokim trawniku gimnastykę. Ubrane były w identyczne białe polówki i czarne spodenki eksponujące nogi wyrzucane na boki w rytm wyznaczany przez gwizdek tkwiący w ustach muskularnej trenerki. Sándor potknął się, kiedy od wykopów przeszedł do skłonów. Jedna z dziewcząt posłała mu zalotny uśmiech, a on mrugnął do niej i uchylił kapelusza. Po czym znowu się potknął.

– Na tych nierównościach gotowys jeszcze złamać nogę. Następnym razem podjedziemy od razu od strony ulicy Myśliwieckiej i oszczędzimy sobie tego niebezpiecznego spaceru. – Irma szarpnęła go za rękaw białego sportowego swetra.

No dobrze, może nie cała uwaga Sándora skupiała się na niej. Ale przynajmniej od kilku dobrych dni Sándor nie porzucał jej niespodziewanie z powodu tej okropnej Tańskiej. To było takie upokarzające.

Pozostaje jeszcze Nowicka. Ją trzeba mieć na oku. Z jednej strony warto mieć z nią dobre relacje. Z drugiej mogła stanowić spore zagrożenie, większe nawet niż ta śmieszna Tańska. Była piękna, zawsze doskonale ubrana i miała warszawskie salony u swych stóp. Na razie jednak Irma nie zauważyła, by coś prócz przyjaźni łączyło ją z Sándorem. Ani jednej iskry, ani grama chemii. Dziwne to swoją drogą.

Dotarli wreszcie do kortów tenisowych. Irma skierowała się do szatni. Przebrała się w krótką białą sukienkę z falbanami, założyła okulary przeciwsłoneczne, bardziej dla efektu niż z rzeczywistej potrzeby, słońce bowiem o tej porze padało ukośnie na korty i nie przeszkadzało w grze.

Następnie skropiła się obficie wodą różaną, a dłonie i łydki namaściła *crème vaseline* Liberti, by nadać mięśniom sprężystości niezbędnej do gry w tenisa.

Lubiła *lawn tennis*. Przy grze trzeba się nabiegać, dostaje się zatem atrakcyjnych rumieńców, a piersi efektownie falują. Poza tym w tenisie można być złośliwym przez cięte piłki, można również ocenić muskuły partnera, a przy okazji pokazać coś niecoś. Irma przejrzała się w dużym lustrze, wygięła i uśmiechnęła do swojego odbicia. Podrzuciła raketę w rękę i wyszła na zewnątrz.

Sándor stał na werandzie domku klubowego. Rozmawiał z Icchakiem Kopperbaumem, znanym kamienicznikiem, ale nie patrzył na niego. Irma podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła dwie kobiety pogrążone w rozmowie przy siatce na korcie położonym najbliżej werandy. Stanęła jak wryta. Tańska i Nowicka! Co one tu robiły? Czyżby Sándor je zaprosił? Irma zsunęła z nosa okulary, by lepiej się im przyjrzeć. Lola Nowicka jak zwykle wyglądała świetnie. Była ubrana w nieprzyzwoicie krótką sukienkę bez rękawów, o kopertowym dekolcie. Na głowie zaś miała szeroką opaskę z granatową lamówką. Za to Tańska wyglądała, no cóż, jakby zapomniała, że na korcie widzą ją inni ludzie. Założyła szerokie *culottes* o przedziwnej długości do połowy łydki, co w mniemaniu Irmy wyglądało zabawnie, ale na pewno nie atrakcyjnie. Do tego miała koszulkę polo i workowatą kamizelkę, która nie dodawała uroku. No i te rude włosy, dla odmiany ujarzmione w warkocz. Kto dzisiaj tak się czesze? Irma prychnęła, wsunęła z powrotem okulary na oczy i ruszyła ku werandzie.

Icchak Kopperbaum zlustrował ją od stóp do głów łapczywym spojrzeniem, po czym ucałował jej dłoń. Irma, zadowolona z efektu, jaki wywołała, uśmiechnęła się zalotnie i przyjęła łaskawym skinieniem głowy serię komplementów, którymi ją obdarował.

– Frania i Lola czekają na ciebie, zaraz do was dołączę – powiedział Sándor, wskazując na kort. Irma rzuciła mu lodowate spojrzenie, ale Icchak zdążył już przekierować rozmowę na sprawę wielce tajemniczego interesu, do którego próbował przekonać Sándora. Lola tymczasem pomachała do Irmy. Nie było wyjścia. Ruszyła z ociąganiem na kort.

– Zostawię was – oznajmiła Lola po krótkim powitaniu i nucąc melodię zasłyszaną ostatnio w kabarecie Perskie Oko, udała się

w kierunku klubowej kawiarni.

– Nie żywię urazy za ten donos – powiedziała Frania, kiedy zostały same.

Irma wyprostowała się dumnie i spojrzała wyzywająco w oczy Frani.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz. Jesteśmy kwita.

– Kwita? – Irma zmrużyła fiołkowe oczy.

– Powinnam była już dawno cię przeprosić. Wybacz.

– Ale za co?

– Jak to za co? Za to, że złamałam ci nos dwa lata temu.

– To byłeś ty?!

– Nie wiedziałaś? – Frania cofnęła się o krok. Tego się nie spodziewała.

– Nie. Skąd miałam wiedzieć? W magazynie było ciemno, a ja ledwo mogłam ustać na nogach z bólu. Myślałam, że to jedna ze statystek! Albo któraś z dziewczyn z chóru zaczęła się na mnie!

– Nie, to byłam ja. Naprawdę mi przykro. Uwierz mi, proszę, że to był wypadek.

– Przez twoją niezdarność straciłam wtedy rolę Dulcynei! Ominęła mnie reszta sezonu! I do tej pory na nosie mam niewielki garbek!

Frانيا przyjrzała się idealnemu noskowi Army. Żadnego garbka nie widziała, ale wyczuwając jej wzburzenie, nie skomentowała tego, tylko wbiła wzrok w swoje tenisówki.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia.

– Zaraz... – powiedziała Frania powoli. – Skoro nie wiedziałaś, że to ja rozbiłam ci wtedy nos, to nie szukałaś zemsty. Po co w takim razie posunęłaś się do tego podłego szantażu?

Tym razem Irma wbiła wzrok w ziemię.

– Chciałam, żebyś zeszła mi z drogi.

– Ale przecież ja ci nie wchodzę w drogę! Unikam cię bez mała od dwóch lat!

Irma zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Proszę cię! Snujesz się za Sándorem i skupiasz na sobie całą jego uwagę! A ja nie przywykłam do dzielenia się uwagą mężczyzn.

– Sándor? Ależ my się tylko przyjaźnimy! Zresztą, mam co do tego całkowitą pewność, nie jestem w jego typie.

– Ja też uważam, że nie jesteś w jego typie – powiedziała Irma, obdarzając Franię przeciągłym spojrzeniem od stóp do głów. – Ale z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu on jest gotowy rzucić wszystko, w tym moje towarzystwo, na jedno twoje skinienie.

– Ależ ja wcale na niego nie kiwam! Poza tym pomyśl tylko! Jakże ktokolwiek może konkurować z tobą o uwagę mężczyzn?

– Racja – przyznała Irma. Wyciągnęła przy tym dumnie podbródek. – Może rzeczywiście jestem przewrażliwiona.

Ponownie zawisła między nimi ciężka cisza. By pokryć zmieszanie, Frania zaczęła ryć czubkiem drewnianej rakiety dziurę w korcie.

– A zatem zgoda? – zapytała.

Irma się zawahała, ale ścisnęła wyciągniętą ku niej dłoń. Pomalowane na czerwono paznokcie wbiły się w białą skórę Frani niczym ostrzeżenie.

– Zgoda.

Frانيا uśmiechnęła się z ulgą, a Irma spojrzała na nią z wyższością.

– Gramy?

Irma obejrzała się w stronę domku klubowego. Sándor nadal stał na werandzie z Icchakiem, który opowiadał mu o czymś z przejęciem, mocno gestykulując. W głębi, przy barze, na wysokim stołku siedziała Lola, popijając lemoniadę w towarzystwie jakiejś równie eleganckiej szatynki. Irma wzruszyła ramionami i bez słowa przeszła na koniec kortu. Zaserwowała. Wymieniły kilka łatwych piłek, po czym Irma przeszła do ofensywy i zaczęła grać agresywniej.

– Ej! – krzyknęła Frania, kiedy kolejna piłka przeleciała przez siatkę z takim impetem, że wytrąciła jej raketę z ręki.

– Jeden-zero dla mnie! – krzyknęła Irma i nie czekając, aż Frania ochłonie po intensywniej wymianie, ponownie zaserwowała.

Frانيا przystąpiła do ataku i zgrabnym backhendem posłała piłkę pod stopy Irmy.

– Jeden-jeden!

Idąc powoli na tył kortu, poszukała wzrokiem Loli. Jak mogła zostawić ją tak długo samą? Dostrzegła ją w kawiarni. Była pogrążona w rozmowie z kobietą, której Frania nie знаła. Lola położyła poufale dłoń na jej ramieniu. No proszę. Ona tu się męczy, a Lola popija sobie lemoniadę i plotkuje.

Podrzuciła wysoko piłkę. Obserwowała, jak ta powoli obraca się w powietrzu, osiąga najwyższy punkt i z narastającą prędkością zaczyna opadać. Uderzyła. Irma wykazała się przytomnością oka i zręcznością. Rozpoczęła się długa wymiana.

Irma biegła po korcie, efektownie posyłając kolejne piłki na stronę Frani, która zacięcie się broniła. Wreszcie Irma wykonała zgrabny piruet i zdobyła kolejny punkt. Spojrzała z triumfem na Sándora. Stał oparty o werandę. Icchak nadal żywo gestykulował, nie przerywając monologu. Sándor zdawał się jednak go nie słuchać. Patrzył na Franię! Mało, gapił się na nią! I to z czułością, jaką nigdy nie obdarzył Irmy. Nie widział ani piruetu, ani kusząco zgiętej nogi Irmy. Całą swoją uwagę skupiał na Frani w tych zabawnych szortach i dziwnej kamizelce, Frani, która akurat bez sensu kołysała się na piętach i wymachiwała rakieta, czekając, aż Irma zajmie pozycję do serwisu. O niedoczekanie!

Irma odwróciła się i ruszyła w stronę domku klubowego. Rzuciła ze złości raketę na ziemię, a piłkę z całej siły cisnęła przed siebie. Niestety ta dość niefortunnie odbiła się od ławki stojącej przy korcie i powróciła w stronę wściekłej Irmy z olbrzymią siłą.

Irma wrzasnęła i upadła na ziemię, wznosząc chmurę glinianego pyłu.

– Nóżki baranie! – krzyknęła Frania. Kiedy do niej podbiegła, z przerażeniem stwierdziła, że Irma zakrywa twarz dłońmi, a spomiędzy jej palców sączy się krew. – O nie! Déjà vu!

Sándor zbiegł z werandy. Ze swojego miejsca zerwała się również Lola.

– Znowu złamałaś jej nos? – krzyknęła do Frani.

– Jak to znowu? – zapytał Sándor, pochylając się nad Irma.

– O nie! – Frania wymierzyła w niego raketę, by dodać mocy swoim słowom. – Tym razem sama sobie złamała!

*

Taras był niemal pusty. Prócz staruszka drzemiącego w fotelu inwalidzkim nie było tu nikogo. Liście starych klonów rosnących w szpitalnym parku zaczynały powoli żółknąć. Sándor wystawił twarz do przebijającego się między nimi słońca.

Ależ się pomylił co do Irmy! W kobietach cenił ponad wszystko pewność siebie. Jej brak prowadził bowiem do ataków hysterii, wybuchów zazdrości, niesmacznych scen w miejscach publicznych czy – jak się właśnie okazało – do szantażu jego drogiej przyjaciółki. Który rozsądny mężczyzna miał na to siłę? I kto by pomyślał, że zachwycająca Irma Firlej wykaże się takim brakiem wiary we własny urok, że podstępem spróbuje się pozbyć Frani? A gdyby ta się ugięła i wyjechała na zawsze z Warszawy? Co wtedy? Utrata Frani byłaby nieznośna!

Należało definitywnie zakończyć romans z Irmą. Tylko jak? Niestety w wyniku tego nieszczęsnego meczu tenisowego wylądowała w szpitalu i nie bardzo wypadało ją teraz porzucać. To byłoby niehonorowe. Ile czasu należy odczekać z zerwaniem stosunków, żeby nie wyjść na kompletnego drania?

Na taras wyszła młoda pielęgniarka w długim białym fartuchu. Uśmiechnęła się do Sándora. Ten się skłonił i już miał do niej podejść, gdy staruszek przebudził się z drzemki i zaczął rządzić i kaszleć. Pielęgniarka podbiegła i okryła go szczelniej kocem.

– Czas na podwieczorek, panie pułkowniku – powiedziała i pchnęła wózek w stronę wyjścia.

Kiedy mijali Sándora, staruszek mrugnął do niego, po czym znowu zaniósł się wyraźnie przesadzonym kaszlem.

ROZDZIAŁ XI

O KŁOPOCIE LOLI I RYZYKOWNYCH POD WIELOMA WZGLĘDAMI POCZYNIANIACH FRANI

PONIEDZIAŁEK, 22 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Lola dreptała w tę i we w tę przed cukiernią Lourse'a. Była spóźniona dobry kwadrans, a mimo to nie mogła zdobyć się na wejście do środka. Bała się rozmowy z Franią.

Przez połyskującą w słońcu, nieskazitelnie czystą szybę widziała ją siedzącą przy jednym z okrągłych stoliczków. Czytała jakąś gazetę, może „Le Journal”, a może „Le Petit Parisien”. W wiszącym za jej plecami olbrzymim lustrze w złoconej ramie odbijały się jak zwykle nieco zwichrzone z tyłu miedziane włosy. Nie pierwszy raz Lola stwierdziła, że mimo nieperfekcyjnej fryzury i sukienki sprzed dwóch sezonów Frania w zupełnie organiczny sposób przynależy do świata eleganckich, drogich kawiarni, gdzie można czytać francuską prasę, popijając kawę z najlepszej porcelany, przy dyskretnym świetle rzucanym przez kryształowe żyrandole. Frania była u siebie, po prostu. Staranne wykształcenie i wyniesiona z domu ogłada pozwoliły jej wejść wprost z mazowieckiej prowincji do najelegantszych warszawskich salonów. Odnajdowała się tu bez wysiłku, mimo że najczęściej nie miała ochoty w nich bywać. Jakież to było niesprawiedliwe. Lola nigdy nie czuła się tu do końca pewnie,

nawet gdy miała na sobie najpiękniejszą suknię prosto z Paryża czy Wiednia. A wypadki ostatnich dni sprawiły, że bardziej niż zwykle drżała o zdobyty ciężką pracą i sprytem awans społeczny. Ledwie odetchnęła po tym niefortunnym szantażu Irmy, a już czyhało na nią kolejne niebezpieczeństwo.

Ale jeżeli miała być ze sobą zupełnie szczerą – a kogo, jak kogo, ale siebie Lola nie oszukiwała nigdy – to musiała przyznać, że gorsza od utraty pozycji towarzyskiej byłaby utrata przyjaźni Frani. Tego Lola by nie zniosła. Frania, z wszystkimi niedoskonałościami ducha, emocjonalnym rozedrganiem, naprzemiennymi wybuchami gniewu i rozpacz, była jej kotwicą, jedyną istotą w całej Warszawie, której nie zależało na względach Loli, bo była piękna albo mogła oznaczyć ją na towarzyskiej mapie stolicy pochlebną opinią w „Tygodniku Wytwornym”.

Lola ponownie zajrzała do wnętrza cukierni. Frania akurat podniosła głowę znad gazety i ich spojrzenia się spotkały. Lola poczuła ucisk w żołądku, bezwiednie uniosła dłoń na powitanie. Frania odpowiedziała uśmiechem. Nie było rady. Teraz musiała wejść do środka i powiedzieć prawdę.

Kelner usłużnie odsunął mahoniowe krzesło z wiedeńską plecionką. Lola przysiadła na jego skraju. Nie patrząc na Franię, zaczęła zdejmować rękawiczki, palec po palcu zsuwała jedwabny materiał z dłoni. Frania tymczasem przerzucała nieuważnie kolejne szeleszczące strony gazety.

– Trwają przygotowania do wystawy sztuki dekoracyjnej i wzornictwa w Paryżu. Polski pawilon będzie inspirowany kościołami, dworami i stylem zakopiańskim naraz, wyobraź sobie.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Słucham cię, moja droga. – Frania złożyła gazetę i oddała ją kelnerowi, który ponownie zjawił się przy stoliku.

Lola przyjęła kartę i ukryła się za nią przed spojrzeniem Frani, by zebrać myśli.

A może nic nie mówić? Nie, przecież zaraz cała Warszawa się dowie. Lepiej, żeby usłyszała to od niej.

– O czym chciałaś rozmawiać? – zapytała Frania, gdy tylko Lola zamówiła kawę.

Lola spojrzała jej wreszcie prosto w oczy.

– Franiu, niewykluczone, że za kilka dni wybuchnie skandal z moim udziałem. Przez wzgląd na naszą przyjaźń chciałabym ci o wszystkim powiedzieć, zanim to nastąpi.

– Skandal? Czyżbyś uwiodła jakąś żonatą polityczną figurę?

– Gdyby tylko! – westchnęła Lola.

Frانيا spoważniała. Na pięknej twarzy Loli malował się smutek i nagle w głowie jej przyjaciółki pojawiła się straszna myśl, że cokolwiek Lola miała jej do powiedzenia, musi to być wymierzone w nią, Franię.

– Lolu, chyba mi nie powiesz, że jesteś zamieszana w kradzież tego obrazu!

– Ależ skąd! Cóż to za głupi pomysł! – obruszyła się Lola.

Frانيا odetchnęła.

– Uff, bo wiesz, ten obraz nie daje mi spokoju. Wczoraj mi się śnił. Wyobraź sobie, stałam w muzeum...

– Franiu! – W głosie Loli pojawiła się nuta rozpaczki.

– Przepraszam. Mów. – Wyciągnęła ręce na stoliku i mocno chwyciła dłonie przyjaciółki.

Lola wbiła spojrzenie w ich splecione palce.

– Alina Teiss mnie szantażuje – powiedziała wreszcie.

– No doprawdy, następna! Ależ mamy pecha do szantażystek. Czego chce?

– Żebym o niej pochlebnie pisała w mojej rubryce.

– Hmm. Jej ostatnia wystawa nie miała najlepszej prasy, to fakt, ale to bardzo utalentowana artystka. Wizjonerka. Napisz jej dobrą recenzję, co ci szkodzi.

– Chodzi o zasadę. Nie będę pisała ani dobrze, ani źle o kimś, kto mnie przymusza do tego szantażem.

– A co ona na ciebie ma?

Lola się zawahała.

– Listy. Pisane moją ręką, podpisane moim nazwiskiem.

– I cóż takiego jest w tych listach, że można cię nimi szantażować?

Kelner postawił przed Lolą filiżankę. Zapachniało mocną kawą. Kiedy się oddalił, wzięła oddech, jak ktoś, kto właśnie ma wskoczyć do głębokiej wody.

– Wyznania miłosne.

– Twoje? Do niej?

– Tak.

– Ale w czym problem, Lolu? Przecież wielu artystów dostaje podobne listy. Taki Chopin na przykład dostawał dziesiątki wyznań każdego dnia. Podobno było to dla niego bardzo nużące, choć niewątpliwie takie oznaki sympatii i uwielbiana dla talentu są bardzo miłe. Z kolei Sienkiewicz, kiedy przebywał w Szwajcarii...

– Franiu! – Lola podniosła głos.

Siedzący przy stoliku obok starszy jegomość, który – zdaje się – przysnął nad gazetą, podniósł raptownie głowę i spojrzał nieco zagubiony w ich stronę. Zamrugał, ciut oprzytomniał i ponownie zatopił się w lekturze.

– Ty nic nie rozumiesz – powiedziała Lola, tym razem zniżając głos do szeptu. – Alina i ja miałyśmy romans! W tych listach są szczegóły naszej relacji, wyznania, które, wierz mi, nie pozostawiają złudzeń co do tego, jaka łączyła nas więź.

Frania cofnęła dłonie i patrzyła dłuższą chwilę na Lolę z półotwartymi ustami.

– Ależ byłam ślepa! Ci wszyscy mężczyźni, którzy za tobą chodzą... Ty ich nie zwodzisz, ty ich naprawdę nie chcesz!

Lola spuściła głowę. W filiżance ze stygnącą kawą zobaczyła swoje wykrzywione odbicie. Odsunęła ją od siebie.

– A kiedy byłem u ciebie ostatnio i ktoś się krył w twojej sypialni, to była ona?

Lola pokręciła głową.

– Nie. Teraz spotykam się z kimś innym.

Frania umilkła. Objęła myślami dwa lata ich znajomości. Jak mogła niczego się nie domyślić? Przecież nieraz widziała listy od adoratorów, które nieczytane lądowały w koszu. Albo te zręczne uniki czynione za każdym razem, gdy w stronę Loli sunął mężczyzna chcący porwać ją do tańca. I obojętność, jaką obdarzała nawet kogoś tak czarującego jak Sándor.

– Ależ byłam ślepa – powtórzyła.

– Rozumiem, jeżeli to coś zmienia między nami.

– Dlaczego ma to cokolwiek zmienić? Chyba żartujesz! – Frania ponownie wyciągnęła ku niej dłonie.

Lola uśmiechnęła się pierwszy raz, odkąd przestąpiła próg cukierni.

– Nawet nie wiesz, jak mi ulżyło, Franiu. Ciężko mi było to przed tobą ukrywać, zwłaszcza że Sándor wie.

– Co? – W oczach Frani mignął cień urazy. – Jemu powiedziałaś, a mnie nie?

– Cóż, Sándor jest świetnym obserwatorem kobiet, sam się domyślił, i to prawie na początku naszej znajomości. Zresztą, ja się właściwie nie kryję zbytnio z tym, że wolę kobiety. Taka szczerosc popłaca. Czterech na pięciu niechcianych adoratorów natychmiast daje mi spokój.

– Ale jeden na pięciu nie daje za wygraną. – Frania pokręciła głową i sięgnęła po filiżankę. – Mężczyźni!

Jegomość przy stoliku obok widać ponownie zapadł w drzemkę, bo chrapnął donośnie. Ocknął się, rozejrzał po cukierni i podjął kolejną próbę doczytania nużącego artykułu. Obserwowały go przez chwilę, wymieniając znaczące spojrzenia. Już po chwili znowu kołysał się bezwładnie nad rozłożoną gazetą i z półprzymkniętymi powiekami walczył z sennością.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała Frania.

– Nie wiem. Jeżeli te listy przedostaną się do brukowców, a nie mam wątpliwości, że Alina spełni swoją groźbę, to wybuchnie skandal. Zwolnię mnie z pracy. Zacznie się nagonka, tak jak na tę nieszczęsną doktor Sadowską.

– O nie, Lolu. Nie dopuścimy do tego. Opowiedz mi więcej o tym szantażu.

– Rozstałyśmy się w złości. Wiesz, Alina jest kapryśna, wybuchowa. Zraniłam jej ego, odchodząc, i teraz się mści.

– A może jeżeli z nią porozmawiasz na spokojnie, to przestanie cię szantażować?

Lola pokręciła głową.

– To na nic! Już próbowałam. Boję się, że w przypływie złości któregoś dnia po prostu wyśle te listy do redakcji. Albo pokaże je komuś. Ja muszę te listy odzyskać, Franiu! Muszę!

– Spokojnie. Coś na to zaradzimy. – Frania postukała palcami w blat stołu.

Tymczasem w drzwiach stanął Sándor. Rozejrzał się po wnętrzu cukierni i uśmiechnął do młodej guwernantki siedzącej pod oknem

z dwójką niezwykle grzecznych chłopców jedzących powoli lody z bitą śmietaną.

– O czym rozmawiacie? – zapytał, gdy dosiadł się do ich stolika.

– O tym, że moja była kochanka mnie szantażuje – powiedziała Lola.

– O widzisz. – Sándor pokręcił głową. – I to jest właśnie ryzyko spotykania się z kobietami. Jednego dnia miłość po grób, następnego nienawiść zdolna wypalić wszystko do gołej ziemi. Jak nie dramat, to intryga. Jak nie szantaż emocjonalny, to finansowy. Jak nie urok, to...

– Nie generalizuj, proszę – przerwała mu Lola.

Frania chciała zapytać o Irmę, ale ugryzła się w język.

– Trzeba jej te listy odebrać... – powiedziała po chwili.

– Ha, tylko jak?

– Normalnie! Musimy zakraść się do jej mieszkania i je wziąć.

– O nie! – zaprotestowała Lola.

– No co? Teoretycznie nie jest to kradzież, bo to twoje listy.

– Franiu, nie ma mowy! Nigdzie się nie będziemy zakradać. Musi być inny sposób.

Zapadła chwila milczenia, którą przerwał Sándor.

– Można by zatrudnić złodzieja, który zrobiłby to za nas! Lola, czy ty nie znasz jakiegoś pajęczarza?

– Pajęczarz to ktoś, kto kradnie prześcieradła ze strychów. Chodzi ci pewnie o lipkarza.

– A kto to jest lipkarz? – zapytała Frania.

– Włamywacz. Taki, który wchodzi przez okno. Lipko znaczy się.

– Znasz czy nie znasz? – zniecierpliwiał się Sándor.

– Znam. Ale nie po to wyrwałam się z Woli, żeby się teraz uciekać do takiego procederu.

– Racja – przyznała Frania. – Poza tym to ryzykowne. Co, jeśli taki lipkarz zacznie dla odmiany szantażować Lolę? Przecież nie będziemy mogli się poskarżyć Sztabie, jak coś pójdzie nie tak. Sami musimy dostać się do środka.

– To się nie uda. Nie będziemy się przecież włamywać.

– Jest jeden, zupełnie legalny sposób. – Sándor mrugnął i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął grubą brązową kopertę i zaczął przeglądać jej zawartość. Wreszcie wyjął z niej wycięte ogłoszenie prasowe i położył je na stole.

– Irma u mnie zostawiła – dodał w odpowiedzi na pytające spojrzenia. – Zamierzam zwrócić jej zdjęcia i naszą korespondencję dziś wieczorem, więc oddam przy okazji i to.

– O! I tak postępuje dżentelmen, kiedy romans się kończy – powiedziała Lola.

Frania pochyliła się nad wycinkiem.

– „Poszukuje się pań malarsko interesujących, o bogatym życiu wewnętrznym do roli modelek do aktów pędzla Aliny Teiss, jej uczniów i uczennic” – odczytała.

– Co to znaczy malarsko interesujących? – zapytała Lola.

– Nie muszą urzekać urodą, ale powinny mieć rodzaj wewnętrznego piękna, złożoności, może rozedrgania. Innymi słowy, to coś, co artysta uchwyci na płótnie – wyjaśniła Frania.

– Malując je nago?

– Tak.

– Nie rozumiem.

– To, co niewidoczne, jest w kobiecie najciekawsze. – Sándor puścił do Frani oko.

– Otóż to! – przytaknęła. – Trzeba być artystą o wielkiej wrażliwości, by to wydobyć. Rzeczywiście pomysł jest przedni, Sándorze. Doskonały pretekst, by dostać się do pracowni Aliny, a stamtąd do jej mieszkania. Zgłoszę się! – Frania zgarnęła kartkę ze stolika i pewnym krokiem ruszyła do stojącego w rogu kawiarni stoliczka z telefonem.

– Franiu! – zawołał za nią Sándor. – Franiu! Ale przecież ja żartowałem!

ŚRODA, 24 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Frania owinęła się ciasno jedwabnym szlafrokiem i wyszła z przepierzenia. W pracowni Aliny Teiss unosił się znajomy zapach farb olejnych i terpentyny. Było tu dużo, bardzo dużo światła, którego Frania natychmiast jej pozazdrościła. Wpadało przez imponujące okna i świetliki w skośnym dachu. I jakby jeszcze było go Alinie mało, zawiesiła w pracowni podłużne kryształły, które dodatkowo rozpraszały promienie

słoneczne i rzucały dookoła tęcze refleksy. Poruszone przez wpadający przez uchylone okno wiaterek, uderzały o siebie, wypełniając pomieszczenie przyjemnym dzwonieniem. Na jedynej pozbawionej okien ścianie zawieszono wysoko pod sufitem długą półkę, na której stały doniczki z bluszczem i epipremnum. Długie pędy opadały niemal ku podłodze, tworząc ciemnozieloną kurtynę. Każdy wolny skrawek ścian pokrywały zaś obrazy Aliny. Były to głównie akty, portrety kobiet uchwyconych w półśnie lub rozmarzeniu.

– Są zachwycające – powiedziała Frania.

– Dziękuję. – Alina stanęła obok, splótła ręce na piersiach i objęła wzrokiem swoje prace. Wpatrywała się w nie z taką czułością, że Frania była pewna, iż Alina nie ma cienia wątpliwości co do ich artystycznych walorów mimo złej prasy, niechęci marszandów i braku zainteresowania publiczności. Znowu poczuła ukłucie zazdrości. Ona, Frania, wątpiła w każde muśnięcie własnego pędzla na płótnie.

Do pracowni zaczęli schodzić się studenci. Młodzi mężczyźni o zmierzwiionych czuprynach, w garniturach z powycieranymi łokciami przesuwali sztalugi i rozkładali stoliczki na przybory. Nieliczne dziewczęta w tej grupie stanęły pod oknem i chichocząc, rozprawiły o czymś z przejęciem.

Alina była zachłanna. Ściągała na siebie nie tylko światło, ale i uwagę swoich uczniów. Klasnęła dwa razy i w pracowni zapadła cisza. Spojrzenia zebranych skupiły się na niej. Rozpoczęła krótki wykład. Nikt nie śmiał się poruszyć, mimo że słuchali jej na stojąco.

Przez chwilę zrobiło jej się żal Aliny. Pomyślała, że może tę zachłanność wykazywała również w miłości, a kiedy jej zabrakło, rozpaczliwie chwytła się każdego sposobu, by wydrzeć choć skrawek. A może w całym tym zamieszaniu z Lolą chodziło o coś zupełnie innego? Należne uznanie dla jej obrazów, którego ciągle jej odmawiano? Może tylko dlatego chciała wymusić przychylną recenzję?

– Nie ta kobieta jest piękna, która ma pępek w tym samym miejscu, gdzie ma go Wenus z Milo, ale ta, co ma piękną duszę. I zadaniem artysty jest tę duszę ukazać w postaci światła, które niczym świeca lampę solną opromienia twarz, a niechby i nieatrakcyjną. Jak to światło wydobyć? Oczywiście, drodzy państwo...

Frania przysłuchiwała się temu, co Alina mówiła do studentów, a jednocześnie dyskretnie sprawdzała pracownię. Za zieloną roślinną kurtyną dostrzegła przeszklone drzwi ozdobione od drugiej strony zasłonkami w drobną pomarańczową kratę. „To tutaj” – pomyślała. Odwróciła się. Alina umiała utrzymać uwagę zebranych. Wpatrywali się w nią jak zahipnotyzowani. Frania rozgarnęła bluszczowe gałązki i sięgnęła ku klamce. Drzwi były zamknięte. Przypomniała sobie, że na biurku po drugiej stronie pracowni widziała klucz. Przesunęła się po cichu, nie spuszczając wzroku z odwróconej do niej plecami Aliny. Kiedy dotarła do biurka, Alina spojrzała w jej stronę. Frania udała, że studiuje wiszące w pobliżu obrazy, a kiedy malarka ponownie skierowała uwagę na otaczających ją studentów, zgarnęła szybko klucz do kieszeni szlafroka. Ponownie przesunęła się w stronę roślinnej ściany. Klucz zgrzytnął cicho, kiedy przekręciła go w zamku.

– Proszę modelkę o zajęcie miejsca! – usłyszała nagle.

Frania odwróciła się od drzwi, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Zapraszam! – W głosie Aliny pojawiło się zniecierpliwienie.

Nie było wyjścia. Frania podeszła z ociąganiem. Prawdę mówiąc, liczyła na to, że uda jej się przechwycić listy, zanim przyjdzie czas na pozowanie. Nagle ogarnęła ją fala nieśmiałości. Z wyjątkiem Sewera, który zachwycał się jej ciałem i z czułością pokrywał każdy jego centymetr pocałunkami, nikt nigdy nie oglądał jej nagiej. Marynia widywała ją w *dessous*, kiedy trzeba było założyć jedną z tych okropnych sukni o tysiącu guzików. Ale to nie to samo. Nóżki baranie. Rozejrzała się po pracowni. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Alina zajęta była drapowaniem materiału na fotelu, studenci przysuwali bliżej sztalugi, inni wybierali farby, jeszcze inni wymieniali półgłosem uwagi na temat wykładu. Frania, choć sama aktów nie malowała, odwołała się wreszcie do swojego artystycznego doświadczenia, przełknęła głośno ślinę i pociągnęła za pasek przytrzymujący peniuar.

Jedwab zsunął się z jej piegowatych ramion, opadając bezgłośnie u stóp. Alina wskazała jej miejsce na ratanowym fotelu. Kiedy Frania usiadła, artystka wyciągnęła z jej włosów spinkę przytrzymującą loki. Odgarnęła je na bok, odsłaniając ucho, cofnęła się o kilka kroków i spojrzała z aprobatą.

– Wygodnie? – zapytała.

Frania przytaknęła.

Alina klasnęła w ręce, nakazując ciszę.

– Zaczynamy!

Frania zadrżała. Poczuła nagle na sobie spojrzenia wszystkich zebranych w pracowni osób.

– Nie za zimno?

Frania pokręciła przecząco głową.

– Pierwszorzędnie. – Alina pokiwała głową z uznaniem i zaczęła krążyć między studentami.

Frania nieco się odprężyła. Przeszło jej przez myśl, że było w tej nagości coś wyzwalającego. Zniknęła kobieta ubrana w garsonkę, panna z dobrego domu, pracownica muzeum winna społeczeństwu określone zachowanie. Była tylko Franciszka, kobieta zraniona, która ze strachu przed kolejną stratą nie pozwalała sobie na miłość. I była malarka, która walczyła z mrokiem. Czy to widać?

Rozejrzała się po pracowni. Studenci pracowali w skupieniu. Ich spojrzenia krążyły między jej nagim ciałem a płótnami. Z tyłu pracowni zobaczyła młodego człowieka; wydał jej się znajomy, ale zanim zdążyła mu się dobrze przyjrzeć, schował się za sztalugami. Uniosła się na łokciu, ale dostrzegła jedynie zmierzwioną czarną czuprynę.

– Proszę się nie ruszać! – Alina podniosła głos.

Frania opadła na fotel.

Po dłuższej chwili przymusowego bezruchu zaczęła się niecierpliwić. Alina tymczasem krążyła po pracowni, aż dotarła do studenta, który wydał się Frani znajomy.

– Bardzo dobrze, panie Zieliński – pochwaliła go.

Odpowiedział coś niewyraźnie. Frania ponownie się wychyliła, by go zobaczyć; na próżno, nadal był ukryty za swoim płótnem. Czyżby to był ten sam Zieliński, którego obraz sprezentowany przez hrabiego zdobił buduar? Tylko dlaczego wydawał jej się znajomy? Przecież nigdy nie poznała go osobiście. A może poznała? Lola co rusz przedstawiała jej najróżniejszych kawalerów, licząc na to, że któryś obudzi we Frani głębsze uczucia.

Alina dostrzegła, że Frania wierci się w fotelu.

– Dobrze, dajmy pani odpocząć – powiedziała. – Piętnaście minut przerwy.

Pracownię wypełniły rozmowy, ktoś otworzył szerzej okno, zadzwoniły kryształły poruszone mocniejszym podmuchem wiatru. Frania narzuciła szlafrok i zaczęła się przeciskać między sztalugami na tył sali. Kiedy dotarła do stanowiska pracy tajemniczego Zielińskiego, nie było go w pobliżu. Podeszła do okna i dostrzegła znajomą sylwetkę w grupie palących studentów. Widziała jedynie jego profil i nadal nie mogła sobie przypomnieć, skąd się znają. Wychyliła się, by mieć lepszy widok. Poły szlafroka rozsunęły się przy tym bardziej, niżby sobie życzyła. Przechodzący ulicą pan uśmiechnął się przyjaźnie i uniósł kapelusz. Towarzysząca mu kobieta zacisnęła oburzona wąskie usta i uderzyła go w ramię torebką. Speszona Frania wróciła do płótna Zielińskiego. Kontury były zamazane, dobór kolorów nieoczywisty, ale bez wątpienia mogła rozpoznać siebie. I to nie tylko własną twarz i sylwetkę, ale też całą złość i smutek, które w sobie nosiła. Przejrzała ją!

Wzdrygnęła się i przypomniała sobie nagle o Loli. Trzeba znaleźć te listy, zanim skończy się przerwa. Poszukała wzrokiem Aliny. Rozmawiała właśnie ze studentką, która najwyraźniej nie radziła sobie tak dobrze jak Zieliński. Dziewczyna dosłownie kuliła się pod ostrzałem krytycznych uwag. Doskonale. Frania przesunęła się w stronę drzwi ukrytych za bluszczem. Uchyliła je tylko odrobinę i wślizgnęła się do środka.

Mieszkanie Aliny stanowiło kontrast wobec jej pracowni. Wewnątrz panował półmrok. Było tu tylko jedno niewielkie okienko przysłonięte taką samą kraciastą zasłoną jak ta w drzwiach. Frania przeszła przez izbę i zdecydowanym ruchem odstłoniła okno. Wychodziło na podwórze, więc wewnątrz niewiele pojaśniało. Była tu kuchenka gazowa, zlew, a w nim brudne naczynia, łóżko obłożone miękkimi poduszkami, szafa i sekretarzyk. Frania podbiegła do niego i otworzyła pierwszą szufladę. Przerzuciła jej zawartość, a potem szybko przejrzała kolejną. Nic.

Za drzwi dobiegło podwójne kłaśnięcie.

– Zaraz zaczynamy, proszę wracać na miejsca! – Ponad gwarem rozmów usłyszała władczy głos Aliny. O nóżki baranie!

Frانيا szarpnęła ostatnią szufladę. Była zamknięta. Sięgnęła do włosów, ale natychmiast przypomniała sobie, że Alina wyjęła jej spinkę. Rzuciła się więc do kącika kuchennego, chwyciła leżący na desce do krojenia nóż i podważyła nim zamek. Ustąpił. W szufladzie leżały

stosiki powiązanych kokardkami listów. Zawahała się. Wstyd grzebać w czyjeś korespondencji.

– Proszę modelkę o zajęcie miejsca! – Głos Aliny dobiegł zza drzwi. – Zaczynamy!

Franie opuściły skrupuły. Wyrzuciła zawartość szuflady na podłogę. Dużo tego. Listy od kobiet i mężczyzn. No, no, Alina miała ciekawe życie. Nagle na jednej z kopert dostrzegła charakter pisma Loli! Odwróciła plik. Nadawca: Leontyna Nowicka, poniżej jej adres. Przeliczyła. Pięć listów, zgadza się! Schowała je do kieszeni szlafroka i szybko wrzuciła resztę do szuflady.

Po podłodze przesunął się cień. Odwróciła się i dostrzegła kobiecą sylwetkę po drugiej stronie oszklonych drzwi. Rozejrzała się gorączkowo po izbie i bez namysłu wskoczyła do szafy.

Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi. Wąska smuga światła położyła się ukośnie na podłodze i spoczęła na szafie. Frania miała wrażenie, że minęła wieczność, zanim poświata zniknęła. Odetchnęła z ulgą. I wtedy usłyszała zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

Odczekała jeszcze chwilę, po czym odważyła się opuścić kryjówkę. Spojrzała bezradnie dookoła. Z mieszkania Aliny nie było innego wyjścia. Była uwięziona.

*

Sándor krył się w cieniu kamienic po drugiej stronie ulicy i z niepokojem nasłuchiwał odgłosów dochodzących z pracowni. Nerwowe pokrzykiwania ściągnęły do środka palących na zewnątrz studentów. Po chwili na ulicę wyszła kobieta w brunatnej sukni i fartuchu upstrzonym kolorowymi plamkami. Rozpoznał w niej Alinę Teiss. Rozejrzała się nerwowo, jakby kogoś szukała, najpewniej Frani.

Lola powiedziała mu o rozkładzie pracowni i mieszkania Aliny, a Sándor domyślił się, że skoro Frania nie wyszła głównym wyjściem, musiała dostać się do mieszkania. Tknięty złym przecuciem, przebiegł przez ulicę i wpadł na podwórze. Zebrane u jego wejścia gołębie uniosły się z szumem skrzydeł. Sándor odruchowo zasłonił twarz ramieniem. Kiedy je opuścił, jego oczom ukazała się Frania odziana w czarny

szlafroczek, uczepiona wysokiego parapetu. Wierzgała przy tym rozpaczliwie nogami, nie mogąc dosięgnąć ziemi. Sándor zapatrzył się na zgrabne łydki i białe uda zasłonięte jedynie w połowie przez szlafrok zaczepony o ostry kant parapetu. Z osłupienia wyrwał go rozłoszczony damski głos dobiegający z głębi bramy.

– Gdzie jest ta przeklęta modelka?!

Jednym skokiem znalazł się przy Frani i złapał ją w pasie. Wrzasnęła przeraźliwie i zaczęła się szarpać.

– To ja! – wyszeptał.

Poczuł, że jej napięte mięśnie rozluźniają się pod jedwabną tkaniną. Postawił ją delikatnie na ziemi. Sięgnęła do kieszeni i wcisnęła mu do ręki plik listów.

– Schowaj!

– Kariery złodziejki raczej ci nie wróżę.

– Co ty tu robisz? Mówiłam, że dam sobie radę!

– Czuwam. – Odgarnął jej z twarzy pasmo włosów. Trzymał ją nadal blisko siebie, tak blisko, że czuł przyspieszone bicie jej serca.

Frania zauważyła ponad jego ramieniem Alinę i stłoczonych za jej plecami studentów i bez namysłu pocałowała Sándora. Objął ją jeszcze mocniej i zachłannie oddał pocałunek.

– Co tu się dzieje?

– Przepraszam. Straciłam poczucie czasu przez narzeczonego. – Frania oderwała się od Sándora i pobiegła do pracowni. Studenci ruszyli za nią.

Alina obrzuciła Sándora gniewnym spojrzeniem. Uniósł grzecznie kapelusz i bez słowa opuścił podwórko.

ROZDZIAŁ XII

W KTÓRYM NASTĘPUJE DRAMATYCZNY ZWROT AKCJI, A NAWET DWA

CZWARTEK, 25 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Dzwonek telefonu przerwał popołudniową ciszę. Frania zmusiła się, by zostać przy sztalugach. Malowała właśnie pióro orlika i była z niego całkiem zadowolona.

Telefon odebrała wreszcie Marynia. Frania usłyszała jej niewyraźny głos dochodzący z sąsiedniego pokoju, a po chwili drzwi do pracowni otworzyły się i stanęła w nich służąca. Swoim zwyczajem wzięła się pod boki.

– Pan inspektor Sztaba uprzejmie zapytuje, czy zechciałaby pani zjawić się na komisariacie w celu identyfikacji skradzionego obrazu.

Frania odwróciła się tak gwałtownie, że zebrana na pędzlu farba przysła na płótno i jego okolice.

Marynia syknęła, wyjęła przewieszoną za paskiem spódnicy ściereczkę i wzięła się za wycieranie kropek farby z podłogi. Frania wrzuciła pędzel do słoika i ruszyła ku wyjściu.

– Gdzie?! – huknęła Marynia, nie odrywając się od pracy. – W kimonie?

– Racja! – Frania odwróciła się na pięcie i pobiegła do garderoby przebrać się w bardziej odpowiedni strój.

Pod posterunkiem wpadła na kustosza Skiełłę. Był blady i miał podkrążone oczy, jak ktoś, kto przeżył ciężką chorobę. Zapytała, jak się miewa.

– Przeżyłem zatrucie gazem bojowym pod Verdun, to ciastka ze starym kremem mi niestraszne. – Machnął ręką. Frania nie wspomniała o podejrzeniach inspektora Sztaby co do trucizny.

Chybura bez słowa poprowadził ich w głąb komisariatu, ku niewielkiemu pomieszczeniu z okratowanymi oknami i podłogą wyłożoną buriem linoleum. Na środku stał stół nakryty białym prześcieradłem, skrywającym niewyraźny kształt. W pokoju był już Sztaba i Frania pomyślała, że jak na kogoś, kto właśnie odnalazł skradziony obraz, inspektor wykazuje niewiele entuzjazmu. Wyraz jego twarzy wręcz zdradzał zdenerwowanie, co wywołało i w niej niejasne uczucie niepokoju.

– Dlaczego o identyfikację nie poproszą panowie hrabiego Kozielińskiego? – zapytał kustosz Skiełło.

Sztaba milczał przez chwilę, a jego twarz spochmurniała jeszcze bardziej.

– Chciałbym oszczędzić panu hrabiemu przykrego widoku – powiedział wreszcie.

– Nie rozumiem.

Spojrzał na Chyburę i skinął głową. Aspirant podszedł do stołu i zdjął prześcieradło.

Skiełło złapał się oburącz za głowę i jęknął. Frania cofnęła się o kilka kroków.

Na stole w stercie popiołu leżało kilka kawałków nadpalonego płótna.

– Jak to? Panowie? – Głos Skiełły był ledwie słyszalny.

– Czy mogą państwo potwierdzić, że to obraz *Kukułka* Józefa Chełmońskiego skradziony niemal cztery tygodnie temu z muzeum? – zapytał rzeczowo inspektor Sztaba.

Frانيا podeszła niechętnie do stołu. Wzięła do ręki pierwszy z brzegu fragment. To była korona brzozy. Zamknęła oczy, przywołała wspomnienie *Kukułki*. Były tam takie brzozy, tak, chyba tak. Chybura podała jej kolejny fragment, był niewielki, miał nieregularny kształt, na brzegach poskręcany od wysokiej temperatury. Ostrożnie starła

chusteczką sadzę. Ukazało się żółte oko, delikatna główka, fragment rozpostartego skrzydła.

– To ten obraz – powiedziała.

– Jest pani pewna?

– Tak.

– A pan?

Skiełto zaczął przerzucać gorączkowo kupkę nadpalonych, poczerniałych fragmentów płótna, jakby czegoś szukał. Wreszcie podniósł do twarzy niewielki kawałek, na którym niemal w całości zachował się podpis Józefa Chełmońskiego. Podał go Sztabie, po czym ciężko opadł na krzesło pod ścianą.

– Kto? – zapytał, łapiąc z trudem powietrze. – Kto by się poważył zrobić coś takiego?

Sztaba wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Chyburą.

– Dostaliśmy anonimowy donos, że w pustostanie przy ulicy Barskiej widziano Paprotka. Kiedy dotarliśmy na miejsce, znaleźliśmy resztki obrazu.

– Romuś? – Skiełto pokręcił głową. – To niemożliwe.

– Szukamy go. Podejrzewamy, że od kilku tygodni ukrywał się z obrazem, próbując go spieniężyć. Ktoś go rozpoznał, Paprotek się przestraszył i postanowił zniszczyć obraz, by pozbyć się dowodu winy.

Frania się zamyśliła. Co wiedziała o Romanie Paprotku? Niewiele. Rzadko rozmawiali, mijali się na muzealnych korytarzach, wymieniając jedynie uprzejmości. Może i był zdolny do kradzieży? Może.

– No ale przecież jeszcze tydzień temu miał pan inną teorię – powiedziała.

– Ale teraz mam taką!

Kustosz Skiełto wyglądał coraz gorzej. Jego twarz zmieniła kolor z kredowobiałego na pąsową czerwień. Oddychał z trudem. Chybura skoczył po wodę. W drzwiach minął likwidatora szkód Wężyka.

– Uszanowanie! – Wężyk uniósł kapelus. Dzień był ciepły, toteż zamiast prochowca miał na sobie garnitur w kolorze jasnych polnych kamieni i grafitowy krawat. Trzymał się konsekwentnie swoich ulubionych szarych tonacji. – Widzę, że pan inspektor odzyskał wreszcie obraz hrabiego Kozielińskiego – powiedział z kpiącym uśmiechem.

– Owszem.

– A eksperci z muzeum potwierdzają, że to skradziony obraz?

– Tak – powiedziała Frania. Kustosz Skiełło tylko pokiwał w milczeniu głową.

Wężyk przysunął do stołu krzesło i wyjął plik formularzy, które ułożył w równiutki stosik na skrawku wolnym od nadpalonych szczątków. Zaczął wypełniać kolejne rubryczki, mrużąc coś pod nosem. Nikt się nie odzywał. Chybura wachlował kustosa Skiełłę złożonym w harmonijkę porannym wydaniem „Kuriera”, Sztaba z założonymi do tyłu rękami wyglądał przez okno, a Frania czyściła chusteczką ocalałe fragmenty *Kukułki*, żałując mistrzowsko uchwyconego zimowego krajobrazu.

Likwidator Wężyk wyprostował się wreszcie znad swoich papierów.

– Poproszę panią o podpis. A pana o pieczęć i podpis.

– Czy pan hrabia już wie? – zapytała Frania po dopełnieniu formalności.

– Chciałem mieć pewność, zanim go pofatyguję. – Sztaba nadal wyglądał na ulicę.

Inspektor Wężyk klepnął go po plecach.

– Może informacja, że w ciągu trzech dni wypłacimy mu pokaźne odszkodowanie, pomoże ukoić jego ból.

Sztaba pokiwał głową. W końcu oderwał się od widoku za oknem.

– Dziękuję państwu za fatygę.

Strzelił obcasami i wyszedł.

Frانيا pomogła wstać kustoszowi Skielle i poprowadziła go ku wyjściu. Odwróciła się jeszcze w drzwiach i rzuciła ostatnie spojrzenie na smętne resztki *Kukułki*.

SOBOTA, 27 WRZEŚNIA 1924 ROKU

Doktor Luber mimo żydowskiego pochodzenia pracował w soboty, a odpoczywał w niedziele. Jego największą zawodową pasją było buszowanie w duszach i umysłach wielkich polskich romantyków. Namiętnie wykorzystywał freudyzm do analizy dzieł literackich oraz ich autorów. Ci jednak z oczywistych względów do niego nie przychodzili.

Przez jego gabinet przetaczała się za to kawalkada pacjentów innych kategorii: byłych żołnierzy, uciekinierów z bolszewickiej Rosji i znudzonych żon szukających w psychoanalizie wyjaśnienia, czemu ich dostatni byt u boku poważanych mężów nie daje spełnienia. Była i Franciszka Eleonora Tańska, której popołudniowa wizyta zamykała tydzień pracy doktora.

Trafiła do niego pod koniec sierpnia z polecenia lekarza domowego, który ku irytacji doktora Lubera zdiagnozował u niej kobiecą histerię. Co za nonsens. Tylko ktoś niedouczony lub leniwy mógł stwierdzić u pacjentki schorzenie, które nie istnieje.

Doktor Luber szybko ustalił, na czym polegał prawdziwy problem Franciszki Tańskiej. Wysłuchał w milczeniu jej opowieści o blokadzie twórczej i notorycznym niszczeniu niedokończonych obrazów, po czym wstał zza zawalonego papierami biurka i podszedł do dębowego regału. Przesuwał palcami po grzbietach książek, mruczając pod nosem tytuły, aż trafił na *Psychopatologię życia codziennego*.

– Zygmunde Freud – zaczął, siadając ponownie za biurkiem – opowiada o pewnej pani, która podczas żałoby po matce nie chodziła, rzecz jasna, do teatru. Na kilka dni przed końcem roku żałoby uległa namowom przyjaciół i kupiła bilet na wyjątkowo interesujące przedstawienie. Przy wejściu do teatru spostrzegła, że bilet zgubiła. Dlaczego pani tak na mnie patrzy?

– Cóż, mnie również zdarzyło się kiedyś zapomnieć biletu do teatru. – Franja zmarszczyła mimo woli brwi na wspomnienie niefortunnego incydentu sprzed dwóch lat. – Nie ma chyba w tym nic nadzwyczajnego?

– Zastanówmy się. Owa pani zapewnia, że nigdy jej się nie zdarza zgubić czegoś przez nieuwagę.

– Ale takie rzeczy przecież od czasu do czasu przytrafiają się każdemu. Przypadek i tyle.

– Czyżby? Freud takiego zgubienia biletu nie określa mianem przypadku. Używa określenia „błąd życia codziennego”.

– Błąd, przypadek, co za różnica?

– A taka, że błędy popełniają ludzie. Świadomie lub nie. A przypadek to zjawisko, na którego wystąpienie człowiek nie ma wpływu.

– Sugeruje pan, że ta pani celowo zgubiła bilet?

– Owszem.

– Ale dlaczego?

– Czy to nie jest oczywiste? Owa pani postępuje tak, jakby pragnęła pozbawić się przyjemności, ukarać, ponieść pewną ofiarę. Widać uznała, że zerwanie z żałobą, powrót do zwykłych zabaw i rozrywek to coś zdrowego. Okazuje się, że wiele przypadków zagubienia lub zniszczenia przedmiotu to wyraz nieświadomej ofiary. Człowiek czyni nieświadomie to samo, co świadomie uczynił Polikrates, rzucając...

– ...pierścień do morza – dokończyła Frania.

– Otóż to. – Doktor Luber zamknął książkę.

Frانيا popadła w zadumę.

– Czyli uważa pan – powiedziała po chwili milczenia – że niszczą swoje obrazy, składam z nich nieświadomą ofiarę. Czuję się winna, ponieważ w głębi duszy chciałabym wrócić do normalnego życia, do radości tworzenia mimo śmierci Sewera?

– W rzeczy samej. – Doktor Luber uśmiechnął się dobrotliwie.

– Jaka jest na to rada?

– Przestać niszczyć obrazy.

Frانيا zerwała się z krzesła i zaczęła krążyć po gabinecie.

– I to jest pańska rada? Nie ma na to poczucie winy żadnego sposobu? Żadnego leku?

Pokręcił głową.

– To już wolałam mieć kobiecą histerię! Na to przynajmniej jest terapia.

Doktor Luber chciał zaprotestować, powstrzymał się jednak. Z doświadczenia wiedział, że tłumaczenie mitów na temat histerii na niewiele się zdaje.

Frانيا sięgnęła do kieszeni po papierośnicę.

– Pozwoli pan?

Skinął głową.

– Niszczenie przedmiotów – powiedział – odpowiada niekiedy ukrytym tendencjom niszczyiciela. Jeżeli pani zechce, to podczas psychoanalizy za pomocą skojarzeń możemy owe tendencje odsłonić. Nie wydaje mi się to jednak konieczne. Pani przypadek jest dość oczywisty, wręcz podręcznikowy. – Postukał palcem w książkę. – Nie ma co się tu doszukiwać drugiego dna.

Frانيا podeszła do regału z książkami.

– Aha. Czyli nie dość, że nie mam hysterii, to jeszcze jestem nudnym przypadkiem, niewartym analizy! – Zaciągnęła się papierosem i podążyła spojrzeniem za obłokiem dymu, który uniósł się i rozpułynał w powietrzu na wysokości ostatniej półki. Stały tam wszystkie dzieła Słowackiego.

Doktor Luber się zaśmiał.

– Rozumie pani chyba, że to dobra wiadomość.

– A on? – Frania ściągnęła z półki Sen srebrny Salomei i uniosła go tak, by Luber mógł zobaczyć okładkę.

Doktor uśmiechnął się szeroko.

– Droga pani, Słowacki to dopiero był ciekawy przypadek!

– Proszę mi o nim opowiedzieć. – Frania wróciła na miejsce.

I tak właściwie wyglądały wszystkie wizyty. Spotykali się, by rozmawiać o jej niszczycielskich tendencjach wykazanych w mijającym tygodniu, ale prędzej czy później Frania zręcznie kierowała rozmowę na psychoanalizę poetów. Doktor Luber i w tym fakcie dostrzegał autodestrukcyjny pierwiastek. Starał się za wszelką cenę nie ulegać tej sztuczce, za każdym razem dawał się jednak wciągnąć w rozważania na swój ukochany temat.

Kiedy teraz słuchał jej relacji z mijającego tygodnia, z każdą minutą był coraz bardziej wzburzony. Franciszka Eleonora Tańska nie robiła żadnych postępów!

– Franciszko, tyle razy o tym mówiliśmy! Tyle razy panią ostrzegałem!

Frania odwróciła się do okna, uciekając przed jego przenikliwym spojrzeniem świdrującym ją zza okrągłych niczym pięciopłotówki okularów.

– Poczucie winy odgrywa wielką rolę w nerwicy. Cięży mniej lub więcej świadomie na psychice ludzi skądinąd zdrowych. A to prowadzi do...?

– Tendencji do samoukarania – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Otóż to. A takie tendencje są niebezpieczne, bo...

– Mogą doprowadzić do zagłady osobnika.

– W rzeczy samej.

– Ale co to ma wspólnego z wydarzeniami tego tygodnia? Doprawdy nie widzę związku! – Odwróciła się wreszcie.

– Nie?

– Nie.

– Kilka tygodni temu włamała się pani w nocy do muzeum, lichy wie po co. To raz! – Uniósł palec wskazujący. – A teraz zakradła się pani do czyjejs pracowni i w rezultacie w negliżu zwiisała z parapetu okna, to dwa! Podejmuje pani działania ryzykowne, jakby chciała, by ktoś ją przyłapał. Ryzykuje zdrowiem, reputacją, pozycją towarzyską! Czy to nie jest dążenie do własnej destrukcji?

– Ale, panie doktorze, przecież nikt mnie nie przyłapał. Nie można zatem powiedzieć, że dążę do samozagłady. Mogłabym panu dać tuzin lepszych sposobów na samounicestwienie. Na przykład skok z...

– Nie wykluczam – przerwał jej – że pani pragnienie życia, innymi słowy, ukochanie swojego ja wchodzi w konflikt z tym dążeniem do samozagłady. Stąd się pani upiekło. Na razie!

Frania wzruszyła ramionami.

– Proszę się nad tym zastanowić. Musi pani zapanować nad tymi niszczycielskimi tendencjami. Inaczej któregoś dnia wpadnie pani w prawdziwe kłopoty.

– To wtedy pan zaświadczy, że cierpię na kobiecą histerię, i mnie wypuszczą – zaśmiała się. Zdążyła poznać jego opinię na temat tej choroby i teraz celowo wspominała o niej, by go rozdrażnić i uciąć niemiły temat.

Doktor Luber pokręcił z rezygnacją głową. Frania spoważniała.

– Jest coś jeszcze – powiedziała powoli.

– Słucham.

– Poddałam się hipnozie.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Chciałam dotrzeć do nieuświadomionego dyskomfortu wywołanego przez ten obraz, a... – Głos jej się załamał. – Wróciłam do ostatniego dnia spędzonego z Sewerem.

– Proszę mówić dalej.

– Powinnam była go wtedy zatrzymać.

– Nie mogła pani...

– Przeczuwałam, że się więcej nie zobaczymy. Może gdybym myślała pozytywniej, nie ściągnęłabym na nas tego nieszczęścia.

Frania ukryła twarz w dłoniach. Doktor Luber wygrzebał spod papierów zalegających na biurku wrzosową fajkę, pudełko i zapaliki.

– Franciszko, nasze myśli nie kształtują rzeczywistości. Gdyby tak było, na świecie działałoby się dużo lepiej.

– Raczej gorzej.

Otarła łzy i podniosła się z krzesła. Podeszła do regału. Przez dłuższą chwilę przyglądała się tomom stojącym na najwyższej półce.

– Porozmawiajmy o *Samuelu Zborowskim*. – Odwróciła się i zamachała ściągniętym z półki dramatem.

Doktor Luber z dymiącą fajką w ustach uniósł obie dłonie w obronnym geście. Frania, niezrażona jego reakcją, usiadła naprzeciw i spojrzała wyczekująco.

*

Frania stanęła przed nieskończonym obrazem, zdecydowana, by ujarzmić na płótnie światło odchodzącego babiego lata. Pomyślała z żalem, iż to jeden z ostatnich takich dni w roku. Drobinę kurzu podświetlone przez miękkie światło słoneczne tego zimnego poranka tańczyły ponad stolikiem z kompozycją. Na srebrnej paterze leżały śliwki. Pierwsze tej jesieni.

„Co jak co, ale śliwki umiem malować”. Frania uśmiechnęła się do wspomnienia swoich malarskich początków. Jakże doskonałe były tamte śliwki. Siny nalot na matowej skórce wspaniale jej się udał, bez dwóch zdań. A cienie i półcienie, które domalowała przy okazji do wazonu z irysami... Zaraz! O nóżki baranie! Jak mogła być tak ślepa! Wspomnienie tamtych śliwek brutalnie przeniosło ją do dnia, w którym pierwszy raz ujrzała *Kukułkę*.

– Śliwki! – krzyknęła.

– Co znowu? – Marynia wyszła z kuchni. W ręce dzierżyła drewnianą chochlę.

– Śliwki!

– Ano śliwki. Węgierki. Były, to kupiłam!

Frania minęła ją bez słowa i zaczęła przerzucać papiery w sekretarzyku w poszukiwaniu biletu wizytowego hrabiego Kozielińskiego.

– Artystka! – powiedziała Marynia do siebie. – Śliwkom się dziwi. Ech! – Zakręciła chochlą i wróciła do kuchni.

– Nóżki baranie! – Frania obróciła w rękach bilet. Widniało na nim jedynie nazwisko. Nie było ani adresu, ani numeru telefonu.

Pobiegła do pokoju dziennego i chwyciła słuchawkę telefonu. Lola odebrała po kilku sygnałach.

– Odkryłam tajemnicę *Kukułki!*

– Franiu, to ty?

– Śnieg!

– O czym ty mówisz?

– O śliwkach. Nieważne. Znasz numer telefonu hrabiego Kozielińskiego?

– Nie.

– A nie wiesz, gdzie mieszka?

– Nie wiem.

– To jak ja mam go znaleźć?

– Czekaj. Ołtuszevska będzie wiedziała. Mówiła mi, że kiedyś upadła na niego przypadkiem pod jego domem, choć w taki przypadek naprawdę trudno uwierzyć – zaśmiała się Lola. – Hrabia z całkiem sporym kapitałem, ale za to bez żony nie trafia się często. Pewnie go śledziła. Wiesz, jaka ona jest...

– Lolu!

– Nie denerwuj się, Franiu. Już do niej dzwonię!

Lola się rozłączyła, a Frania zaczęła krążyć po salonie. Jak ona mu to powie? To będzie bez wątpienia dla niego spory szok. Biedny. Może dostanie apopleksji? Albo zemdleje? Albo jedno i drugie? Nie, mężczyźni chyba nie mdleją?

Dzwonek telefonu przerwał jej rozmyślania.

– Dziwne, mało reprezentacyjna okolica. – Lola odczytała adres.

– No wiesz, pewnie na czas remontu znalazł sobie skromniejsze lokum – powiedziała Frania nieuważnie, notując nazwę ulicy.

– Sándor u mnie jest. Właśnie mówiliśmy, że moglibyśmy wybrać się wieczorem do kabaretu. Jak myślisz?

– Później o tym pomyślę. Teraz muszę pilnie rozmówić się z Kozielińskim. Pa!

Rzuciła słuchawkę i pobiegła w stronę wyjścia. Kiedy mijała drzwi kuchenne, wyłoniła się z nich pulchna dłoń dzierżąca chochlę.

– Kimono! – ryknęła Marynia.

Frania zatrzymała się w pół kroku, spojrzała na swoje odbicie w kryształowym lustrze zdobionym korytarz i zawróciła do garderoby. Przebrała się naprędce, po czym zbiegła po schodach w chłodne objęcia ostatniego dnia babiego lata.

*

Kamienica znajdująca się pod adresem podyktowanym przez Lolę była więcej niż skromna. Prosta szara fasada bez zbędnych zdobień wymagała odświeżenia. W narożnikach tynk odpadał płatami, ukazując znajdujące się pod spodem cegły. W bramie unosił się zapach wilgoci i gotowanej kapusty. Frania zmarszczyła nos i rzuciła okiem na długą listę lokatorów. Zdziwiło ją, że aż tyle rodzin może się pomieścić w budynku bądź co bądź dość niepozornych rozmiarów. Nie poświęciła jednak tej myśli zbyt wiele uwagi, gdyż nie znalazłszy nazwiska hrabiego, zaczęła się zastanawiać, czy dobrze trafiła.

– Przepraszam – zagadnęła kobietę w cienkim płaszczu i chustce na głowie, która nagle stanęła w odrapanych drzwiach. – Szukam hrabiego...

– Ja też! – weszła jej w słowo. – Albo jeszcze lepiej księcia. Pani się odsunie, do roboty się spieszę!

Potrąciła Franię w przejściu i z całej siły trzasnęła drzwiami. Jak na komendę z okna na parterze, niczym zegarowa kukułka, wychylił się nieogolony mężczyzna w podkoszulku nie pierwszej świeżości.

– Ty głupia flądro, nie grmoć tymi drzwiami, ostatni raz mówię!

– Jemioł! – warknęła kobieta i pośpiesznie się oddaliła.

Mężczyzna pogroził jej pięścią, po czym przeniósł spojrzenie przekrwionych oczu na Franię.

– Czy hrabia, to nie wiem, ale elegant, co z nikim nie rozmawia, mieszka na ostatnim piętrze. Pierwsze drzwi po prawej – oznajmił i jak przystało na zegarową kukułkę, schował się do środka, zamykając przy tym z łoskotem pomalowane siną farbą okiennice.

Frania potrząsnęła głową, by odpędzić niemiłe wrażenie, jakie zrobiła na niej cała scena, po czym udała się po skrzypiących drewnianych schodach na górę.

Zapukała do wskazanych drzwi.

Po chwili stanął w nich hrabia Kozieliński. To już do reszty zaskoczyło Franię. Spodziewała się, że drzwi otworzy służący. Poza tym hrabia zdawał się odmieniony. Nie miał okularów, a włosy, które zawsze nosił gładko zaczesane do tyłu, opadały teraz w nieładzie, zasłaniając szerokie czoło. On sam wyglądał na równie zdziwionego widokiem Frani.

– Co pani tu robi? – zapytał chłodno.

– Przepraszam, że pana nachodzę, ale odkryłam tajemnicę *Kukułki* i chciałam jak najszybciej się nią z panem podzielić.

Kozieliński splótł ręce na piersi.

– To znaczy chciałam o tym panu powiedzieć, zanim pójde na posterunek – dodała zmieszana jego milczeniem Frania. – Jeżeli przychodzę nie w porę...

– Proszę.

Przepuścił ją w drzwiach, a kiedy znalazła się w środku, przekręcił klucz w zamku. Frania rozejrzała się dookoła. Ściany pokoiku były gołe, a oprócz metalowego łóżka pozbawionego materaca nie było tu innych mebli. Pod ścianą stała niewielka torba podróżna i spory kufer. Nim hrabia zamknął ciężkie wieko, Frania zdążyła zobaczyć w nim przybory malarskie. Na zewnętrznym parapecie otwartego na oścież okna zauważyła sklecone z patyków gniazdo, w którym siedział gołąb. Przekrzywił ciekawie łepki i gruchał monotonna. Nie tak wyobrażała sobie siedzibę, choćby przejściową, bajecznie bogatego hrabiego Kozielińskiego, kolekcjonera i mecenasa sztuki. Przez chwilę poczuła się nieswojo. Szybko jednak zganiła się w myślach. W końcu nie dobra materialne świadczą o człowieku, ale stosunek do rzeczy w życiu ważnych. A ten, przynajmniej jeżeli chodzi o szacunek należny sztuce, hrabia zawsze wykazywał odpowiedni. Nie ma się co poddawać irracjonalnemu strachowi. Byli przecież pokrewnymi duszami, przynajmniej na tej jednej życiowej płaszczyźnie.

– Przejdźmy do rzeczy. Mówiła pani o *Kukułce*. – Kozieliński oparł się o parapet okna, płoścąc gołębia.

– Ach tak, muszę koniecznie panu coś powiedzieć.

– Słucham, cóż takiego pani odkryła?

– Ten obraz nie wyszedł spod pędzla Chełmońskiego.

Frانيا spojrzała na niego badawczo. Obawiała się, że ta informacja bardzo nim wstrząśnie. Oto mówiła mu, że obraz, który jeszcze kilka tygodni temu z taką dumą miał przedstawić warszawskiej publiczności, wcale nie został namalowany przez jednego z najwybitniejszych polskich malarzy. To musiał być ogromny cios. Hrabia Kozieliński był jednak spokojny, nie wydawał się nawet odrobinę zaskoczony.

– Dlaczego pani tak uważa?

– Widzi pan, ten obraz wywołał we mnie dyskomfort, gdy tylko go ujrzałam.

– Taka jest niekiedy funkcja sztuki – uśmiechnął się ironicznie.

– To prawda. Ale ten dyskomfort we mnie cały czas trwał, a ja nie umiałam określić, co było jego źródłem. Aż do teraz. Widzi pan, kiedy byłam bardzo młoda i dopiero zaczynałam malować, poprawiałam dla zabawy obrazy, które wisiały w moim rodzinnym domu. Ot, niewinny żart – zaśmiała się. – Na jednym obok bukietu z irysami domalowałam kilka śliwek. Ciekawie się razem komponowały, choć było to bardzo nienaturalne połączenie. Irysy kwitną w maju, a sezon na śliwki zaczyna się najwcześniej w lipcu.

– I cóż to ma wspólnego z moją *Kukułką*?

– Problem z *Kukułką* był taki jak z irysami i śliwkami w tej samej kompozycji. *Kukułka* została namalowana na tle pokrytego śniegiem lasu. To wspaniały zabieg i jakże nowatorskie wykorzystanie kontrastów. Umaszczenie ptaka cudnie grało z fakturą śniegu i kory na brzozech. Ale...

– ...kukułki na zimę migrują – dokończył za nią.

– Właśnie! I to nienaturalne połączenie wywołało we mnie taki dyskomfort. Widzi pan, w moich rodzinnych stronach jest bardzo dużo tych ptaków. Znam ich zwyczajnie. I tu dochodzimy do sedna. Chełmoński nigdy nie namalowałby takiego obrazu. Był realistą. Malował przyrodę taką, jaką ją widział. A nie mógł przecież zobaczyć kukułki zimą.

Kozieliński, nadal nieporuszony odkryciem Frania, zdawał się coś rozważać. Poczuła nieprzyjemne mrowienie na plecach.

– Przykro mi być posłańcem tak złych wiadomości. Pomyślałam jednak, że wolałby pan o tym usłyszeć ode mnie niż od inspektora

Sztaby. Właśnie się do niego wybieram. Obawiam się, że to może wpłynąć na wysokość odszkodowania, które pan uzyska.

Jego oczy pociemniały.

– Odszkodowanie w pełnej kwocie odebrałem dzisiaj – powiedział obojętnym tonem i uśmiechnął się szeroko.

Frania doznała nagłego olśnienia.

– Pan wiedział!

Przytaknął.

– Pan wiedział, że to nie jest obraz Chełmońskiego! – powtórzyła Frania. – A mimo to bez mrugnięcia okiem zainkasował pan zawrotną kwotę z ubezpieczenia!

– Owszem.

– Kłamał pan? Ale dlaczego? Dla pieniędzy? Przecież pan jest bardzo zamożnym człowiekiem – powiedziała i zawahała się, nagle niepewna tego ostatniego stwierdzenia. Ponownie rozejrzała się po skromnym pomieszczeniu, jakby szukając potwierdzenia dla swoich słów. Na próżno. Pokoik wydał się jej jeszcze nędzniejszy niż przed chwilą.

Kozielewski zaśmiał się ochryple.

– No, no, pani Franciszko – powiedział. – Pani myśli, że tu chodzi tylko o pieniądze?

– O czym pan mówi?

Westchnął i pokręcił głową.

– Szanuję panią, więc powiem prawdę. Zaczniemy od tego, że nigdy pani nie okłamałem. Mówiłem o *Kukułce* „mój obraz”, bo jest mój.

– To pan go namalował? – zapytała zaskoczona.

– Owszem.

– Ależ pan ma talent!

– Mam! Cóż z tego, skoro krytycy i mecenasicy na nim nie poznali? Myśli pani, że to pierwszy tak dobry obraz, który stworzyłem? – podniósł głos i zaczął krążyć w tę i z powrotem.

Frania przycupnęła na kufrze, by uniknąć kolizji.

– Dopiero jak podpisałem obraz nazwiskiem znanego malarza, świat się zachwycił. Nagle mój talent objawił się w całej okazałości. Czy to ma sens? Czy to jest sprawiedliwe?

– Panie hrabio...

– Proszę tak do mnie nie mówić! Tożsamość też musiałem sobie domalować. Nie jestem żadnym hrabią. Nazywam się Konstanty Onufry Zieliński, artysta malarz.

Frania uniosła dłoń do ust.

– To dlatego wydał mi się pan znajomy, kiedy przypadkiem spotkaliśmy się w pracowni Aliny Teiss.

Uspokoił się nieco i wrócił na swoje miejsce pod oknem.

– Proszę mi mówić Konstanty. Owszem, sprawiła mi pani wizytą u Aliny sporo kłopotu. Choć nie ukrywam, że był to bardzo zadowolającą estetycznie kłopot. – Jego głos nieco złagodniał i z uśmiechem przesunął powoli wzrokiem od jej stóp aż po oczy.

Frania poczuła się naga. Zaciśnęła dłonie na krawędzi skrzyni.

– W jednej chwili mogła pani mnie zdemaskować. Zrozumiałem, że muszę przyspieszyć rozwiązanie sprawy. Co prawda wierzyłem w siłę mojego hrabiowskiego kamuflażu. Okulary, dobry garnitur, wypomadowane włosy... – podjął Konstanty. – Ale taki kamuflaż działa tylko w jedną stronę. Nikt w hrabim Kozielińskim nie rozpoznałby biednego studenta Zielińskiego. Ludzie w ten sposób nie patrzą. Widzą fasadę, słyszą na salonach o pieniądzech, kolekcji obrazów, majątku na Kresach. Nie zastanawiają się: prawda to czy nie. Ale w studencie Zielińskim już łatwiej rozpoznać rysy twarzy i sylwetkę fałszywego hrabiego Kozielińskiego. Nie ma całej oprawy, nie ma się za czym schować.

– Ale przecież masz taki talent! Czemu nie podpisać *Kukułki* swoim własnym nazwiskiem?

– Oj, pani Franciszko! Będę mówił Franiu, dobrze? Franiu, przecież widziałaś na aukcji, jakim nikłym zainteresowaniem cieszą się obrazy nikomu nieznanego młodego malarza Zielińskiego.

Frania wróciła myślami do tamtego popołudnia.

– Licytowałaś własny obraz, by podbić jego cenę?

– Tak, i źle się to dla mnie skończyło. Bo jako hrabia Kozieliński zostałem zmuszony przez twoje przedwczesne wycofanie się z aukcji do zakupu własnego obrazu za pieniądze, których oczywiście nie mam. Dostałem już dwa upomnienia od Barańskiego z prośbą o jak najszybsze uregulowanie należności. Tak, Franiu, jeszcze wczoraj byłem biedny jak mysz kościelna – uśmiechnął się.

– Czyli wszystko po to, by wyłudzić pieniądze z odszkodowania. – Pokręciła głową z dezaprobatą.

Jego twarz ponownie pociemniała ze złości.

– Naprawdę myślisz, że chodzi mi tylko o pieniądze? – krzyknął.

– A nie?

– Tak, po latach życia w niedostatku chciałem wreszcie na mojej twórczości zarobić. Bóg mi świadkiem, że przez wiele lat próbowałem tego w uczciwy sposób!

– To jeszcze nie powód, by posuwać się do takiego oszustwa!

– Racja. Był też inny powód. Ważniejszy! Ja wiem, że moje obrazy są dobre i prędzej czy później publiczność się na nich pozna. Historia sztuki to historia malarzy, którzy odchodzili w zapomnieniu i nędzy, a po latach ich prace były odkrywane na nowo i doceniane. Van Gogh, El Greco, Vermeer i wielu, wielu innych. Doborowe towarzystwo – powiedział gorzko. – Ale co mi po sławie po śmierci? Ja chciałem zobaczyć mój obraz w muzeum obok dzieł mistrzów! Teraz! Nie ustępuję im talentem, dlaczego miałbym tego nie doświadczyć?

Frania nie odpowiedziała. Znała jakość jego prac. Wiedziała, że ma rację.

– Sama malujesz. Nie kusi cię czasami, by powiesić swój obraz w tej galerii?

– To by było rzeczywiście niesamowite wyróżnienie. Ale to nie moja decyzja. Zresztą, ja od dawna nie ukończyłam żadnego obrazu. – Spuściła wzrok.

– Trzeba sięgać po swoje marzenia. Nikt inny za nas tego nie robi.

– Warto było?

– Warto. Nigdy nie zapomnę tego uczucia, kiedy zobaczyłem *Kukułkę* na ścianie w muzeum. Tylko że ty, Franiu, mnie tego przywileju dość szybko pozbawiłaś.

– Ja? Ja pozbawiłam? – obruszyła się Frania. – Przecież ja tego obrazu nie ukradłam!

– Zasiałaś we mnie ziarno niepokoju. – Spojrzał na nią ponuro. – Pamiętasz, kiedy się poznaliśmy, powiedziałaś, że coś jest z tym obrazem nie tak. W jednej chwili zrozumiałem swój błąd. Chciałem podszyc się pod znanego realistę, a dałem się ponieść własnej artystycznej wrażliwości. Zrozumiałem, że to kwestia czasu, kiedy ktoś się zorientuje,

że to fałszywe płótno. Krótco cieszyłem się nim w naszej prestiżowej galerii. Musiałem zabrać je dużo szybciej, niż planowałem, jeżeli miałem też skutecznie pozyskać pieniądze z odszkodowania.

– To ty zabrałeś obraz? – Frania zerwała się z kufra. – Ale jak? Osobiście go zakryłam! A potem w galerii cały czas ktoś był obecny. Jak go wyniosłeś, nie wzbudzając niczyich podejrzeń?

– To proste. Nie wyniosłem go. *Kukułka* jest nadal w muzeum.

– Ale jak to? Przecież inspektor Sztaba znalazł zwęglone resztki *Kukułki* gdzieś na Pradze!

Konstanty wybuchnął śmiechem.

– Machnąłem kopię. Nie przewidziałem, że wypłata odszkodowania będzie możliwa dopiero po zakończeniu śledztwa. Liczyłem, że można tę sprawę szybciej rozwiązać. A ponieważ postępowanie się wlekło, a mnie zależy na czasie, to musiałem przyspieszyć jego bieg i rozwiązanie. Podziękuję! Przy okazji muszę ci podziękować za pozytywną weryfikację autentyczności.

– Konstanty! Ja przecież muszę teraz powiedzieć Sztabie i Wężykowi, że się pomyliłam! Że to nie tylko nie był skradziony obraz, ale nie był to nawet obraz Chełmońskiego! Dyrekcja Ubezpieczeń Wzajemnych na pewno zażąda zwrotu pieniędzy. Pewnie oskarżą cię też o próbę wyłudzenia.

– Franiu, chyba rozumiesz, że nie po to zadałem sobie tyle trudu, aby teraz pozwolić ci wszystko zniszczyć. Opowiedziałem ci o wszystkim, gdyż... no cóż, mam narcystyczną duszę. Chciałem, by ktoś nie tylko podziwiał mój obraz, ale i poznał szczegóły całego przekrętu. Przyznasz, że wyłudziłem te pieniądze dość spektakularnie.

– Powiem wszystko policji!

– Nie powiesz.

Frانيا się wzdrgnęła. Wyraz jego twarzy znowu się zmienił. Przerazała ją. Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi i potknęła się o torbę podróżną.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała, kiedy złapała równowagę.

– Tak, do Paryża, wieczornym pociągiem przez Berlin. Mówiłem ci przecież, że pieniądze z odszkodowania zamierzam przeznaczyć na kształcenie bardzo utalentowanego malarza. – Wskazał kciukiem

na własną pierś. – Myślę, że z taką kwotą spokojnie się urządzę we Francji.

Frania rzuciła się do drzwi i szarpnęła za klamkę. Konstanty jednym skokiem znalazł się tuż przy niej. Zamarła. Trzymał w ręku pistolet! Poczwała lodowate palce strachu zaciskające się na jej szyi.

– Nie ma co próbować – powiedział. – Bardzo mi przykro, Franiu, naprawdę liczyłem na to, że uda mi się tę sprawę doprowadzić do końca bez ofiar śmiertelnych. Gdybyś tylko wpadła na rozwiązanie, powiedzmy, za tydzień albo choćby jutro, to nie byłoby sprawy, a tak znowu robisz mi kłopot!

Nie spuszczać wzroku z Konstantego, Frania przesunęła się w stronę otwartego okna. Gołąb, który zdążył wrócić na swoje stanowisko, ponownie poderwał się z klaskaniem skrzydeł.

– Wypuść mnie albo będę krzyczeć!

Konstanty wzruszył ramionami.

– Tu cały czas ktoś krzyczy, ot, taka niebezpieczna okolica.

– Pomocy! – Frania wychyliła się przez okno.

Konstanty złapał ją za rękę i z całej siły pociągnął ku sobie. Frania zatoczyła się i wylądowała pod przeciwległą ścianą.

– Mógłbym cię tak po prostu zastrzelić. Ale myślę, że twoja śmierć będzie bardziej wiarygodna, jeżeli się otrujesz. Za kilka dni ktoś cię tu znajdzie obok buteleczki po cyjanku. – Wyciągnął z kieszeni flaszkę z brązowego szkła i uniósł ją pod światło. Pięknie je odbijała. Konstanty zapatrzył się na refleksy i zdawał się krążyć daleko myślami.

Frania ponownie rzuciła się ku drzwiom. Ocknął się i zastąpił jej drogę.

– Tak jak mówiłem, znajdą cię tu z pustą butelką po cyjanku i nikt nie będzie się zastanawiał, co zaszło. A ja będę już wtedy w połowie drogi do Paryża.

– Oszalałeś!

Wcisnął Frani butelkę w dłoń i wymierzył w nią pistolet.

– Zażywaj cyjanek, ale już! – krzyknął.

– Romana Paprotka też zabiłeś?

Konstanty spojrział na nią zaskoczony.

– Romana? Złotą rączkę z muzeum? Nie – powiedział z ociąganiem. – Usunąłem go tylko na jakiś czas z Warszawy.

– Dlaczego?

– On jeden mógłby znaleźć obraz, gdyby dobrze się rozejrzał po tej swojej kanciapie.

Frania wciągnęła głęboko powietrze. Czy to możliwe, by *Kukułka* była przez cały ten czas tak blisko, w składziku Romana? Tym samym, który przeszukiwał Sztaba z Chyburą, a Frania minęła tamtej pamiętnej nocy obojętnie, nie poświęcając mu nawet chwili uwagi? Było to niewiarygodne i w jakimś sensie uwłaczające tym wszystkim, którzy przekopali całe muzeum i niemalże pół Warszawy w poszukiwaniu *Kukułki*. Widać raczej mają ci, którzy mówią, że najciemniej jest zawsze pod latarnią.

– Ale jak usunąłeś Romana? – zapytała Frania, z trudem opanowując drżenie głosu.

– To proste. Hrabia Kozieliński, wielce przejęty, wpadł do niego z biletem na pociąg do Lwowa odchodzący w ciągu niespełna dwóch kwadransów. Powiedział, że pilnie potrzebuje zaufanego człowieka do pracy przy rodowej siedzibie. Obiecał sowitą zapłatę. Ach, jakże zaświeciły mu się oczy, kiedy usłyszał kwotę, jaką hrabia jest gotów zapłacić, byle tylko on, Roman Paprotek, którego talenty są tak niedoceniane w Warszawie, udał się czym prędzej na Kresy. – Konstanty zaśmiał się złośliwie. – Starczyłoby na porządne wesele i jeszcze na rozkręcenie biznesu kwaciarskiego tej jego Heleny. Hrabia obiecał, że zawiadomi o jego nagłym wyjeździe i muzeum, i Helenę, więc ten bez namysłu wsiadł w pociąg i tyle go widzieli.

– Ale przecież ty nie masz rodowej siedziby na Kresach!

– A mało to pałaców na Wschodzie? Zawsze się jakiś remontuje. Pewnie się gdzieś zaczepił, myśląc, że to ten mój, albo nadal szuka Koziełowa. Powiedziałem, że wypłacę mu pieniądze, jak pani babka da kwit, że praca wykonana jak należy. Wierz mi, zaproponowałem mu taką kwotę, że prędzej obejdzie pieszo całe Podole w poszukiwaniu mojej fikcyjnej siedziby, niż wróci. A jak już się pojawi za kilka tygodni, to wpadnie wprost w ręce policji, która oskarży go o kradzież i spalenie *Kukułki*.

– Ależ ty jesteś podły, Konstanty! Przecież to porządny, niewinny człowiek! – Strach Frani ustąpił miejsca złości.

– Sztuka wymaga poświęceń.

Spojrzał na zegarek i machnął pistoletem.

– No już! Pociąg odjeżdża za pół godziny. Nie mam czasu na pogawędki. Cyjanek!

– Nie!

– Wiesz, że jeżeli go nie zażyjesz, to i tak cię zastrzelę i upozoruję samobójstwo? Tylko to chyba mniej elegancki sposób na rozstanie się z życiem. W twoich sferach estetyka jest przecież taka ważna!

– Nie! – powtórzyła Frania, tym razem głośniej.

– Mówię po raz ostatni, proszę, zażyj cyjanek, to będzie mniej bolesne.

– Konstanty odbezpieczył pistolet. Metalowy szczęk na dobre rozjuszył Franię.

Cisnęła butelkę z cyjankiem na podłogę. Trzask tłuczonego szkła ponownie spłoszył ptasiego lokatora parapetu. Ciemne okruchy rozprysły się po całym pomieszczeniu, a lepka ciecz rozlała się u stóp Konstantego. Kilka kropli chlupnęło mu na nogawki spodni.

– To mnie zastrzel! – Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

Zieliński patrzył na nią smutno. Nie taki początek miał mieć ten nowy, paryski rozdział w jego życiu. Szkoda, wielka szkoda. W końcu ze wszystkich osób, które spotkał ostatnimi czasy, jedna Frania poznała się na jego talencie. Że też musiała wpaść na to fałszerstwo akurat teraz, kiedy był tak bliski pomyślnej realizacji swoich zamiarów. Jeszcze pół godziny, a wsiadłby przez nikogo niepokojony do pociągu z pokaźną sumą pieniędzy i mógł spokojnie malować do końca życia. A tak? Musi ją uciszyć, inaczej nigdy nie dadzą mu spokoju, znajdą go, choćby zaszył się w najciemniejszym kącie Montmartre’u.

Frانيا wpatrywała się w lufę pistoletu. Poczwała, że bardzo chce żyć. Ta wola życia, która dotąd ledwo się w niej tliła, wybuchła nagle ogromnym płomieniem. Chciała żyć! Malować, czuć zapach jaśminu, smak śliwek i dotyk wiatru na łydkach w ciepły dzień. Chciała śmiać się z Lolą i słuchać Sándora grającego na wiolonczeli. Może nawet otworzyć się na nowy związek. A Konstanty chciał jej to wszystko odebrać. O nie!

Rzuciła się na niego. Był dużo silniejszy. Odepchnął ją tak mocno, że ponownie wpadła na ścianę.

– Przykro mi – powiedział. Jego smutek był naprawdę szczery. – Nie pozostawiasz mi wyboru.

Padł huk wystrzału. Franię spowił biały puch.

– A więc tak wygląda niebo – pomyślała.

Od razu jednak poczuła, że musiała się pomylić. Niebiański pył zaczął ją dławić i gryźć w płucach, a na głowę spadły odpryski tynku z sufitu. Z chmury pyłu wyłoniła się nagle twarz Chybury i jego chude ręce. Frania poczuła, że pchnął ją na ziemię i zasłonił swoim ciałem. Po chwili jednak widać zmienił zdanie, bo niezdarnie próbował ją podnieść i odciągnąć od Konstantego, który siłował się ze Sztabą. Padł kolejny strzał w sufit, znowu posypał się tynk.

Frania odepchnęła Chyburę i zerwała się na równe nogi. Teraz naprawdę była wściekła! On rzeczywiście chciał ją zabić! A przecież tyle ich łączyło! Byli pokrewnymi duszami! Rzuciła się ku splecionym w uścisku walczącym mężczyznom i pociągnęła Konstantego za opadającą na czoło grzywkę. Syknął z bólu i zwolnił nieco uścisk dłoni splecionych dookoła szyi inspektora Sztaby. Frania, zdeterminowana kontynuować atak, zamachnęła się prawą nogą i już, już miała go kopnąć obcasem w piszczel, gdy poczuła, że nie jedna, ale dwie pary rąk chwytają ją z obu stron za ramiona i ciągną na bok. Obróciła się. Obok Chybury zobaczyła Sándora.

– Puśćcie mnie! – krzyknęła, wyrrywając się. Nie ustąpili, odciągnęli ją jeszcze dalej.

Padł kolejny strzał. Tym razem kula odbiła się rykoszetem od metalowej ramy łóżka i wbiła w ścianę. Sztaba wykręcił prawą rękę Konstantego i chyba mu ją złamał, bo ten zawył nieludzko.

Frania krzyknęła. Ogarnął ją irracjonalny strach, że Zieliński już nic więcej nie namaluje. Był przestępcą, to fakt. Ale jakim utalentowanym.

– Tylko nie ręka! – wyrwała się i pchnęła Sztabę. Spojrzał na nią zaskoczony i wtedy Zieliński uderzył go w głowę. Sztaba jęknął ogłuszony i osunął się na ziemię. Konstanty chwycił małą podróżną torbę i wybiegł. Chybura natychmiast podążył jego śladem.

– Proszę tu zostać! – Sztaba wstał i chwiejąc się, pobiegł do wyjścia. Jego kroki zadudniły na drewnianej klatce schodowej.

– Franiu! – Sándor dopadł do niej. – Franiu, nic ci nie jest?

– Co ty tu robisz?

– Przyjechałem z policją. Lola powiedziała mi o twoich zamiarach. Nabrałem złych przeczuć i zadzwoniłem po Sztabę. Czyś ty oszalała? –

krzyknął. Złapał ją za ramiona i potrząsnął. – Konfrontować się z przestępcą? Sama? Życie ci niemiłe?

Spojrzała w jego ciemne oczy. Zobaczyła w nich gniew i strach i nagle, szlochając, opadła na jego szeroką pierś.

– Miłe – powiedziała słabym głosem.

EPILOG

CZYLI PRZYJĘCIE U FRANI, W CZASIE KTÓREGO WYCHODZI NA JAW, JAK KUKUŁKA WYFRUNĘŁA Z OBRAZU

NIEDZIELA, 5 PAŹDZIERNIKA 1924 ROKU

W pracowni Franciszki Tańskiej przy ulicy Żurawiej zgromadziło się niezbyt liczne towarzystwo w dość osobliwym składzie.

Była znana reporterka kroniki *high life* poczytnego „Tygodnika Wytwornego”, serdeczna przyjaciółka gospodyni Leontyna Nowicka, zwana Lolą. Był jej równie drogi przyjaciel Sándor Bercsényi, szalenie przystojny właściciel największego w Warszawie składu z tokajami. Marynia w charakterze gościa, a nie służącej, rozsiadła się w fotelu pod oknem, budząc tym samym zgorszenie ciotki Frani, ministrowej Eleonory Hardt, która zajęła miejsce na drugim końcu pracowni. Zjawił się również inspektor Sztaba i jego asystent Chybura, obaj po cywilnemu, oraz likwidator szkód Apolinary Wężyk z Agencji Ubezpieczeń Wzajemnych – jak zwykle w odcieniach szarości. Byli również pracownicy muzeum: dyrektor, nerwowo wykręcający ręce kustosz Skiełto oraz Romuś Paprotek, który nie spuszczał oczu ze swojej narzeczonej Heleny Sitkiewiczówny. Obecny był również stróż Mieczysław Anioł, który zarzucał pytaniami o duchy Teofilę Szum, medium o niepotwierdzonych

kwalifikacjach. Między nogami kręcił się ścigany przez Józia Balaton, na próżno szukający schronienia pod szezlongiem.

Na jednej ze ścian wisiał odnaleziony kilka dni wcześniej w muzeum obraz *Kukułka* pędzla Konstantego Onufrego Zielińskiego, oprawiony w prostą czarną ramę, która podkreślała jego piękno. Sztaba pozwolił Frani zatrzymać obraz, skoro jego właściciel zbiegł i dotąd nie został złapany, a dyrektor muzeum nie chciał słyszeć o tym, by *Kukułka* została wystawiona, zważywszy na skandal z nią związany. Szkoda. Frania miała pewność, że dzieło byłoby hitem wśród zwiedzających, ale skwapliwie skorzystała z pozwolenia na zatrzymanie obrazu.

Goście Frani popijali węgrzyna z Sándorowego składu i jedli placek ze śliwkami, raz po raz zerkając na stojącą pod oknem sztalugę i spoczywający na niej obraz przykryty białą serwetą. Frania bowiem zapowiedziała uroczystą prezentację swojego dzieła *Martwa natura z orlikowymi piórami* oraz wyjaśnienie, jak nie niepokojony przez nikogo Zieliński vel Kozieliński mógł ukryć *Kukułkę* w muzeum.

Kiedy opróżniono już trzy butelki tokaju, a płyta obrócona dwukrotnie umilkła i z cichym szmerem przestała się kręcić na płincie gramofonu, Frania stanęła obok zakrytego obrazu i poprosiła zebranych o uwagę.

– Chciałam przedstawić mój obraz, pierwszy, który ukończyłam od... odkąd musiałam zmierzyć się ze stratą bliskiej osoby. Jego powstanie wiązało się ze stoczeniem wewnętrznej walki, wymagało dużego nakładu czasu, cierpliwości i... owoców sezonowych. – Spojrzała z uśmiechem na Marynię, która dumna ze swojego wkładu, zadarła podbródek. Frania wzięła głęboki oddech i dodała: – Chciałam wam też pokazać magiczną sztuczkę, która wyjaśni, jak kukułka wyfrunęła z ramy.

Goście patrzyli na nią wyczekująco, zapadła pełna napięcia cisza. Frania uśmiechnęła się i zerwała zasłonę.

– Na wszystkie demony! – krzyknęła Teofila. Kustosz Skiełto złapał się za głowę. Romuś, który dotąd uśmiechał się do Heleny, nagle spoważniał. Sándor zaś chwycił Franię za rękę, jakby chciał ją tym gestem wesprzeć w chwili, jak uważał, ostatecznej twórczej porażki.

Potężna barokowa rama była pusta.

Z całego towarzystwa tylko Lola zdawała się nieporuszona. Ziewnęła, dyskretnie zakrywając usta dłonią. Znała Franię na tyle dobrze,

by wiedzieć, że pusta rama to początek, a nie koniec spektaklu.

Frania rzeczywiście nie przestawała się uśmiechać. Odczekała kilka chwil, ciesząc się zaskoczeniem zebranych, po czym spokojnie sięgnęła za ramę i pociągnęła delikatnie za ukryty w niej sznurek. Powoli, ze zgrzytem metalowych przekładek w pustą przestrzeń zaczął zjeżdżać obraz.

Rozległy się brawa. Padło kilka komplementów, fachowych uwag i nietrafionych interpretacji, po czym goście wrócili do rozmów, węgryzna i placka ze śliwkami. Sándor zmienił płytę i pracownię wypełnił słodki jazz.

Frania oparła się o framugę drzwi, Balaton zgubił ścigającego go Józia i usiadł u jej stóp. Spojrzała na swój obraz. Nie mógł się równać z *Kukułką* Zielińskiego, nie był też dość dobry, by kiedyś zawisnąć w galerii malarstwa polskiego Muzeum Narodowego. Nie szkodzi. Ważne, że był jej, do tego wreszcie ukończony. I właśnie otwierał nowy rozdział w jej życiu.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojemu nauczycielowi pisania, Jakubowi Winiarskiemu, za cenne wskazówki i uwagi. Najbardziej jestem wdzięczna za to, że pokazał mi, jaka jest różnica między czynami i czynnościami, a tym samym poderwał Franię z szeslonga i popchnął do działania.

Dziękuję również Ani, Adzie, Milenie, Sylwii i Kornelowi – moim współtowarzyszom na pisarskiej drodze – za dobre słowa i śmiech.

Mojemu mężowi i rodzicom dziękuję za wszystko.



Rok 1924. Z Muzeum Narodowego w Warszawie w tajemniczych okolicznościach ginie obraz „Kukulka” Józefa Chełmońskiego. W jego poszukiwania angażuje się Franciszka Tańska – malarka zmagająca się z niemocą twórczą. W pogoni za „Kukulką” Frania przemierzy eleganckie restauracje, podrzędne spelunki, labirynty podwórek na Grochowie i nadwiślańskie plaże.

W poszukiwaniach i w starciu z żywymi problemami może liczyć na przyjaciół: Lołę, reporterkę rubryki high life poczytnego tygodnika, oraz Sándora, węgierskiego handlarza winem.

Swój udział w tym nieformalnym śledztwie mieć będą także m.in. łatwowski stróż, tajemniczy hrabia, specjalista od dusz polskich romantyków i medium o wątpliwych kwalifikacjach.

Dzięki splotowi mniej lub bardziej przypadkowych wydarzeń Frania odkryje niewygodną prawdę na temat zaginionego dziecka i tym samym sprowadzi na siebie śmiertelne niebezpieczeństwo...



MAJA VAN STRAATEN

– mieszka i pracuje w Brukseli.
Ma męża Holendra i psa z Sarajewa.
Milośniczka art déco, sztuki
dwudziestolecia międzywojennego
i starych pociągów. Kiedy nie pisze,
czyta. Kiedy nie czyta, chodzi po lesie.
Autorka serii książek o przygodach
Frani Tańskiej.

www.wydawnictwolira.pl

LIRA
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

**PORTAL
KRYM...NALNY**

ISBN: 978-83-67654-62-3



cena:
46,99 zł
(w tym
5% VAT)